

*Anne Herries*

*Piękna Rosalyn*

# Rozdział pierwszy

A niech to! Musiałem kompletnie zgłupieć, żeby wrócić do kraju, rozmyślał Damian Wrexham. Nie czekało go tutaj nic poza gorzkimi wspomnieniami. Gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, zostałby w Indiach lub rozpoczął nowe życie w Hiszpanii. Tam przynajmniej było ciepło. Wybrał się jednak w drogę powrotną do domu z jednego konkretnego powodu. Złożył obietnicę, a nie lubił łamać danego słowa.

Oparty plecami o drzewo, patrzył w przestrzeń, pogrążony w posepnych rozmyślaniach. Nagle jego uwagę zwróciła barwna plama w sadzie. Z pochmurną miną obserwował biegnącego w jego kierunku psa, za którym wolniejszym krokiem podążała kobieta.

Ale jaka kobieta! Była niczym starożytna bogini, obejmująca ziemski glob w swoje posiadanie. Prawdziwa Diana, mityczna łowczyni. Nawet w latach pierwszej młodości Damian nie przepadał za afektowanymi pannami z towarzystwa, które spotykał w londyńskich salonach. Jedną z win, za które został skazany przez ojca na wygnanie, była niefortunna słabość do starszych kobiet, zameżnych dam, szukających występnych

rozkoszy w łóżu młodego i przystojnego, ale już zepsutego mężczyzny.

- Panna Eastleigh? - zadrwił głośno. Z pewnością nie! To nie mogła być, jak mu powiedziano, mieszkająca w sąsiedztwie stara panna. Może bawiła u niej z wizytą młoda kuzynka? Był coraz bardziej zaintrygowany. - Czyżby czekała mnie tu jednak jakaś rozrywka?

Uśmiechnął się do siebie. A już się bał, że w ucieczce przed nudą będzie musiał wybrać się do Londynu, jednak teraz podły nastrój minął jak ręką odjął. Tylko czy ta bogini zechce mieć z nim cokolwiek wspólnego, kiedy pozna jego zaszarganą opinię? Na pewno ktoś uzna za swój święty obowiązek poinformować ją o niechlubnej przeszłości Damiana, ostrzeże, że to łotr, z którym żadna przyzwoita kobieta nie powinna mieć do czynienia. Do tego czasu jednak mógłby ją trochę pouwodzić... wystarczy malutki flirt, nic więcej.

Co za cudowny dzień! W takim dniu człowiek musi się poczuć lepiej, pomyślała panna Rosalyn Eastleigh, przemierzając sad rosnący na tyłach domu. Pąki na drzewach zaczynały już się rozchyłać, widomy znak, że po wielu tygodniach mokrej, paskudnej pogody wiosna wreszcie nadeszła. Słońce paliło Rosalyn w głowę, bo, jak zwykle, zerwała czepek i ciemne, błyszczące włosy opadały jej na twarz.

Na twarz, która przynajmniej w opinii samej panny Eastleigh, jakkolwiek niezaprzeczalnie atrakcyjna, nie mogła jednak uchodzić za ładną. Rosalyn zdawała sobie sprawę, że wedle współczesnych kanonów piękna miała zbyt ciemną cerę, za wielkie usta i za wydatny nos, a duże, szare oczy aż nazbyt wyraźnie odzwierciedlały jej jakże często kontro-

wersyjne opinie. Była także wyższa od większości znanych jej dżentelmenów, a jak powszechnie wiadomo, mężczyźni wolą małe, śliczne kobieciątka, które trzepoczą rzęsami i robią wrażenie całkowicie bezradnych. Kiedy panna Eastleigh wchodziła do pokoju, panowie nie zrywali się, by podprowadzić ją do krzesła, wszak mogła doskonale poradzić sama sobie.

Nie przywiązywała szczególnej wagi ani do swego wyglądu, ani do tego, co o niej myśleli inni. Miała dwadzieścia siedem lat, już od dawna była za stara na małżeństwo i nie zwracała sobie nim głowy.

- Sheba, do nogi!

Gwizdnęła na zwariowanego psa, którego podrzucił jej brat, Freddie, podczas swej ostatniej wizyty na wsi. Sheba była biało-czarnym mieszańcem. Freddie zapewniał, że to najśłodsze stworzenie na świecie i z pewnością nie będzie sprawiać żadnych kłopotów. Szczeniak przypominał wówczas maleńką, puszystą kulkę, był śliczny i serdeczny.

Po dziewięciu miesiącach Sheba nadal była serdeczna, ale wyrosła na dużego, długonogiego psa, który wciąż psocił. Teraz usłyszała wołanie swojej pani, więc popędziła do niej i zaczęła na nią skakać, drapiąc suknię zabłoconymi pazurami.

- Złaż ze mnie, ty łobuzico! - krzyknęła Rosalyn, daremnie próbując strzepnąć ze spódnicy ślady psich łap. - Znów się wybrudziłaś! To już trzecia suknia, którą zniszczyłaś w tym tygodniu. Chyba robisz mi na złość! Już dawno sprzedałabym cię Cyganom, gdyby nie obawa, że brat mi tego nigdy nie wybaczy.

Sheba wydała radosny skowyt, rozumiejąc doskonale, że ani jedno słowo z przemowy jej pani nie zostało powiedzia-

ne serio, po czym z głośnym szczekaniem rzuciła się w po-  
goń za kotem.

- Okropne zwierzę! - Rosalyn, choć trochę zła, uśmiechnęła się. - Sheba! Wracaj!

Suka nie raczyła zareagować. Już jako szczeniak nabrała irytującego zwyczaju przepadania podczas spacerów na długie godziny, ale jak dotąd zawsze odnajdywała drogę do domu. Wracała umorusana i głodna.

- Powinna pani nauczyć ją posłuszeństwa, w przeciwnym razie zupełnie wyrwie się spod kontroli. Te półkrwi collie potrafią narobić poważnych kłopotów, jeśli nie są odpowiednio wytresowane.

Zaskoczona Rosalyn drgnęła. Myślała, że jest w sadzie sama, dopiero teraz zauważyła opartego o pień jabłoni mężczyznę. Przyjrzała mu się zwięzionymi oczyma. Nie знаła go, musiał być obcy w tych stronach.

Miał na sobie zwyczajny, brązowy surdut, kremowe bryczesy i skórzane, dość już znoszone, choć bardzo solidnie wykonane buty. Był oszałamiająco przystojny. Ogorzała twarz wskazywała, jakby wiele czasu spędzał na słońcu, i to w cieplejszym klimacie niż angielski. Kruczoczarne włosy były krótko ostrzyżone. Rosalyn wiedziała, że taka fryzura, zwana *a la* Brutus, wśród przyjaciół Freddiego była ostatnio najmłodniejsza. Pomimo doskonałego kroju ubrania i eleganckiego uczesania wyczuwało się jednak w tym mężczyźnie pewną nonszalancję, która nie spodobałaby się jej bratu.

- Proszę wybaczyć... - Uświadomiła sobie, że zbyt natręt nie gapiła się na nieznajomego. - Zaskoczył mnie pan. Nie spodziewałam się tu nikogo spotkać. Czym mogę panu służyć? Ma pan jakiś problem?

Sąsiedzi zjawiali się zazwyczaj od frontu. Przyjeżdżali po-

wozami lub konno, ale nigdy nie przychodzili na piechotę, na przełaj przez pola i łąki, jak to musiał zrobić ten człowiek, by znaleźć się w jej sadzie.

Kim był i czego tu chciał? Zawahała się, nagle nieco zaniepokojona. Zaczęła się zastanawiać, czy nie przywołać Sheby.

- Obserwowałem panią - odezwał się z lekkim uśmiechem. - Jest pani jak czarodziejka Diana, boska łowczyni, która zstąpiła na ziemię, by zdobywać ludzkie dusze.

Komplement był nadspodziewanie inteligentny. Dianę zwykle przedstawiano jako wspaniale zbudowaną, niezależną kobietę, która żyła po swojemu, nie przejmując się reputacją. Podobnie postępowała Rosalyn.

- Niestety, muszę pana rozczarować. Nie jestem boginią, tylko najzwyklejszą w świecie panną Eastleigh, która wyszła na spacer ze swoim nieznośnym psem - odparła z cierpką miną, która miała ukryć jej rozbawienie.

Od dawna już żaden mężczyzna nie powiedział jej komplementu. Przyjaciele Freddiego byli zbyt młodzi, by interesować się jego marniejącą w staropanieństwie siostrą, natomiast panowie z sąsiedztwa to żonaci mężczyźni i, jakkolwiek mili, wcale nieskorzy do składania jej hołdów.

- Panna Rosalyn Eastleigh? Nie myślałem... - Urwał, by nie popełnić afrontu, i uprzejmie skłonił głowę. - Proszę o wybaczenie, mam fatalne maniery. Panno Eastleigh, pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Damian Wrexham. Jestem pani nowym sąsiadem. Przypuszczalnie zostanę tu przez najbliższych kilka miesięcy.

- Ach, tak. Lady Orford mówiła mi, że jej mąż wynajął Hall. Wydawało mi się, że miał tu zamieszkać jakiś dżentelmen z Indii, ale najwyraźniej się pomyliłam.

- Nie pomyliła się pani - zaprzeczył Wrexham z błyskiem rozbawienia w oczach. Wyjątkowo ciemnych, jak zauważyła Rosalyn. - Mój... uczeń, Jared, jest po ojcu Hindusem, ale jego matka była Angielką. Wyjątkowo dzielną damą. Przyjechała do Indii z ojcem misjonarzem i zakochała się w... ojcu Jareda. Pokonała wszelkie przeszkody, nie uległa się skandalu, wyszła za niego i urodziła mu syna.

- Fascynujące... Rzeczywiście trzeba nie lada odwagi, by pójść za głosem serca i odrzucić konwenanse. Często marzyłam o wielkiej przygodzie. O ile się nie mylę, Indie są wyjątkowo piękne.

- Egzotyczne, dzikie, niebezpieczne, ale niezaprzeczalnie piękne.

Rozmawiając, ruszyli przed siebie, aż wreszcie stanęli pod drzwiami domu. Rosalyn bez zastanowienia zaproponowała, by jej nowy znajomy wszedł do środka, tak samo jak zwróciłyby się do każdego sąsiada, który wpadłby do niej z wizytą.

- Zaraz będę jadła drugie śniadanie, co u mnie oznacza chleb z masłem, zimne mięsiwa i herbatę. Zapraszam, panie Wrexham, choć dla mężczyzny to chyba marny poczęstunek. Pewnie jednak znajdzie się dla pana trochę wina dla poprawienia smaku.

- Może kiedy indziej. - Obrzucił ją spojrzeniem, którego nie potrafiła rozszyfrować. - Przyszedłem tu dzisiaj, panno Eastleigh, w nadziei, że pozwoli się pani zaprosić do nas na jutrzejszy obiad. Jak już wspominałem, Jared to mój... uczeń. Jego ojciec pragnie, by spędził trochę czasu w Anglii, a ja mam go nauczyć angielskich manier i zwyczajów. Niestety, brak nam pani domu i... jeśli mam być szczery, to przypuszczałem, że panna Eastleigh będzie starsza.

Rosalyn dostrzegła w jego oczach przekorę i rezerwa, jaką

początkowo czuła, zniknęła. Spojrzała na niego z udawanym zgorzeniem.

- Doprawdy, sir? Ciekawe dlaczego?

- Błagam, niech pani tak na mnie nie patrzy. Nie wie pani, co mi mówiono.

- Och, łatwo mogę się domyślić. - Wybuchnęła głośnym śmiechem. - Powiedziano panu, że jestem starą panną. Nie mogę zaprzeczyć, że to prawda, panie Wrexham. Mam dwadzieścia siedem lat i tylko bardzo odważny lub bardzo głupi mężczyzna mógłby sądzić inaczej.

- Zostałem ostrzeżony - odparł z błyskiem rozbawienia w oczach. - Proszę o wybaczenie, panno Eastleigh, jeśli nadużywam pani szlachetności, z pewnością jednak rozumie pani mój problem. W Orford prowadzimy typowo męskie gospodarstwo, jeśli nie liczyć doskonałej gospodyni, oczywiście. Czy, pani zdaniem, zjedzenie przez damę obiadu w naszym towarzystwie nie zostanie uznane za niestosowne? Nawet jeśli dama będzie w tak podeszłym wieku jak pani...

-Miałabym przyjść sama? - Rosalyn była rozbawiona. Wrexham bezwstydnie z nią flirtował, lecz podobało jej się jego poczucie humoru. - Oczywiście, że to całkiem niestosowne. Względy przyzwoitości nie powstrzymałyby mnie jednak, gdyby nie obawa, że zranię uczucia biednej Marii.

- Marii? - Uniósł brwi. - Błagam, proszę mnie oświecić! Nie, niech się pani ze mnie nie śmieje. To sprawa najwyższej wagi. Umieram z ciekawości, kim jest ta biedna Maria?

- To panna Maria Bellows, moja kuzynka, wielce szacowna dama w średnim wieku. Zamieszkała ze mną trzy lata temu, po śmierci taty. - Rosalyn zrobiła tak złośliwą minkę, że Damian zaczął się dusić ze śmiechu. - Trzeba panu wiedzieć, że to poczucie obowiązku kazało Marii poświęcić się dla mnie.



Oczywiście nie mogłam odmówić, bo musiałaby poszukać sobie posady guwernantki czy jakiegoś równie nieprzyjemnego zajęcia, a względy przyzwoitości zabraniały mi mieszkać samej. To by było absolutnie szokujące, nie sądzi pan?

- Nawet w tak podeszłym wieku jak pani? Nie przesadzajmy, to już można zaakceptować bez obrazy moralności. - Jego brwi znowu powędrowały w górę. - Chyba że, pozbawiona opieki, folguje pani swym przyrodzonym skłonnościom i urządza dzikie orgie.

- Nikczemnik! - Śmiech znowu zdradził Rosalyn. Polubiła nowego sąsiada. Ze swą pogodą ducha, temperamentem i poczuciem humoru mógłby wnieść sporo ożywienia do nadzwyczaj nudnych towarzyskich spotkań, urządzanych przez okolicznych ziemian. - Powinnam panu natrzeć uszu, sir, rozważę jednak akt łaski, jeśli zaproszeniem obejmie pan również Marię.

- Przyjedzie pani? - W jego głosie zabrzmiało niekłamane uznanie. - Jest pani nadzwyczaj wspaniałomyślna, panno Eastleigh. Myślę, że polubi pani Jareda, on zaś, zapewniam, będzie panią zachwycony. - Uśmiechnął się tak uroczo i ciepło, że zaparło jej dech w piersiach. - W takim razie czekam jutro o osiemnastej trzydzieści. Obiad jadamy o siódmej. Dość późno, ale w Indiach przyzwyczailiśmy się do wieczornych posiłków, bo jest chłodniej. To pani nie przeszkadza?

- Skądże. Nie mogę się już doczekać, panie Wrexham.

- Do jutra, panno Eastleigh.

Skłonił się i odszedł przez sad. Rosalyn obserwowała go przez kilka chwil. Była w świetnym humorze, choćby z tego względu, że mogła pokonwersować z mężczyzną wyższym od siebie, co zdarzało się nad wyraz rzadko czy też zgoła wcale. Nie był to jednak jedyny powód sympatii, jaką poczuła do no-

wego sąsiada. Rozbawił ją i zaintrygował, rozwiął nudę, która zaczynała jej doskwierać.

Wyczuwała w nim jakąś tajemnicę. Dwukrotnie określił Jareda jako swojego ucznia, ale pan Wrexham nie wyglądał na nauczyciela. Był bardzo opalony, jak ktoś, kto wiele czasu spędza na świeżym powietrzu. Z pewnością nie narodził się po to, by ślęczeć nad książkami i prowadzić lekcje. Sprawiał wrażenie osoby, która uwielbia ruch i zmiany, a jej żywiołem jest działanie. Znacznie bardziej pasowałaby do niego profesja żołnierza czy strażnika.

Rosalyn roześmiała się. Skąd ten pomysł? Może stąd, że mieszkał w egzotycznych krajach, gdzie strażnicy często bywają potrzebni. Niedawno przeczytała w gazecie o zamachu na życie jakiegoś indyjskiego księcia. Ot, krótka wzmianka, ale zainteresowała ją bardziej niż całe stronice poświęcone ploteczkom z życia wyższych sfer.

Oczywiście pan Wrexham najpewniej nie miał nic wspólnego z tamtą zbrodnią. Niewątpliwie był dżentelmenem, choć bardzo różnym od dżentelmenów, których spotykała w towarzystwie. I nie chodziło o jego niedbały strój czy bezpośredniość w rozmowie, a raczej o energię i czujność, które ukrywał pod swobodnym sposobem bycia i swoistą niefrasobliwością. Naprawdę było w nim coś niezwykłego. Z pewnością nie był niewolnikiem konwencji; miał zbyt silny i śmiały charakter, by kierować się ogólnie obowiązującymi zasadami.

Domyślała się, że niejednego w życiu zakosztował, a nie był już młody, wyglądał na trzydzieści parę lat. Wspomniał, że Indie to kraj egzotyczny i niebezpieczny. Równie dobrze mógłby powiedzieć tak o sobie. Mężczyzna z przeszłością. Tak, to najtrafniejszy opis.

Rosalyn weszła do domu, uśmiechając się do własnych myśli. Powitała ją niewysoka, pulchna dama w szarej sukni i koronkowym czepeczku na włosach, które nawet jej najserdeczniejsza przyjaciółka nazwałaby mysimi.

- O, jesteś, moja droga - powiedziała z nerwowym chichotem. - Ból głowy minął? Wyglądasz znacznie lepiej.

- Spacer dobrze mi zrobił.

Rosalyn wymyśliła ów ból głowy, by mieć pretekst do wyrwania się z domu, do ucieczki przed gadaniną kuzynki. Maria była jej szczerze oddana i pełna najlepszych chęci, czasami jednak stawała się irytująca, choć Rosalyn nawet w duchu unikała tak niemiłosiernego określenia.

- Z kim rozmawiałaś? Wyjrzałam przez okno salonu i po prostu nie mogłam was nie zauważyć. Chyba nie znam tego dżentelmena?

- Nie znasz. - Rosalyn jak zawsze rozbawiła ciekawość kuzynki. Maria była okropnie wścibska, nic nie mogło tego pokroić. - Spotkałam go po raz pierwszy. To pan Damian Wrexham, nasz nowy sąsiad. Jest nauczycielem indyjskiego dżentelmena, który tu przebywa. .

- Ojej! - zaniepokoiła się Maria. - Szkoda, że lord Orford wynajął na lato dwór obcym. Kochana lady Orford zawsze wydawała takie wspaniałe przyjęcia.

- Zostawiła w majątku swoją kucharkę, więc powinnaś być zadowolona, że zostałyśmy tam jutro zaproszone na obiad.

- Na obiad... - Maria z wrażenia zakryła usta koronkową chusteczką. - Ale, Rosalyn, kochanie... dżentelmen z Indii... myślisz, że powinniśmy?

- Jak ci nie wstyd? - Rosalyn z dezaprobatą spojrzała na kuzynkę. - Nie bądź snobką, moja droga. Pan Wrexham to

bardzo miły dżentelmen i jestem pewna, że Jared okaże się równie sympatyczny. Zresztą obiecałam lady Orford, że wprowadzę jej lokatorów do okolicznych domów.

- Dobrze, jeśli taka twoja wola. - Maria westchnęła z rezygnacją. Już dawno pojęła, że nigdy nie narzuci Rosalyn swoich rygorystycznych zasad, stosownych dla prawdziwej damy, więc podnoszenie tej sprawy stałoby się zarzewiem niepotrzebnego sporu. A przecież mieszkała tutaj wyłącznie dzięki wspaniałomyślności kuzynki, która nie miała serca jej wyrzucić. - Oczywiście nie będę się sprzeciwiać. Jestem tu tylko gościem. Rób, jak uważasz.

- Na pewno będziesz się dobrze bawić, Mario, a ja naprawdę złożyłam taką obietnicę lady Orford. Nie mogę więc złamać słowa. Zważ przy tym, że ci ludzie muszą być godni szacunku, bo innych lord Orford nie wpuściłby do domu.

- Oczywiście. Słusznie mnie upomniałaś, Rosalyn. Jestem głupią kobietą i czuję, że nadużywam twojej cierpliwości.

- Wiem, że masz zawsze na względzie moje dobro. - Rosalyn cmoknęła Marię w policzek. Pomimo wszystko kochała swoją kuzynkę i nie chciała jej ranić ostrym słowem. - Zjemy drugie śniadanie? Spacer zaostriżył mi apetyt.

Zbliżała się północ. Rosalyn ziewnęła i odłożyła książkę. Maria już dawno poszła do łóżka, a ona została, by dokończyć ostatni rozdział. Niestety rozwiązanie intrygi okazało się aż nazbyt łatwe do przewidzenia, więc rozczarowana odłożyła powieść.

Niekiedy doskwierało jej poczucie, że żyje zbyt monotonnie. Była przywiązana do Lyston House, starego dwo-

ru, zimą pełnego przeciągów, niemiłosiernie zagraconego nagromadzonymi przez lata przedmiotami, czasami jednak odczuwała osamotnienie. Oczywiście sama była sobie winna. Ciotka Susan zapraszała ją do Bath, a Freddie z radością powitałby ją w swoim londyńskim domu. Jednak żadna z tych dwóch możliwości nie odpowiadała jej niezależnej naturze.

W Lyston House była panią siebie, mogła robić, co chciała, samotnie jeździć konno po polach, chodzić z gołą głową i odwiedzać tylko tych przyjaciół, których znała i lubiła przez całe życie.

Towarzystwo w Londynie i Bath wydawało się jej zbyt konwencjonalne i zamknięte w sobie. Rosalyn była z natury błyskotliwa i obdarzona duchem przekory, a ojciec, sir Robert Eastleigh, jeszcze wzmocnił w niej te cechy. Dopóki żył, nigdy nie zaznała nudy. Byli najlepszymi przyjaciółmi i nieustannie cieszyli się swoim towarzystwem.

Tak bardzo za nim tęskniła!

Łzy zakręciły się jej w oczach na wspomnienie ostatnich tygodni życia ojca. Był okazem zdrowia, aż nagle zapadł na jakąś chorobę, która błyskawicznie pozbawiła go sił i przykuła do łóżka. Nienawidził każdej chwili spędzonej w pościeli, czuł się uwięziony w niedomagającym ciele i wściekał się na każdego, kto mu się nawinął. Na każdego poza Rosalyn. Tylko ona potrafiła go uspokoić i sprawić, by śmiał się z własnych nieszczęść.

W tych ostatnich tygodniach zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. Rosalyn była zdruzgotana jego śmiercią i dotąd nie zdołała jej przeboleć. Po zakończeniu przepisowego okresu żałoby rodzina starała się ją namówić, by częściej spotykała się z ludźmi, ale ona wiedziała, że wśród bywalców salonów

Londynu i Bath nie znajdzie człowieka, który mógłby zastąpić jej ojca. Sir Robert przynależał do wiejskiego pejzażu, kochał naturę, był prostoduszny i rubaszny, imponował siłą fizyczną, jak i mocą charakteru. Miał w sobie więcej życia i szlachetności niż jakikolwiek dżentelmen, którego mogłaby spotkać na salonach.

Dziwne, pomyślała, podchodząc do okna, żeby spojrzeć na księżycową noc, ale pan Wrexham przypominał nieco jej ojca. Nie, nieprawda. Nie byli podobni... może poza sposobem wysławiania się. Sir Robert uchodził za człowieka prostolinijnego, wielu raziła jego bezpośredniość, dlatego rzadko udzielał się towarzysko. Rosalyn dużo po nim odziedziczyła, w tym skłonność do mówienia o wszystkim bez ogródek, co uważano raczej za wadę niż zaletę.

Z zamyślenia wyrwał ją widok niewyraźnej postaci ukrytej w zaroślach. Ktoś tam był! Zapewne mężczyzna... Po plecach Rosalyn przebiegł dreszcz. Żaden ze służących nie kręciłby się po ogrodzie o tak późnej porze, bo niby po co.

Nagle usłyszała znajome szczekanie. Z zarośli wybiegła Sheba, a za nią pojawił się... nie, nie mężczyzna, raczej chłopiec, na oko mniej więcej dwunastoletni. Biegł za psem, wołając go w jakimś dziwnym języku. W świetle księżyca Rosalyn widziała go wyraźnie. Miał na głowie turban i dziwaczne ubranie... Hindus! Tak, oczywiście, to musiał być ten uczeń, o którym mówił pan Wrexham.

Dogonił Shebę. Suka zatrzymała się, usiadła z wywiezionym ozorem i pozwoliła chłopcu się pogłaskać. Rosalyn z uśmiechem patrzyła, jak jej pies z entuzjazmem liże dzieciaka po twarzy. Zastanawiała się, czy powinna do nich wyjść. Hinduski chłopiec był stanowczo zbyt młody, by o tej porze

znajdować się poza domem. Jak pan Wrexham mógł na to pozwolić?

Już sięgała ręką do klamki okna, kiedy z cienia wyłonił się mężczyzna, również odziany w ten dziwny strój. Wyciągnął rękę, by złapać chłopca, który jednak gwałtownie odskoczył z przenikliwym okrzykiem. Otworzyła francuskie okno, by lepiej widzieć, co się dzieje.

W tym momencie nieznajomy podniósł na nią wzrok, a Sheba rzuciła się na niego. Rosalyn nigdy nie dowiedziała się, czy szok na jego twarzy spowodowany był jej widokiem, czy raczej atakiem psa. Krzyknął z bólu, złapał się za rękę i cofnął o kilka kroków. Powiedział w swoim języku kilka słów do chłopca, który, wyraźnie przerażony, potrząsnął głową.

- Sheba, nie! - zawołała Rosalyn, widząc, że rozjuszona suka zamierza do upadłego bronić młodego przyjaciela przed wrogiem. - Kim pan jest? Co pan robi w moim ogrodzie o tej porze?

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią, jakby nie wiedział, co robić, choć czuła, że ją zrozumiał. Mimo to nie odpowiedział, tylko wciąż coś mówił do chłopca w swoim języku.

Rosalyn podeszła do nich, złapała Shebę za obrozę i stanęła tak, by znaleźć się pomiędzy chłopcem a mężczyzną. Całą swą postawą ostrzegała go przed kolejnym atakiem na dziecko.

- Proszę się wytłumaczyć, sir. Co pan tu robi? I dlaczego ten dzieciak boi się pana?

Mężczyzna spojrział na nią ponuro, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął w krzakach. Wyraźnie był wściekły, że się wtrącała.

- On już nie wróci - powiedział chłopiec, kiedy gałęzie

krzewów na powrót znieruchomiały. Mówił doskonale po angielsku, z nikłym śladem obcego akcentu. - Uratowała mnie pani, pani i pies.

Sheba nadal głucho warczała. Dotąd nigdy nie rzuciła się na człowieka. Rosalyn uspokajająco podrapała ją za uszami.

- Kim był ten mężczyzna? - zapytała. - Dlaczego się go bałeś?

- Wcale się go nie bałem - odparł z mocą. - Byłem tylko niezadowolony, że za mną poszedł. Ja nikogo się nie boję.

-Rozumiem... - Ukryła uśmiech. Bez wątpienia miała przed sobą bardzo dumnego młodego człowieka. Spojrzała w dół, bo suka szczeknęła. - Cicho, Sheba. Wszystkich w domu pobudzisz.

- To pani pies? - Chłopiec z entuzjazmem spojrzał na Rosalyn. - Sheba przyszła dziś do nas za sahibem Wrexhamem. Mówił, że to pies naszej sąsiadki, panny Eastleigh, i odesłał ją do domu, ale musiała wrócić, bo zobaczyłem ją w naszym ogrodzie, kiedy wyszedłem, nie mogąc zasnąć. Pobiegnęła w tym kierunku, a ja za nią. Przepraszam, że panią zaniepokoiłem, ale chciałem sprawdzić, czy Sheba trafi do domu.

- Pewnie masz na imię Jared. Pan Wrexham powiedział, że jesteś jego uczniem.

Chłopiec wahał się przez moment, ale w końcu kiwnął głową.

- Tak, mem-sahib. Jestem Jared, a sahib Wrexham to mój... nie jestem pewien, jak to powiedzieć. Czy użyć słowa „mistrz”, czy „nauczyciel”?

- W wypadku pana Wrexhama chyba bardziej odpowiedni byłby „mistrz” - stwierdziła Rosalyn, zachowując z trudem



powagę. - Bo jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by prowadził normalne lekcje.

- A jakie są normalne lekcje?

- No, czytanie, pisanie, arytmetyka...

- To wszystko umiem - oświadczył Jared z dumą. - Mama nauczyła mnie czytać, kiedy jeszcze byłem mały.

- A ile teraz masz lat?

- Czternaście i trzy miesiące, mem-sahib.

Więcej, niż wywnioskowała z postury. Rosalyn powstrzymała uśmiech. Jared był najwyraźniej czuły na punkcie swej godności, przy tym miał doskonałe maniery, z którymi mógłby obracać się w najlepszym towarzystwie. Z jakiego więc powodu ukrywał się na głuchej wsi w Cambridgeshire?

Pan Wrexham na pewno nie był nauczycielem, co ustaliła już przedtem. Kim więc był? Może strażnikiem chłopca? I dlaczego Hindus o ciemnych, pełnych złości oczach próbował pochwycić Jareda?

- Jared, czy pan Wrexham wie, że wyszedłeś o tej porze na dwór?

- Nie, mem-sahib - odparł niepewnie. - Powie mu pani o tym jutro, podczas wizyty?

- Nie sądzę, by to było konieczne. Jak myślisz?

- Byłby na mnie zły.

- Raczej zatroskany. - Rosalyn zmarszczyła brwi. - Kim był ten mężczyzna? Wydaje mi się, że jednak trochę się go bałeś.

- On mnie nie skrzywdzi - rzucił z pogardą. - Nie miałby odwagi. Mój ojciec by go ukarał. Ale ja nie lubię Radziba. Czasami patrzy na mnie tak dziwnie, jakby mnie nienawidził. Wiem, że nie lubił mojej mamy. I ja go nie cierpię, ale wcale się go nie boję. - Wyzywająco zadarł głowę.

- Powinieneś porozmawiać z panem Wrexhamem. Gdy się dowie, że nie lubisz Radżiba, może go odeśle.

- Radżib to mój sługa - stwierdził wyniośle. - Sam mogę go odesłać, jeśli zechcę, ale wtedy Nessa zostanie sama, bez żadnej pomocy, a jest już stara i brak jej sił.

- Kim jest Nessa?

- To moja *ayah*. Była przyjaciółką mojej mamy i opiekowała się nią przed śmiercią. - Jego oczy zaszklily się niebezpiecznie.

- Kiedy zmarła twoja mama?

- W zeszłym roku. - Mrugał zawzięcie powiekami, żeby powstrzymać łzy. - Kiedy żyła, wszystko było lepiej. Teraz nie jestem mile widziany w domu ojca.

- Dlaczego sądzisz, że twój tata już cię nie chce? - spytała ze współczuciem.

Twarz Jareda zmieniła się, jakby niewidzialna kurtyna zasłoniła jego myśli i uczucia.

- Nie wolno mi o tym mówić. Muszę już wracać.

- Pozwól, że cię odprowadzę.

- Mogę pójść sam. Nie ma powodu do obaw.

Było w nim tyle dumy, tyle godności! Już zdobył serce Rosalyn.

- Oczywiście... A może wzięłbyś Shebę? Przytrzymasz ją za obrozę, jak ja w tej chwili. Ona zna drogę, a ty możesz zabiłdzić. Jak dojdiesz do domu, po prostu ją puścisz, a ona tu wróci, kiedy będzie miała ochotę.

- Pani jest dobra, mem-sahib. - Jared uśmiechnął się nagle. - Lubię panią. Cieszę się, że sahib Wrexham zaprosił panią do nas. Chętnie wezmę z sobą Shebę, ale tylko dlatego, że nie jestem pewien drogi.

- Oczywiście.

Rosalyn ukryła uśmiech. Odprowadzała wzrokiem chłopca, który oddalał się, mocno trzymając obrożę. Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć; pomachała mu na pożegnanie, wróciła do domu i zamknęła francuskie okno.

Damian obserwował całą tę scenę ukryty wśród drzew. Zmarszczył czoło. Był zbyt daleko, by usłyszeć, co Jared jej wyznał. Co za pech, że musieli się spotkać akurat w tak nieprzyjających okolicznościach. Mógł mieć tylko nadzieję, że chłopiec nie powiedział ani nie zrobił nic, co wzbudziłoby podejrzenia panny Eastleigh. Była inteligentną i przenikliwą kobietą. .. Wyjątkową kobietą.

Gdyby wtrąciła się w tę sprawę, mogłaby zniweczyć jego plany i sprowadzić na nich wszystkich niebezpieczeństwo.

Rano, kiedy Maria weszła do saloniku, ujrzała Rosalyn zajęta szyciem... i ziewaniem. Spędziła niespokojną noc, śniąc o niebezpiecznych mężczyznach, którzy czają się w krzakach, i o panu Wrexhamie.

- Dwa listy do ciebie - oznajmiła Maria, podając jej korespondencję. - Od Freddiego i pani Buckley.

- Od cioci Susan? Przecież pisała do mnie w zeszłym tygodniu. Ciekawe, co... - Złamała pieczęć. - Och! Biedne dziecko.

- Coś złego, kochanie? - Maria rzadko otrzymywała listy, więc z niecierpliwością czekała na korespondencję do Rosalyn, by dowiedzieć się nowin.

- Córeczka kuzynki Celi zapadła na szkarlatynę. Ciocia Susan pisze, że mała już wyzdrowiała, ale jeszcze nie czuje się dobrze. Lekarz zaleca jej całkowity odpoczynek przez następnych kilka tygodni. Ciocia pyta, czy mogłybyśmy ją tutaj za-

prosić na pewien czas... - Rosalyn zerknęła na Marię. - Nie miałabyś nic przeciwko temu?

- Przecież nie jestem pozbawiona serca - odparła kuzynka z urazą. - Napisz, że z radością powitamy to słodkie maleństwo. Wiesz, jak kocham dzieci, choć tej dziewczynki nie miałam okazji jeszcze poznać.

- Nie wiem, jaka jest teraz Sarah Jane, choroba mogła ją zmienić, ale kiedy widziałam ją ostatnio, była upiorna. Wszystkie dzieci kuzynki Celi są, by użyć najdelikatniejszego określenia, nazbyt żywe.

- Rosalyn! Nie powinnaś tak mówić o biednym dziecku - ofuknęła ją łagodnie Maria. - Oczywiście wiem, że tylko tak żartujesz, często to robisz, choć, moim zdaniem, nie powinnaś, kochanie.

- Zapewniam cię, że nie ma nic zabawnego znaleźć się na łasce i niełasce któregoś z dzieciątek Celi. Ona nie ma bladego pojęcia o dyscyplinie i to między innymi powstrzymuje mnie przed zamieszkaniem u cioci Susan. Zbyt często odwiedza ją Celia ze swymi potworami. - Rosalyn skrzywiła się. - Uwierz mi, goszczenie Sarah Jane z pewnością nie będzie czystą przyjemnością, a raczej czymś wręcz odwrotnym. Obawiam się jednak, że nie mamy innego wyjścia. Możemy tylko przygotować się duchowo na ciężką próbę i mieć nadzieję, że ta wizyta nie potrwa zbyt długo.

- Rosalyn, kochana! - Maria była autentycznie wstrząśnięta. Choć miała na to dość czasu, jeszcze w pełni nie przywykła do bezpośredniości kuzynki i nie potrafiła orzec, kiedy Rosalyn żartuje, a kiedy mówi serio. - Już wiem, o co chodzi. Zmęczyło cię to szycie. Mówiłam ci tyle razy, byś porzuciła to zajęcie, skoro nie masz do niego serca. Sama mogę...

Rosalyn wsunęła list brata do kieszeni. Z niewiadomych względów była dziwnie niespokojna, czuła nieprzyjemne kłucie w skroniach.

- Wychodzisz? - zapytała Maria.
- Trochę mnie boli głowa. Pójdę na spacer.
- Na pewno świeże powietrze ci pomoże, a szycie zostaw mnie. Wiesz, że z prawdziwą radością wyręczam cię w takich drobnych obowiązkach.
- Rozpieszczasz mnie, kuzynko. Nie zasługuję na to.
- Ależ...
- Mogę nie wrócić na drugie śniadanie. Nie czekaj na mnie.
- Tylko się nie zmęcz, kochanie. Pamiętaj, że zostałyśmy zaproszone na wieczór, choć nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy tam nie poszły.

Rosalyn okryła się ciepłym szalem i wyszła do ogrodu na tyłach domu.

Co się z nią działo, u licha? Przecież nie była taką egoistką, żeby wpadać w złość na samą myśl o goszczeniu u siebie chorego dziecka kuzynki. Poza tym Sarah Jane na pewno przyjedzie z opiekunką. Po prostu od wczoraj była dziwnie niespokojna. W nocy nie mogła zasnąć, a teraz wszystko ją denerwowało.

Te rozmyślania przerwała jej Sheba, która raptownie skądś się pojawiła i z impetem skoczyła na Rosalyn.

- Do nogi! Ty głupi psie! Czy ty kompletnie nie masz rozumu?

Rosalyn rozpoznała męski głos. Odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz ze swym nowym sąsiadem, który mówił dalej:

- Proszę o wybaczenie, panno Eastleigh. Odprowadzi-

łem pani to okropne stworzenie, lecz na pani widok She-ba szarpnęła smycz, a ja, głupi, puściłem ją. Nic się pani nie stało?

- Nie. - Rosalyn uśmiechnęła się, z niezrozumiałych przyczyn natychmiast poprawił jej się humor. - Jestem przyzwyczajona do jej wybryków. To nie pana wina. Ona zawsze tak się zachowuje. - Potrząsnęła głową, patrząc na psa, który tańczył przy niej i podskakiwał, żeby złapać za brzeg szala. - Sheba! Niegrzeczna dziewczynka! Siad! - Z najwyższym zdumieniem zobaczyła, że Sheba posłusznie usiadła, podniosła głowę i merdając ogonem, czekała w gotowości na polecenia. - Wielkie nieba! Posłuchała! Pan ją tego nauczył, panie Wrexham?

Wybuchnął śmiechem na widok jej osłupienia.

- Niestety, nie mogę przypisać sobie zasługi. Tego cudu musiał dokonać Jared. Znalazłem ich rano, jak zwinieci w kłębek spali na dywanie i chrapali unisono. Jared nie lubi angielskich łóżek. Powiedział mi o waszym nocnym spotkaniu w pani ogrodzie.

Rosalyn była zdumiona, że chłopiec jednak się przyznał.

- Posłałam z nim Shebę. Wydawało mi się niezbyt rozsądne, by chłopiec w jego wieku włóczył się sam po polach w środku nocy. Nie przypuszczam, by groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, ale nie sądzę, by pan to aprobował. Uznałam, że Sheba zapewni mu ochronę, gdyby jednak jej potrzebował.

- Okazała pani wyjątkową troskliwość. Oczywiście ma pani rację, że o tak późnej porze nie powinien wychodzić z domu, chociaż jest znacznie dojrzały, niż mogłoby się zdawać. Niestety zbyt szybko musiał dorosnąć, choć jak inni chłopcy w jego wieku potrzebuje zabawy i beztroskich chwil.

- Jak inni chłopcy... Kim on jest, panie Wrexham? Wczorajszej nocy zdawało mi się, że nie jest do końca taki, jakim go pan przedstawiał.

- Doprawdy, panno Eastleigh? - Na twarzy Damiana odmalowała się mieszanina rozdrażnienia i rozbawienia. - Tak, mogłem się tego spodziewać. Radżib powiedział mi, co się stało. Przyszedłem, żeby wyjaśnić i uspokoić panią. Radżib pragnął jedynie czuwać nad chłopcem, niestety Jared uważa to za w najwyższym stopniu irytujące.

- Przypuszczałam, że właśnie o to chodziło. - Uśmiechnęła się lekko. - Zaprosiłabym pana do środka, ale dopiero co wyszłam, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zresztą podczas spaceru będziemy mogli o wiele swobodniej porozmawiać, bo w domu kuzynka czułaby się w obowiązku dotrzymać nam towarzystwa.

- Biedna Diana - mruknął ze współczuciem. - Świetnie panią rozumiem. Nie została pani stworzona na niewolnicę konwenansów, panno Eastleigh. Powinna pani być wolna i żyć wedle własnych zasad. Przypuszczam, że są takie chwile, kiedy życie domowe ciąży pani wprost nie do wytrzymania.

Skąd on to wiedział? Potrafił czytać w jej myślach! Rosalyn obrzuciła go spojrzeniem, które w zamyśle miało być miazdzące, i zmarszczyła gniewnie brwi, kiedy w odpowiedzi wybuchnął śmiechem. Czy on nigdy nie bywał poważny?

- Niech mi pan opowie o swym podopiecznym, panie Wrexham. To bardzo szczególny młody człowiek, prawda?

- Bardzo szczególny. Proszę o wybaczenie, jeśli nie podam pani wszystkich szczegółów, ale, proszę mi wierzyć, mam ku temu powody.

- Tak, rozumiem. Wyobrażam sobie, że jego ojciec jest bardzo bogatym człowiekiem, może nawet ważną osobistością.

- Co za przenikliwość! To cecha rzadko spotykana u nadozobnych pań. - Z rozbawieniem zauważył, jak jej oczy rozbłysły. - Nie, proszę ich nie bronić, panno Easdeigh. Mam opinię drania, więc moje zdanie nie ma znaczenia. Jestem przeświadczony, że każda dama mogłaby się poszczycić długą listą cnót, tylko mnie jakoś trudno je dostrzec...

Rozbawiło ją to aroganckie oświadczenie, ale surowo potrząsnęła głową, by go ostrzec, że stał się zbyt frywolny.

- Nie będę pana karcic, sir. Niewątpliwie doskonale zda je pan sobie sprawę z własnych wykroczeń. Miał pan mówić o Jaredzie. Proszę kontynuować.

Damian roześmiał się.

- Rzeczywiście, miałem i powinienem. Z pewnych względów, których nie mogę wyjawic, jego ojciec doszedł do wniosku, że Jared dla własnego bezpieczeństwa powinien na kilka miesięcy wyjechać do Anglii. Ponieważ od dawna przyjaźnię się z Ahmedem...

- Ahmedem?

- To imię zastrzeżone dla najbardziej uprzywilejowanych.  
- Popatrzył jej prosto w oczy. - Nikt nie powinien wiedzieć o jego tytule. Jak już wspominałem, Ahmed poprosił mnie, bym zabrał chłopca do Anglii.

- A pan wybierał się właśnie do domu?

- Tak. Wezwały mnie tutaj pewne interesy, mogłem więc wyrwać Jareda z otoczenia, w którym nie powinien chwilowo przebywać.

- Powiedział mi, że nie jest mile widziany w domu ojca.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią zwięzonymi oczami. - A wyjaśnił dlaczego?

- Zdradził tylko, że wszystko zmieniło się w ubiegłym roku, po śmierci jego matki.



Rosalyn zdawało się, że dostrzegła w jego oczach ulgę.

- To, niestety, prawda. Ojciec Jareda pojął następną żonę, młodą i ładną dziewczynę. Pojawiła się zazdrość, i to obustronna.

- Rozumiem.

- Ahmed wielokrotnie obiecywał pierwszej żonie, że Jared spędzi parę lat w angielskiej szkole... więc uznał, że nastał ku temu właściwy czas.

Rosalyn odwróciła głowę, by spojrzeć na Damiana. Dlaczego podejrzewała, że nie mówił prawdy? Przecież nie miał chyba powodów, by kłamać. A jednak czuła, że coś przed nią ukrywał. Dlaczego nie potrafił zdobyć się na szczerść, skoro zaczął o tym mówić? Może nie całkiem jej ufał.

- Mam nadzieję, że to, czego się pani dowiedziała, nie zmieni pani decyzji w sprawie dzisiejszego obiadu. - Z dziwną intensywnością wpatrywał się w jej twarz.

- Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Polubiłam pańskiego ucznia, sir. Jest uroczy i mam nadzieję, że podczas tego lata zdążymy wszyscy lepiej się poznać.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się leniwie, a ona nie potrafiła rozpoznać jego prawdziwych intencji i emocji. - Bardzo nam zależy na pani przyjaźni, panno Eastleigh. Jesteśmy tu obcy, a chciałbym, żeby Jared zdobył tutaj przyjaciół, jeśli to tylko możliwe.

Coś się kryło za tym oświadczeniem. Rosalyn była zaintrygowana. Od początku polubiła pana Wrexhama i to nie uległo zmianie, choć przeczuwała, że jego charakter został ukształtowany przez nie zawsze przyjemne doświadczenia. Był człowiekiem z przeszłością... i miała ogromną ochotę odkryć jego tajemnice.

- Proszę nie szukać zbyt gorliwie odpowiedzi na tłoczące

się w pani głowie pytania - poradził ze znaczącym błyskiem w oku. - Jared po prostu strasznie tęskni za matką, a pani towarzystwo może przynieść mu ulgę, bo pod pewnymi względami bardzo przypomina pani Annę. Odrobina zainteresowania z pani strony pomogłaby mu otrząsnąć się z żałoby.

- Z radością się tego podejmę, choć nie jestem pewna, na czym ta pomoc miałyby polegać...

- Po prostu niech pani będzie sobą - odparł z uśmiechem.

Gdy spojrzała na niego, jej serce zabiło szybciej.

Damian zbliżył się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Nie powinienem był tego robić - przyznał bez oporów, kiedy gwałtownie się cofnęła. - Ale nie potrafiłem się oprzeć.

Na jej policzki wypłynął rumieniec, a puls walił w oszałamiającym tempie. Co się z nią działo? Powinna być wściekła, a tymczasem czuła tylko lekkie zażenowanie.

- Wolałabym, aby w przyszłości uprzedzał mnie pan o kolejnym pocałunku... żebym mogła się nim w pełni nacieszyć.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem, który zdał się Rosalyn dziwnie rozkoszną melodią.

- W Anglii za podobną impertynencję mężczyzna raczej spodziewa się siarczystego policzka i ostrej reprimendy - oświadczył, całkowicie zawojowany odpowiedzią Rosalyn. Tak naprawdę jej słowa były jeszcze bardziej obrazoburcze niż jego postępek. - Miałem rację, jest pani absolutnie niebywałą kobietą, panno Eastleigh.

- Pan zaś, panie Wrexham, nie przypomina żadnego ze znanych mi dżentelmenów. Skoro jednak ostatnich kilka lat spędził pan w Indiach, przyjmuję, że zapomniał pan o szacunku należnym damie.

Jego śmiech był tak ciepły i zaraźliwy, że musiała mu

zawtórować. Poza tym schlebiało jej, że miał ochotę ją pocałować. Od dawna okazywano jej wyłącznie nużący szacunek, a przecież nie była jeszcze taka stara! Nie weszła w wiek, kiedy kobieta traci zainteresowanie niezobowiązującym flirtem.

- Znalazła pani sposób, by mnie wytłumaczyć - stwierdził z błyskiem w oku. - To urocze, panno Eastleigh. Jest pani bardziej podobna do Anny, niż początkowo sądziłem. Przypuszczam, że bliższa znajomość z panią wpłynie korzystnie nie tylko na mojego ucznia, ale i na mnie.

Porównanie z Anną najwyraźniej było komplementem. Rosalyn była ciekawa kobiety, która odważyła się wyjść za Hindusa, na co nie zdobyłaby się żadna z dam należących do jej klasy.

- Jaka ona była?

Damian zamyślił się chwilę.

- Bardzo piękna... i szła przez życie swoją drogą. Zwykle dostawała to, co chciała, choć nigdy nie słyszałem, by podniosła głos czy zrzędziła. Po prostu zakładała, że wszyscy pragną ofiarować jej to, czego pragnie. I dawali. Mąż ją uwielbiał, po jej śmierci był zdruzgotany. Powodem pospiesznego i niezbyt przemyślanego drugiego małżeństwa była rozpacz, z którą nie radził sobie w samotności. Widzi pani, w tym związku to Anna była silniejszym partnerem.

Nigdy nie słyszała, by ktoś w taki sposób mówił o małżeństwie. Dla większości dżentelmenów było ono zwykłym kontraktem, choć jej zdaniem powinno opierać się właśnie na partnerstwie. Z jej doświadczeń wynikało jednak, że tego typu związki zdarzały się nader rzadko.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie nie jestem zbyt podobna do Anny, panie

Wrexham. Z przykrością muszę przyznać, że jestem dość porywczą i nie zawsze potrafię nad tym zapanować.

- Będę o tym pamiętał. Teraz jednak, panno Eastleigh, mam pewne sprawy do załatwienia. Muszę panią opuścić. Do wieczora.

-Do wieczora...

Patrzyła, jak oddalał się, idąc na przełaj przez łąkę. Miał wyjątkowo silną osobowość, ale poza niezaprzeczalnym czarem Rosalyn wyczuwała w nim również coś mrocznego. Zaczęła się zastanawiać, czy zacieśnianie znajomości z panem Wrexhamem będzie rozsądne.

## Rozdział drugi

Przypomniała sobie o liście od brata, dopiero gdy przebierała się przed wyjściem na proszony obiad. Przeczytała go szybko z rosnącym zdumieniem. Freddie zapowiadał przyjazd w przyszłym tygodniu i zamierzał pozostać przez kilka dni. Miał przywieźć z sobą gości. Dwie kobiety!

Nieczęsto zdarzało się, by sir Frederick Eastleigh składał wizytę w Cambridgeshire. Wolał swój dom w Londynie i posiadłość w Devon. A kiedy już się zjawiał, to zwykle bez zapowiedzi i sam nie wiedział, na jak długo. Skoro zawiadamiał z góry o swoich planach - i przywoził gości płci żeńskiej! - to należało oczekiwać czegoś zupełnie wyjątkowego.

Może Freddie planował małżeństwo? Ten pomysł natychmiast zaświtał w głowie Rosalyn, postanowiła jednak zatrzymać go dla siebie, kiedy po kilku minutach zeszła na dół do czekającej już na nią Marii.

- W przyszłym tygodniu Freddie przywiezie nam gości - powiedziała tylko, kiedy wyruszyły w drogę. - Będziemy miały dom pełen ludzi.

- Jak miło! - Maria aż zaczerwieniła się z podniecenia. -

Dobrze i wygodnie nam we dwie, ale uwielbiam gości, a już szczególnie kochanego sir Fredericka. To ogromna przyjemność witać go w domu, prawda?

- Tak. Zawsze się cieszę na jego widok.

Rosalyn zatonęła w myślach. Brat miał dopiero dwadzieścia jeden lat, ale trzy lata temu, po śmierci ojca, odziedziczył majątek i tytuł, i od tego czasu zdążył już stać się mieszcuchem. Siostra uśmiechnęła się tylko, kiedy Freddie przyłączył się do tak zwanych Koryntian, gdzie grupowali się miłujący rozrywki dżentelmeni. Wiedziała, że Freddie dzięki niebagatelnej fortunie trawił czas na wyścigach, uprawiał hazard i szermierkę, uczył się boksu, ale w głębi serca był rozsądnym młodym człowiekiem, dlatego nigdy się o niego nie martwiła.

Zastanawiała się, czy powinien się żenić w tak młodym wieku, doszła jednak do wniosku, że pewnie zbyt wiele wyczytała z jego listu. Z jakiegoś jednak powodu zamierzał przywieźć do domu i przedstawić siostrze szlachetnie urodzoną panią P. Jenkins i pannę Beatrice Holland.

Rosalyn porzuciła te mętne rozmyślenia, kiedy powóz zatrzymał się przed imponującą fasadą Orford Hall. Dwór został zbudowany w minionym stuleciu i był znacznie nowocześniejszy od Lyston House. Imponował wspaniałym portykiem o kolumnach z białego marmuru i pięknymi, wysokimi oknami.

Kamerdyner pomógł jej wysiąść z powozu, a w drzwiach powitała ją pani Browne, gospodyni z Orford, która uwolniła ją i Marię od całego zestawu okryć, szalów, rękawiczek i mufek, niezbędnych w chłodny, wiosenny dzień.

- Pan Wrexham i panicz Jared czekają w salonie, panno Eastleigh. Pastor również usiądzie dzisiaj do obiadu.

- Och, kochany pan Waller już jest? - Maria rozpromieniła się. Miała słabość do przygłuchego, ale poczciwego wielebnego Wallera. - Jak miło! Dziękuję, pani Browne, ale zatrzymam ten szal. Wieczorami robi się chłodno.

- Bardzo rozsądnie, madame. W naszym wieku lepiej nie ryzykować...

Widząc, że kuzynka pograżyła się w przyjacielskiej pogawędce z gospodynią, Rosalyn ruszyła w głąb domu. Często gościła w Orford Hall, więc czuła się tu jak u siebie. Zatrzymała się na chwilę w progu obszernego salonu i przyglądała się uroczej scence. Pokój, raczej wygodny niż elegancki, utrzymany w ciemnej czerwieni i złocie, zapraszał ogniem z kominka, wazonami pełnymi kwiatów i lekkim aromatem lawendy.

Damian Wrexham siedział na kanapie z kieliszkiem wina w ręce, zatopiony w przyjaznej pogawędce z pastorem. Na widok Rosalyn obaj panowie wstali z uśmiechem.

- Dobry wieczór, panno Eastieigh - przywitał ją wielebny.  
- Miło mi panią zobaczyć. Zamierzałem zajrzeć do pani w najbliższych dniach.

- Zawsze pan taki zajęty, sir. - Rosalyn uśmiechnęła się serdecznie do duchownego, który w czasie choroby ojca okazał jej wiele przyjaźni. - Ale dobrze pan wie, że jest pan u nas najmilej widzianym gościem.

- Te wizyty to dla mnie prawdziwa przyjemność. - Pastor radośnie pokiwał głową. - Orfordowie zawsze podają na stół wykwintne potrawy.

Widać zapomniał, kto naprawdę zaprosił go na obiad, ale pełen rozbawienia błysk w oczach gospodarza upewnił ją, że nie ma mowy o żadnej urazie.

- Panno Eastieigh. - Damian Wrexham ujął jej dłoń i pod-

niósł do ust. - Jestem szczęśliwy, mogąc gościć panią w naszym, przynajmniej na pewien czas, domu. Jared, przywitaj się z panną Eastleigh.

Tak wspaniale prezentował się w stroju wieczorowym, że serce Rosalyn zadrżało. Była pewna, że nawet Freddie nie mógłby niczego zarzucić krojowi niebieskiego surduta z najlepszej wełny ani eleganckiemu fularowi, a połysku butów mógłby tylko pozazdrościć.

- Jak się masz, Jaredzie? - Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Chłopak również przywdział angielski strój wizytowy, z jednym wszakże wyjątkiem: na głowie miał turban ze złocistej tkaniny.

- Bardzo dobrze, mem-sahib. - Był onieśmielony, zachowywał się zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru. - Cieszę się z pani odwiedzin.

- Dziękuję.

Chciała coś dodać, ale w tym momencie do salonu weszła Maria i chłopak usunął się w cień. Stanął przy oknie i wpatrywał się w mrok z takim smutkiem, że Rosalyn czuła się w obowiązku zwrócić na to uwagę jego opiekuna.

- Jared nie wydaje się dzisiaj zbyt szczęśliwy, sir. Czy wydarzyło się coś, co go zmartwiło?

- Musiałem na pewien czas ograniczyć jego wolność. - Damian spojrzał na podopiecznego i spochmurniał. - A on nie lubi być zamknięty w domu jak więzień.

- Jak więzień?!

- Niefortunnie dobrane słowo. - Damian uśmiechnął się krzywo. - Chyba pani nie podejrzewa, że Jared jest tu źle traktowany, panno Eastleigh? Wszystko, co robię, czynię dla jego dobra.

- Oczywiście.



Dlaczego mówił o nim jak o więźniu? Czy działo się tutaj coś złego, czego pan Wrexham bał się ujawnić? Spojrzała w zamyśleniu na Jareda, nie zdając sobie sprawy, że wyrazem twarzy zdradzała swe myśli.

- Czasami okoliczności narzucają nam sposób postępowania, panno Eastleigh.

- To prawda. Pan, naturalnie, zapewnia uczniowi ruch na świeżym powietrzu?

- Naturalnie. - Oczy Damiana rozbłysły skrywanym rozba-  
wieniem. - Niestety, Jared nie zawsze ma ochotę na towarzy-  
stwo, chyba że w grę wchodzi pani okropny pies. Sheba znów  
przyszła do nas z wizytą i spędziła większość dnia.

- A więc to tutaj przybiegła... Wygląda na to, że przywią-  
zała się do pańskiego domu, sir. Ale zapewniam, że Sheba nie  
skrzywdzi Jareda, wręcz przeciwnie, w razie potrzeby będzie  
go bronić do ostatniej kropli krwi.

- Nie ma pani nic przeciwko jej dezercji?

- Absolutnie nic. Jeśli Jared lubi z nią przebywać, może  
tu zostać. Zresztą Sheba zawsze była samowolna. Jak mógł  
pan zauważyć, niespecjalnie przejmuję się moimi słowami. -  
Uśmiechnęła się lekko.

- W takim razie oszczędzę sobie fatygi i nie wyrzucę jej stąd.

- Nawet gdyby pan chciał, miałby pan z tym niejaki kłó-  
pot, bo Sheba jest bardzo nieposłuszna i nie zwykła słuchać  
poleceń. Chyba że jej odpowiadają, oczywiście - zakończyła  
ze skrywaną dumą.

- Przypomina więc swoją panią, prawda?

- *Touche!* - Rosalyn najpierw roześmiała się radośnie, a po-  
tem rzuciła Damianowi karcące spojrzenie. Zbyt łatwo ją roz-  
szyfrował. W jego towarzystwie powinna się zdecydowanie  
bardziej pilnować.

Pograżeni w przyjaznej pogawędce, wielebny i Maria ze zdumieniem spojrzeli na Rosalyn, słysząc jej serdeczny śmiech. Była pogodna z natury, ale rzadko śmiała się tak swobodnie. To zaciekawienie w połączeniu ze złośliwym błyskiem w oczach pana Wrexhama sprawiło, że się zarumieniła.

- Przepraszam... - Poczwała się dziwnie wzburzona, choć nie umiała powiedzieć czemu. - Powinnam porozmawiać z pańskim podopiecznym.

Damian odprowadził ją wzrokiem, dumając nad czymś intensywnie.

Jared z niepokojem patrzył na zbliżającą się do niego pannę Eastleigh, ale na widok jej ciepłego uśmiechu odprężył się nieco.

- Sheba jest w moim pokoju - wyznał półgłosem. - Nakarmiłem ją, zanim zszedłem na dół. Zapewniam panią, że kiedykolwiek tu się zjawi, nigdy nie zazna głodu, mem-sahib.

- Wiem, że tutaj nie spotka jej nic złego.

Uśmiechnął się do niej, a jego ciemne oczy zaśniły jak mokre węgielki.

- Nie ma pani nic przeciwko jej wizytom w Orford Hall?

- Już powiedziałam panu Wrexhamowi, że może tu zostać, jeśli ci na tym zależy.

Jared energicznie kiwnął głową. Rosalyn zauważyła wielki szmaragd w jego turbanie. Z pewnością był bardzo cenny.

- Jest pani wspaniałomyślna, mem-sahib.

- Nie ma powodu, byśmy nie zostali przyjaciółmi, prawda? Obaj z panem Wrexhamem możecie wpadać do mnie bez zapowiedzi, zawsze będziecie mile widziani.

- A może jutro wybrałaby się pani z nami na konną przejażdżkę?

Zaskoczona Rosalyn obejrzała się za siebie. Damian stał za nią. Podał jej kryształowy kieliszek z szampanem.

- Mam nadzieję, że lubi pani szampana. A może woli pani sherry?

- Szampan będzie doskonały. Dziękuję. Za trunek i za zaproszenie. - Tym razem nie umknęła wzrokiem przed jego pytającym spojrzeniem. - Prawie codziennie przed śniadaniem jeżdżę konno. Sama, bo kuzynka nie umie.

- Nasze wierzchowce właśnie dotarły do Orford Hall. Jared jest znakomitym jeźdźcem, a odrobina ruchu dobrze zrobi nam obu. To zgodne z pani zaleceniem, by nie unikać ćwiczeń na świeżym powietrzu, nieprawdaż? - Spojrzał na nią kpiąco.

- Wykazuje pan godne pochwały posłuszeństwo moim radom, sir - odparła z szelmowskim błyskiem w oku. - O której się spotkamy? I gdzie?

Uzgodniono czas i miejsce, a zaraz potem pani Browne zaprosiła wszystkich do stołu.

Usadowiona między Jaredem a pastorem, Rosalyn obserwowała wysiłki Damiana, by oczarować Marię. Nie było to łatwe zadanie, ale pomalutku, stopniowo rezerwa Marii zaczęła zanikać. Uprzejmość i galanteria pana Wrexhama uspokoiły ją, więc jej uśmiech nabrał ciepła i zaczął wyrażać aprobatę.

W pewnym momencie Damian pochwycił spojrzenie Rosalyn i jego wzrok całkowicie ją rozbroił. Domyślił się, że przejrzała jego grę i bawiła się równie dobrze jak on. Miał naprawdę wyjątkowe, przewrotne i nieco złośliwe poczucie humoru! Od śmierci ojca Rosalyn nie spotkała nikogo, z kim mogłaby śmiać się ze wspólnych żartów. Uniosła brwi w ge-

ście aprobaty, natomiast Damian kontynuował batalię w celu rozbicia ostatnich bastionów obronnych Marii.

W rewanżu podzieliła się z nim lokalnymi ploteczkami, poinformowała go, z kim koniecznie powinien nawiązać znajomość i obiecała przedstawić wszystkim, kiedy spotkają się w niedzielę w kościele. Pod koniec wieczoru wprost promieniowała. Zapewniła Damiana, że z najwyższym zadowoleniem powita w dowolnie wybranym czasie zarówno jego, jak i „to drogie dziecko”.

- Wie pan, wkrótce spodziewamy się gości. Sarah Jane jest mniej więcej w wieku Jareda. Mogą się razem bawić.

- Bardzo pani dobra, dziękuję za troskę. - Z szacunkiem ucałował jej dłoń. - Z przyjemnością przywiozę któregoś dnia Jareda na herbatę.

- Będziecie zawsze mile widziani. - Maria zarumieniła się, kiedy zauważyła, że Rosalyn na nich patrzy. Uświadomiła sobie, że to raczej kuzynka powinna wystąpić z zaproszeniem. - Prawda, Rosalyn?

- Tak, oczywiście.

Rosalyn zachodziła w głowę, dlaczego pan Wrexham zadał sobie tyle trudu, żeby wkraść się w łaski jej kuzynki. Jego zabiegi wykraczały poza konwencjonalną uprzejmość. Znów przyszło jej do głowy, że coś się za tym kryje, jakiś trudny do rozszyfrowania motyw.

Gdy zegar wybił dziesiątą, Jared odprowadził panie do holu, żeby się z nimi pożegnać. Wyjątkowo pozwolono mu zostać dłużej na dole ze względu na szczególną okazję, lecz wreszcie pojawiła się starsza, siwiejąca kobieta o ciemnych oczach i przywołała go.

Rosalyn domyśliła się, że to *ayah* Jareda. Dostrzegła w jej wzroku ciekawość... a także tłumioną niechęć. Nie

ona była jednak jej obiektem, ale pan Wrexham, który przyjacielsko-opiekuńczym gestem trzymał rękę na ramieniu chłopca. Niechęć i zazdrość, rozszyfrowała do końca Rosalyn.

- Chodź - powiedziała Nessa po angielsku. - Czas spać, mój panie.

- Dobranoc, mem-sahib. - Jared grzecznie skłonił się przed Rosalyn. - Nessa mnie woła. Muszę iść.

- Do zobaczenia jutro.

Widziała, jak chłopak podbiegł do *ayah*, która powitała go z wielką miłością. Było oczywiste, że Nessa jest bardzo zaborcza wobec Jareda. Ale dlaczego zwróciła się do niego: „Mój panie”? Czyżby młody Hindus był kimś znacznie ważniejszym, niż początkowo sądziła? Jaka skrywała się w tym tajemnica?

- Do jutra, panno Eastleigh. Nie mogę się już doczekać na szej przejażdżki.

Podąła Damianowi rękę. Ucałował ją przelotnie, tak samo jak dłoń Marii, ale spojrzał przy tym na nią z tak szelmowskim błyskiem, że jej serce zgubiło rytm.

- Dziękuję za miły wieczór. - Chłodno skinęła głową, by ukryć dziwne emocje. - Ja również z przyjemnością myślę o jutrzejszym spotkaniu z panem i Jaredem.

Kąciki ust Damiana drgnęły. Rozbawiły go jej nienaganne maniere. Wielkie nieba! Czyżby potrafił czytać w jej myślach? Domyślił się, jak bardzo ją pociągał? A może tylko z niej kpił? I niewątpliwie coś przed nią ukrywał.

Rosalyn z płonącymi policzkami zmierzała za kuzynką do oczekującego na nie powozu. Zrobiło się chłodniej. Zadrzała i szczelniej owinęła się płaszczem. Angielski klimat bywał

zdradziecki, zapowiadał wiosnę, by po chwili dmuchnąć zimowym chłodem.

- Ten pan Wrexham to naprawdę czarujący mężczyzna - stwierdziła Maria. - Jak wiesz, kochana Rosalyn, nie byłam pewna, czy to rozsądne jeść obiad w towarzystwie nieżonatego dżentelmena, ale dzięki obecności naszego drogiego pastora zasady przyzwoitości zostały w pełni uszanowane. Zresztą pan Wrexham ma nienaganne maniery. To bardzo miły dżentelmen, nie sądzisz, kochanie?

Rosalyn powstrzymała się od komentarza. Nienaganne maniery to jedno, ale jakim człowiekiem był naprawdę, to już zupełnie inna sprawa. Dlaczego zaszył się tutaj, w najspokojniejszym zakątku Anglii? Wyczuwała jakąś tajemnicę, coś tu było nie tak, jak być powinno.

Dlaczego Jared był pilnowany niemal jak więzień? Kilkakrotnie dostrzegła w oczach chłopca lęk, kiedy opiekun coś do niego mówił, choć była pewna, że ze strony pana Wrexhama nic mu nie zagrażało. Z całą pewnością nie! Mógł być trochę ladaco, ale na pewno nie był łajdakiem. Na wspomnienie jego uśmiechu robiło jej się gorąco w sercu, ale nie była taką idiotką, by przez ten jego czar zatracić zdrowy osąd. A może jednak była?

Maria przez całą drogę do domu nie przestawała trąkotać. Ponieważ jednak wystarczyło jej od czasu do czasu mruknąć „tak” lub „nie”, Rosalyn mogła pogрузić się w myślach.

Pochwyciła w oczach pana Wrexhama wyzwanie. Na pewno wyczuł jej wątpliwości. Polubiła go od pierwszej chwili, pytanie tylko, czy mogła mu również zaufać? Instykt podpowiadał jej daleko posuniętą ostrożność, podczas gdy serce wołało, by odrzuciła rezerwę i przyjęła ten dar od losu.

Co jednak los jej oferował? Może tylko nic nieznaczący

flirt z mężczyzną, o którym nic nie wiedziała? Poza tym, oczywiście, że pod wpływem jego uśmiechu jej serce szybciej biło. Co czyniło go tym bardziej niebezpiecznym.

Kim więc był pan Wrexham? Mężczyzną z przeszłością, to oczywiste, ale jakie tajemnice ukrywał? Bo że coś ukrywał, to nie ulegało wątpliwości!

- Chyba nigdy nie bawiłam się tak dobrze jak dzisiaj - oświadczyła radośnie Maria, kiedy weszły do domu. - Musisz w przyszłym tygodniu wydać przyjęcie, Rosalyn, i zaprosić pana Wrexhama.

Nic nie odpowiedziała. Nie miała pewności, czy rozsądnie było kontynuować tę znajomość, ale równocześnie myślała już o jutrzejszej przejażdżce. Nowy sąsiad był niebezpiecznym, ale zarazem najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego spotkała od wielu, wielu lat.

Damian w zamyśleniu obchodził, jak co wieczór, cały ogród przed pójściem spać. Źle się stało, że Nessa zlekceważyła jego polecenie, by zostać na górze do odjazdu gości. Przestrzegił ją, że nie wolno zwracać się do Jareda jego tytułem, ale nie potrafiła się zmusić, by porzucić przez lata ugruntowane nawyki. Niewątpliwie była szczerze oddana chłopcu, którego niańczyła od niemowlęctwa, mogła jednak przez nieuwagę zniweczyć starannie obmyślane plany Damiana, przez co życie ich wszystkich mogło znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Wyraz twarzy panny Eastleigh świadczył niezbicie, że zaczynała coś podejrzewać, a gdyby podzieliła się z kimś swoimi wątpliwościami, byliby zmuszeni poszukać nowej kryjówki dla Jareda.

A może lepiej od razu rozejrzeć się za innym domem? Mo-

że bliżej Londynu, gdzie znalazłby wiele okazji do zrehabilitowania się w oczach społeczności, która odrzuciła go przed laty?

Damian westchnął w duchu, przeklinając konieczność powrotu do tego przekłętą kraju. Gdyby chodziło tylko o niego, wolałby do końca życia pozostać w Indiach. Tam miał wszystko, czego pragnął i potrzebował, ale wiedziony cienką nicią, która łączyła go jeszcze z przeszłością, powrócił do domu. Przyjechał, aby wszystko naprawić, a także dlatego, że był tutaj potrzebny.

No i ze względu na Jareda, oczywiście. Dał ojcu chłopca słowo i nie zamierzał go złamać. Oczywiście wiedział, że Nessa nie akceptowała jego władzy nad Jaredem i nad nią. Szkoda, ale nic nie mógł na to poradzić.

Damian usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z tyłu i natychmiast odwrócił się. Ktoś krył się w krzakach za jego plecami. Sięgnął instynktownie do kieszeni, w której trzymał pistolet.

- Kto to? - zapytał ostro. - Wyłaż, draniu! Albo skręcę ci kark!

- To ja, sahibie — zawołał Radżib, wyłaniając się w krzaków. - Jared znowu wyszedł z psem. Zacząłem go szukać.

- Do licha! - Damian zmarszczył czoło. - Głupie bydlę! Źle, że ta suka za mną tu przyszła. Bez niej Jared nie zapuszczałby się tak daleko.

- Mogę się jej pozbyć - zasugerował Radżib. - Nikt nie musi się o tym dowiedzieć.

- Skrzywdź tylko tego psa, a natychmiast odeślę cię do Indii! To okropny zwierzak, ale należy do panny Eastleigh. Pozwoliła Jaredowi zatrzymać Shebę na pewien czas i nie zrewanżuję się jej za ten gest czymś takim.



- Więc może powinien pan zamykać Jareda na noc? - Radżib rzucił Damianowi mrożące krew w żyłach spojrzenie. - A może pan chce, żeby chłopak łaził sam o tej porze?

Damiana zirytował podtekst, kryjący się za tymi słowami. Zrobił krok w stronę Hindusa, a jego oczy zabłyśły w świetle księżyca.

- A może ty powinieneś się zająć swoimi sprawami, a moje pozostawić mnie? - warknął. - Dopóki Jared znajduje się pod moją opieką, nie będzie zamykany ani we dnie, ani w nocy. To by go tylko jeszcze bardziej zdezorientowało i wystraszyło. Przekonam go, że nie wolno mu wychodzić w nocy na dwór.

- Jeżeli coś mu się stanie...

- Dlaczego cokolwiek miałoby się tutaj stać? - Oczy Damiana zwięziły się podejrzliwie. - W domu nie był bezpieczny i obaj wiemy dlaczego, ale tutaj nie mamy powodu obawiać się kolejnego zamachu na jego życie, prawda?

Hindus nie wytrzymał spojrzenia Damiana i spuścił wzrok.

- To prawda, sahibie. Tutaj Jared powinien być bezpieczny, ale syn mojego pana nie może błąkać się sam po nocy.

- Poszukam go. Idź do łóżka. Zostaw to mnie.

Radżib złożył dłonie i pochylił głowę, ale Damian zdążył dostrzec w jego oczach niechęć.

Westchnął, patrząc w ślad za zmierzającym do domu Hindusem. Czy aby na pewno lepiej mieć zawsze wroga na oku? Z drugiej jednak strony nie miał pewności, czy Radżib był wrogiem Jareda, czy tylko jego własnym. Być może był zazdrosny o zaufanie, jakim obdarzył go Ahmed. On i Nessa uważali chłopca za swoją własność i byli wściekli, że Ahmed złożył los syna w jego ręce.

Damian ruszył na poszukiwania chłopca. Mało prawdo-

podobne, by spotkało go coś złego, kiedy pilnował go wielki pies. Jak mówiła panna Eastleigh, Sheba była gotowa w razie potrzeby oddać życie w obronie Jareda.

Uśmiechnął się, gdy tylko pomyślał o Rosalyn. Został wprowadzony w błąd przez agenta Orfordów. Owszem, nie była młodzieńca, ale nie była również zasuszoną starą panną.

Jej kuzynkę oczarował bez trudu, nie wiedział natomiast, co myślała o nim panna Rosalyn Eastleigh. Zdawał sobie sprawę, że wahała się, czy można mu zaufać. Niedwuznacznie dała do zrozumienia, że uważa nałożone na Jareda restrykcje za zbyt daleko idące, a chłopiec odnosił się do niego z taką rezerwą, że mogła dojść do wniosku, iż Damian nie był dla niego dobry. Chyba jednak panna Eastleigh nie podejrzewała, że mógłby skrzywdzić tego dzieciaka?

Uświadomił sobie, że zależy mu na jej opinii. Nie chciał, by uważała go za przesadnie surowego strażnika, który być może nawet znęca się nad podopiecznym.

Nie, to głupota pozwolić, by dręczyły go takie myśli! Miał obowiązek za wszelką cenę zapewnić Jaredowi bezpieczeństwo. To nie jego wina, że chłopiec nie był tym zachwycony. Zresztą dlaczego miałby się przejmować opinią kobiety, która nic dla niego nie znaczyła?

Damian nie miał teraz czasu na flirty, a o trwałym związku nawet nie myślał. Małżeństwo nie leżało w jego planach. I bez tego miał aż za wiele problemów. Jednak Rosalyn go intrygowała. Była zupełnie wyjątkową kobietą.

Roześmiał się cicho na myśl o reakcji panny Eastleigh, gdyby zaproponował jej bardziej intymne kontakty. W innych okolicznościach zapewne zacząłby ją uwodzić, starałby się zaciągnąć do łóżka.

Jakaż to by była rozkosz! Wyczuł w niej wielki tempera-

ment, pragnienie erotycznych doznań, chociaż starała się to ukryć. Konieczność przestrzegania restrykcyjnych zasad obowiązujących niezamężną damę musiała jej bardzo doskwierać. Była Amazonką, dzielną wojowniczką, która nie zna trwogi i niewątpliwie lepiej czułaby się w innej epoce.

Zauważył Jareda, który bawił się z psem w krzakach, i zawołał ich. Pies przybiegł natychmiast, Jared z ociąganiem ruszył za nim. Damian przyjrzał się jego zbuntowanej minie. Zaufanie Ahmeda okazało się cięższym brzemieniem, niż początkowo przypuszczał, zamierzał jednak dotrzymać słowa.

- Czy nie mówiłem, że wolno ci wychodzić z domu tylko w moim towarzystwie?

- Tak, sahibie. - Naburmuszony Jared kopnął kępę trawy. Pozbył się europejskich ubrań i miał na sobie luźne, indyjskie spodnie i bluzę, w których czuł się znacznie swobodniej. - Ale wyszedłem tylko do ogrodu. I miałem przy sobie Shebę.

- Nie zmuszaj mnie, proszę, bym był wobec ciebie bardziej surowy. Nie chciałbym całkowicie pozbawić cię wolności, ale zrobię to, jeśli nie będę miał innego wyjścia. Rozumiesz?

- Tak, sahibie... Ale nie odeśle pan Sheby?

- Nie, ale musisz stosować się do moich poleceń. Wiesz dlaczego.

- Tak... - Przez twarz chłopca przemknęły gniew, bunt i trwoga, ale zaraz przybrał nieprzeniknioną minę. - Tak, sahibie. Wiem.

Damian patrzył w ślad za zmierzającym do domu Jaredem, przy którym truchtał ogromny pies.

Gdzie indziej wcale nie byłoby lepiej, uznał Damian. Pozostawało mu tylko modlić się, by panna Eastleigh zachowała

dyskrecję i nie podzieliła się z nikim swymi wątpliwościami. Bo jeśli zaczną się plotki, będzie musiał stąd zniknąć.

Rosalyn podskoczyło serce, gdy dostrzegła dwóch jeźdźców na czystej krwi arabach zmierzających w jej stronę. Obaj znakomicie trzymali się w siodle.

- Panno Eastleigh. — Damian ściągnął wodze i uchylił na powitanie kapelusza. - Cieszę się, że nie zapomniała pani o naszym spotkaniu.

- Sądził pan, że je odwołam? - Rosalyn spojrzała mu prosto w oczy. - Nie jestem taka, sir. Zresztą chciałam zaprosić Jareda, by wpadł dziś do nas na herbatę. Moja kuzynka ma przywieźć tu za tydzień swoją córkę. Obaj jesteście zaproszeni na herbatę, ale przede wszystkim zależy mi na Jaredzie. -Gdy chłopiec popatrzył na nią dziwnym wzrokiem, dodała: - Oczywiście, jeśli masz ochotę przyjść.

- Mam ogromną ochotę, mem-sahib.

- Dobrze, wobec tego jesteśmy umówieni. - Uśmiechnęła się do Damiana. - Możemy pojechać w stronę rzeki? Rozgranicza ona ziemię Orfordów od posiadłości Sheldonów- Czy spotkał pan już sir Matthew?

- Nie, nie miałem jeszcze przyjemności go poznać.

- Musi pan przyjechać w niedzielę do kościoła. To najlepszy sposób, żeby nawiązać pierwsze kontakty ze wszystkimi sąsiadami. Albo ja, albo pastor z przyjemnością dokonamy prezentacji.

Damian zrównał z nią swego konia, natomiast Jared wysforował się do przodu. Widać było, że w pełni panuje nad wierzchowcem, więc Rosalyn zdziwiła się, kiedy Damian krzyknął, by nie oddalał się zanadto.

- Przecież świetnie trzyma się w siodle - wtrąciła się żywo.

- I nie zostaliśmy tak bardzo w tyle. To oczywiste, że Jared nie nawidzi zakazów. Nie sądzi pan, że jego bunt jeszcze się nasili, jeśli zastosuje pan zbyt surowe restrykcje?

- Jared znajduje się pod moją opieką - odparł z powagą, wytrzymując jej spojrzenie. - Nie chcę zanadto kępować jego swobody. Może pojedziemy szybciej, żebym nie tracił go z oczu?

Wprowadziła swoją klacz w galop, przez co nie mogli kontynuować rozmowy, ale rozkoszowała się pięknymi widokami. Stopniowo zwiększała prędkość, aż wreszcie zrównała się z Jaredem i przez chwilę się ścigali. Obejrzała się przez ramię. Damian wstrzymał wierzchowca i przyglądał im się z zadowoleniem.

I znów wyczuła jakąś tajemnicę, jakieś czające się pod powierzchnią niebezpieczeństwo.

Chyba nie przypuszczał, że w tym spokojnym zakątku Anglii mogłaby spotkać Jareda jakakolwiek krzywda?

Znów zadała sobie pytanie, kim jest Jared i dlaczego pan Wrexham tak czujnie go pilnuje. Często dzieci bogatych i wpływowych osób potrzebowały ochrony, ale tu musiało chodzić o coś więcej niż zwykłą ostrożność.

Jeździli prawie godzinę, na koniec Damian uparł się, że odprowadzi ją aż do stajni. Prosiła, by zostali na śniadaniu, ale odmówił. Zeskoczył natomiast z konia, by pomóc jej zsiąść.

I trochę dłużej niż to konieczne obejmował ją w pasie. Rosalyn stwierdziła, że to całkiem przyjemne doznanie. Na tyle przyjemne, że pozwoliła jego dłoniom pozostać na swej tali, dopóki nie zauważyła w oczach pana Wrexhama bardzo dziwnego wyrazu. Odsunęła się natychmiast, a on pospiesznie chwycił wodze swego wierzchowca.

- Jared będzie tu o trzeciej po południu - oświadczył, spoglądając na nią z wysokości siodła. - Radżib będzie mu towarzyszył, ale do domu nie wejdzie.

- Pan nie przyjdzie do nas na herbatę? - Gdy pokręcił przecząco głową, zmarszczyła czoło. - Może niezbyt jasno się wyraziłam, ale zaproszenie obejmowało was obu, oczywiście.

- Dziękuję, panno Eastleigh. Może innym razem skorzystam z pani uprzejmości, ale wzywają mnie ważne sprawy, więc muszę prosić panią o wybaczenie.

- Dobrze. - Z uśmiechem spojrzała na Jareda. - W takim razie czekam na twoje odwiedziny.

- Przyprawdę z sobą Shebę - obiecał chłopak. - Więc Radżib nie będzie musiał na mnie czekać.

- Rzeczywiście, nie ma potrzeby, by czekał - zgodziła się Rosalyn. - Z prawdziwą przyjemnością sama odprowadzę cię do domu.

Z zadowolonej miny chłopca wywnioskowała, że jej propozycja przypadła mu do gustu.

- Do zobaczenia, Jaredzie.

- Musimy jechać. - Damian uchylił przed nią kapelusza.

Dziękuję, że dotrzymała nam pani towarzystwa, panno Eastleigh.

- Było mi bardzo miło.

Patrzyła, jak odjeżdżają. Początkowo Jared jechał z przodu, po chwili jednak zrównali się i wkrótce zniknęli za wznieśieniem.

Rosalyn była nieco rozczarowana, że pan Wrexham miał zajęte popołudnie, skarciła się jednak za to w duchu. Po bezsennej nocy postanowiła nie zrywać tej znajomości, choć podejrzewała, że nie wszystko w Orford Hall wyglądało tak, jak się z pozoru wydawało.

Pan Wrexham nigdy nie stanie się dla niej kimś więcej niż tylko przelotnym znajomym. Odejdzie stąd, gdy lato przeminie. Jak wędrowna jaskółka, pomyślała, obserwując ptaka, który wleciał do ulepionego z mułu pod okapem stajni gniazda, które zdawało się zaprzeczać prawom grawitacji.

Na jesieni jaskółki znikną stąd, podobnie jak pan Wrexham.

Po wejściu do domu usłyszała jakieś głosy. Wielkie nieba! Czyżby ciocia Susan? Rosalyn wysłała list, w którym zapraszała ją do siebie wraz z wnuczką, Sarah Jane, ale ten list nie mógł już dojść.

Szybko wbiegła do saloniku i przekonała się, że to rzeczywiście ciotka. Maria, nadal jeszcze w szlafroku, co wyraźnie wprawiało ją w zakłopotanie, zachowała jednak dość trzeźwości umysłu, by kazać podać do małego saloniku herbatę.

- Jak dobrze cię widzieć! - Rosalyn pocałowała ciotkę w policzek. - Napisałam wczoraj, żebyś przywiozła tu Sarah Jane, ale spodziewałam się was dopiero za kilka dni.

- Wybacz, że spadłam ci na głowę tak niespodziewanie - powiedziała Susan, krzywiąc się lekko. - Byłam przekonana, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, bym przywiozła tu Sarah Jane, więc nie czekałam na twoją odpowiedź. Tommy zachorował na odrę i biedna Celia odchodzi od zmysłów, dosłownie nie wie, co się wokół niej dzieje. Umiera ze strachu, że Sarah Jane mogłaby się od niego zarazić, choć starałyśmy się ich odizolować od siebie. Kolejna choroba mogłaby okazać się zabójcza dla tego biednego dziecka. Bardzo ciężko przechodziła szkarlatynę i jest jeszcze bardzo osłabiona.

- Tak mi przykro - powiedziała szczerze Rosalyn. - Dobrze, że od razu ją do nas przywiozłaś. Gdzie ona jest?

- Maria zaprowadziła ją na górę. Położyła się, bo rozboleła ją głowa. Sarah zawsze była taka żywotna. Serce mi się ściska, kiedy widzę ją w takim stanie.

- A w dodatku zamartwiasz się o biedną Celię i małego Tommy'ego - wtrąciła Maria. - Ale nie przejmuj się, już my dobrze zaopiekujemy się Sarah Jane, prawda, Rosalyn?

- Naturalnie. - Rosalyn powstrzymała westchnienie. Opieka nad Sarah Jane będzie prawdziwym wyzwaniem czy raczej utrapieniem, nie miała co do tego żadnych złudzeń. - Jak długo u nas zostaniesz, ciociu?

- Niestety jutro muszę wyjechać - stwierdziła Susan z żalem - bo Celia nie poradzi sobie beze mnie. Poza tym znowu jest przy nadziei i nie powinna zbliżać się do Tommy'ego, który ma odrę. Tak strasznie płakał, kiedy wyjeżdżałam, biedaczek. Wcale bym go nie zostawiała, gdyby sprawa nie była tak pilna.

- Musisz wyjeżdżać tak szybko? - spytała przerażona Maria. Tak częste podróże mogą nadwątlić twoje zdrowie.

- Nie mam wyboru. Zresztą nie uspokoję się, dopóki nie zobaczę, jak się czują Celia i Tommy.

- Musisz wypocząć przed podróżą, ciociu. - Rosalyn przynajmniej raz zgodziła się z Marią. - Nie pomożesz Celi i Tommy'emu, jeśli sama się rozchorujesz.

- Wielkie nieba, kochanie! Jestem zdrowa jak ryba. Co to dla mnie taka droga? Tylko czekam, kiedy dzieci Celi trochę podrosną, a dopiero zacznę podróżować. - Gestem przywołała Rosalyn, by usiadła przy niej na kanapie. - Od kiedy weszłaś, cały czas gadam o swoich sprawach, moja droga. Maria mówi, że sprowadził się tu nowy sąsiad, który ma ucznia, hinduskiego chłopca. To bardzo ekscytujące.

- Pan Wrexham i Jared wynajęli Orford Hall na kilka tygo-



dni - wyjaśniła Rosalyn z uśmiechem. - Gdybyś mogła zostać trochę dłużej, poznałabyś ich obu. Jared przyjdzie dziś na herbatę, ale pan Wrexham ma w tym czasie do załatwienia jakieś sprawy.

- Wrexham... - Susan zmarszczyła czoło. - Gdzie ja słyszałam to nazwisko? On chyba nie jest spokrewniony z rodziną osiadłą w Oxfordshire? Sir Robert Wrexham był kuzynem hrabiego Marlowe'a. W młodości omal nie zaręczyłam się z sir Robertem, ale hrabia mnie nie zaakceptował. Ani moja fortuna, ani koneksje nie były w stanie zadowolić jego dumy, a wola hrabiego była prawem. - W jej oczach pojawił się dziwny wyraz. - Gdy jego najstarszy wnuk musiał opuścić kraj w nieśławie, pomyślałam sobie, że dobrze mu tak. Zaraz, jak miał na imię ten chłopiec? Nie mogę sobie przypomnieć... chyba jakoś dziwnie.

Rosalyn poczuła lekkie mrowienie na karku.

- A dlaczego musiał wyjechać?

- W tym czasie byłam już mężatką i miałam dwunastoletnie dziecko, byłam więc całkiem dojrzałą kobietą, jednak mąż nie chciał kłaść moich uszu opisem tego skandalu. Drogi George był zawsze wobec mnie taki opiekuńczy! - Westchnęła i posmutniała na chwilę. - Oczywiście od innych osób usłyszałam to i owo, ale niewiele już pamiętam, bo minęło tyle czasu. Wiem tylko, że wnuk Marlowe'a, któremu trochę jeszcze brakowało do osiemnastych urodzin, zrobił coś złego. Minęło już od tej pory około dwudziestu lat.

- Więc teraz miałby mniej więcej trzydzieści siedem lat?

- Tak... A w jakim wieku jest pan Wrexham?

- Właśnie w takim.

- A może przebywał przez ostatnie lata w egzotycznych krajach?

- W Indiach. - Rosalyn zaniepokoił błysk w oczach ciotki, która już węszyła sensację. - Bardzo wątpię, by to był ten sam człowiek.

- A jak mu na imię? Może Damon czy jakoś podobnie?

- Damian.

-Tak! Tak, oczywiście! Damian. Teraz przypominam sobie, że powodem skandalu była, oczywiście, kobieta i... tak! Ktoś został zabity, jeśli dobrze pamiętam... Wiem natomiast na pewno, że Damiana Wrexhama wyrzekł się ojciec. Podobno powiedział, że dopóki on żyje, syn nie ma prawa wrócić do domu. No i wykrakał sobie. Już nie żyje. Biedny lord Edward zmarł wkrótce potem, spadł z konia podczas polowania. Nigdy go nie lubiłam. Lord Jacob, jego brat, był znacznie sympatyczniejszy, podobnie jak sir Robert, który naprawdę mi się podobał.

Rosalyn przebiegł po plecach dreszcz. Co tak strasznego zrobił pan Wrexham, że wyrzekł się go własny ojciec?

- Nadal masz kontikty z tą rodziną? - zapytała z wystudowaną obojętnością.

- Sir Robert zmarł parę lat temu. Z sir Jacobem nie rozmawiałam od lat, ale znam jego żonę. Widujemy się raz, dwa razy do roku, kiedy lady Ruth przyjeżdża do Bath na kurację. Od lat jest inwalidką. - Zawahała się na moment, zaniepokojona rumieńcami na policzkach młodej kuzynki. - Chciałabyś, że bym zapytała ją o bratanka jej męża, Damiana?

- Nie, oczywiście, że nie! - Rosalyn uznała, że wolałaby nie znać prawdy, gdyby pan Wrexham okazał się człowiekiem, z którym nie powinna się zadawać. - Jeśli się dowie, to powstanie niezręczna sytuacja... nie, to nie ma ze mną nic wspólnego. Zresztą to wydarzyło się tak dawno. Skoro wrócił do Anglii, to chyba zapomniano już o skandalu?

- Nie jestem taka pewna - mruknęła posepnie ciotka. - Są sprawy, o których się nigdy nie zapomina i których się nie wybacza. Znajomość z nim może stać się dla ciebie krępująca.

- Przecież niewykluczone, że pan Wrexham wcale nie jest tym człowiekiem, o którym mówisz - stanęła w obronie sąsiada Maria. - To prawdziwy dżentelmen. Z pewnością zaszła jakaś pomyłka.

Ciotka uniosła pytająco brwi, natomiast Rosalyn, skrywając uśmiech, powiedziała:

- Tak, ciociu Susan. To na pewno pomyłka. A jeśli nie, to cóż, minęło już tyle lat. Nie ma sensu szukać problemów tam, gdzie ich nie ma.

- Może i nie... - Pani Buckley zanotowała w pamięci, żeby po powrocie do Bath zrobić mały wywiad na temat tajemniczego pana Wrexhama. - Poza tym, jak słusznie zauważyłaś, to nie nasza sprawa.

To nie ich sprawa. Rosalyn postanowiła nie dopuścić, by jakieś pogłoski sprzed lat zburzyły spokój jej ducha. Niezależnie od tego, co zrobił pan Wrexham w przeszłości, nie mogło mieć to wpływu na nią i na jej życie.

Damian Wrexham zatrzymał się przez gospodą na przedmieściach Cambridge i rozejrzał się dookoła. Kusiło go, żeby stąd odejść. Żałował, że zgodził się na spotkanie ze stryjem. Żałował, że list Jacoba Wrexhama dotarł do niego w Indiach i że był na tyle głupi, by odpowiedzieć na zawarty w nim desperacki apel.

Pchnął drzwi szesnastowiecznej karczmy. Nigdy nie zapomniał o stryju Jacobie, który jako jedyny z całej rodziny przyszedł mu z pomocą. Gdyby nie on, Damian opuściłby Anglię

bez grosza przy duszy. Jak mógł teraz odmówić prośbie człowieka, który przed laty stanął przy nim?

Uderzył go odór nieświeżego piwa i niemytych ciał. Chyba mogli się spotkać w jakimś przyzwoitszym miejscu? Damian rozejrzał się po gospodzie w poszukiwaniu znajomej twarzy. Nie dostrzegł nikogo poza znużonym człowiekiem w rogu. To przecież nie mógł być jego stryj?

Mężczyzna z uśmiechem ruszył w jego stronę.

- Damian? - zapytał z ulgą. - Bałem się, że nie przyjedziesz.

- Obiecałem. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, dotrzymuję słowa.

- Nigdy nie wierzyłem nawet w połowę tego, co o tobie wygadywano, Damianie - zapewnił lord Jacob. - Wiedziałem, że nie jesteś zdolny do morderstwa. Lekkomysłny, zuchwały, uparty, to tak, ale z pewnością nie nikczemny.

- Niestety byłeś w tym mniemaniu odosobniony. Dziadek i ojciec zmarli w przekonaniu, że jestem łotrem.

- Nie, Damianie. Nie dziadek. Twój ojciec nigdy ci nie wybaczył, ale Henry tak, tuż przed śmiercią. Chciał, żebyś wrócił do domu. Szukaliśmy ciebie, ale kiedy wreszcie ustaliliśmy twój adres, było za późno. Sir Henry zmarł z twoim imieniem na ustach. Pragnął twego przebaczenia.

- Nie mam mu czego wybaczać, może poza uporem. Uwierzył w to, co mu powiedziano, i zgodnie z tym działał, to wszystko. Natomiast ojciec, jak wiesz, zawsze mnie nienawidził. Niby przepadał za mną, kiedy byłem dzieckiem, kiedy jednak najbardziej potrzebowałem jego miłości i wsparcia, nawet mnie nie wysłuchał, tylko osądził i przeklął. - Przytknął na chwilę oczy. - To prawda, Jacobie, zabiłem Rodericka Harringtona, ale w pojedynku. Musiałem rzucić mu

wyzwanie... - Drgnął na to wspomnienie. - Zresztą wiesz. Powiedziałem ci w zaufaniu. Choć nawet ty nie znasz całej prawdy. Nikt jej nie zna.

- Wiem, że twój czyn nie zasługiwał na taką karę, jaka cię spotkała. - Lord Jacob wziął go za rękę. - Usiądź, musimy porozmawiać.

- Nie można zostawić tego prawnikom? - Damian czuł się bardziej poruszony tym spotkaniem, niż chciał przyznać. Odtrącony przez rodzinę, starał się uwolnić od wspomnień. - Nie spodziewałem się żadnego spadku. Dlaczego nie mogę po prostu zrzec się rodowych majątkości na twoją korzyść?

- Nie mogę ich przejąć - wyznał stryj z ponurym uśmiechem. - Twój ojciec przed śmiercią wpadł w szpony hazardu i przepuścił fortunę, a dziadek pozwolił, by wszystko popadło w ruinę. Po twoim wyjeździe nic go nie obchodziło. Próbowałem mu pomóc, ale nigdy mnie nie słuchał.

- Tak, pamiętam. Więc co mam zrobić? Chcesz, żebym spłacił długi?

- Mógłbyś?

- Może... jeśli uznam, że warto.

- Słyszałem, że zdobyłeś majątek. - Stryj czuł się niezręcznie, prowadząc te negocjacje z bratankiem, ale nie zamierzał się wycofać. - Czy apelowanie do twojego szacunku dla rodzowego nazwiska ma jakiś sens?

- Dobry Boże, nie! - Damian zaśmiał się głośno. - Nazwisko nic dla mnie nie znaczy. Przyjechałem, bo jestem coś winien tobie, stryju. Czyżbyś miał kłopoty finansowe?

- Spodziewałem się, że sir Henry zapisze mi te resztki, które jeszcze zostały, ale zgodnie z jego testamentem mogę dziedziczyć jedynie po twojej śmierci. Zresztą cała scheda to wielki

jak stodoła dom i długi. Ziemie już dawno zostały sprzedane lub obciążone hipoteką.

- Jeśli spłacę długi, co zrobisz z domem?

- Sprzedam, bo bez ziemi to zbędny ciężar. Nie chciałbym tam mieszkać, mój syn także.

- Co więc powinienem zrobić według ciebie?

- Nie mogę sprzedać bez twojego podpisu, a długi trzeba wreszcie pospłacać. Gdybym miał je pokryć z własnej kieszeni, poważnie nadwerzęzyłbym swoje finanse, a nie chciałbym zostawić takiego obciążenia synowi.

- A ponieważ jestem spadkobiercą, więc spada to na mnie, czyż tak?

Stryj milczał, ale po minie sądząc, tak właśnie uważał.

- Dobrze, zostaw to mnie, stryju. W najbliższym czasie pojedę rzucić okiem na dom, załatwię też sprawę długów. Przede wszystkim przeprowadzę rzetelne wyliczenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Jacob był wyraźnie poruszony. - Ustaliłem już wszystko z prawnikami. Chyba nie chcesz zawracać sobie tym wszystkim głowy?

- Z całą pewnością chcę. Wiem, że w świecie, w którym żyjesz, kwestie finansowe uchodzą za niegodne zainteresowania, ale mnie pieniądze nie spadły z nieba, więc nie zamierzam wyrzucać ich w błoto. Nie zapłacę ani grosza, dopóki nie zobaczę dowodu.

- Oczywiście, zrób, jak uważasz.

- Tak, stryju. Jeśli to wszystko, to możemy uznać nasze sprawy za zakończone.

- Damianie... czy nigdy nie zastanawiałeś się nad powrotem do Anglii? Mógłbyś wyremontować dom, odkupić ziemię i zająć należne ci miejsce w towarzystwie. Może nas odwiedzisz, wtedy spokojnie omówimy sytuację.

- Nie ma czego omawiać - odparł Damian. - Wróciłem w konkretnym celu, Kiedy go osiągnę, nic mnie tu nie zatrzyma.

Nie powiedział całej prawdy. Dawniej rzeczywiście był pewien, że już nigdy nie będzie chciał mieszkać w Anglii, ostatnio jednak zaczął mieć co do tego wątpliwości.

## Rozdział trzeci

Rosalyn liczyła, że kiedy Jared przyjdzie na herbatę, będzie go miała wyłącznie dla siebie. Wiedziała, że czuł się osamotniony, tęsknił za ciepłem i barwami Indii, za ludźmi, których kochał, a nade wszystko za rodziną. Teraz, po przyjeździe ciotki, mogła zapomnieć o spokojnych pogawędkach we dwoje.

Ciotce Susan należało zapisać na plus, że zachowała się wobec niego tak samo jak wobec każdego znajomego chłopca. Podsunęła Jaredowi talerz z drobnymi ciasteczkami migdałowymi oraz cytrynowy kisiel jęczmienny, po czym zaczęła go wypytywać:

- Jak ci się podoba Anglia? Chodzisz tutaj do szkoły?

Jared wykazał się nienagannymi manierami, uprzejmie odpowiadał na pytania, choć wyraźnie czuł się nieswojo jako obiekt zainteresowania. Rosalyn przeklinała w duchu zły los, który kazał ciotce przyspieszyć przyjazd, szczególnie gdy dołączyła do nich Sarah Jane. Dziewczynka była nawet ładna, jeśli ktoś lubi mdłe blondynki. Miała na sobie różową sukienkę, zdaniem Rosalyn przeładowaną falbaneczkami i ozdóbkami. Według niej Sarah wyglądała jak krawiecki manekin, wystrojony ponad miarę i sztywny jak kołek.



- A, jesteś, najdroższa! - zawołała kochająca babcia, patrząc na nią z pełnym zachwytem uśmiechem. - Cieszę się, że zeszłaś do nas na herbatę. Lepiej się czujesz?

- Trochę... - Wielkie błękitne oczy Sarah Jane wpatrywały się w Jareda z mieszaniną ciekawości i niechęci. - Kto to jest? Ma dziwny kolor skóry.

- Sarah! - upomniała ją ostro Rosalyn. - Skóra Jareda ma bardzo ładny kolor. Przyjechał z Indii, gdzie słońce bardzo mocno operuje.

- Nie ma parasola?

Rosalyn chciała odpowiedzieć, ale ubiegł ją Jared, który oświadczył pogardliwym tonem:

- Mój ojciec ma tysiąc parasoli. Niektóre z nich są większe od tego pokoju. Jesteś ignorantką. Wszyscy ludzie mojego ojca są ciemnoskórzy. To wy wyglądacie śmiesznie z tymi białoróżowymi twarzami, które na słońcu zaraz czerwienieją.

Sarah Jane otwierała i zamykała usta jak ryba bez wody. Dotąd nikt tak się do niej nie odezwał. Nie wiedziała, jak zareagować, jednak w tym chłopcu było coś, co budziło jej szacunek, więc bez słowa sięgnęła po ciastko i zjadła je w milczeniu.

Susan i Rosalyn popatrzyły na siebie, starając się nie wybuchnąć śmiechem. Tylko Maria wpadła w popłoch, miała jednak dość rozsądku, by siedzieć cicho. Zanim ktokolwiek zdołał znaleźć słowa mogące rozładować napięcie, do pokoju wbiegła Sheba. Sarah popatrzyła na psa niepewnie, natomiast Jared natychmiast przywołał go do siebie i został powitany entuzjastycznymi skokami i lizaniem po twarzy.

- Jaredzie - wykorzystwała sytuację Rosalyn - może ty i Sheba zabralibyście Sarah Jane do ogrodu? Nigdy tu jeszcze nie była, więc mógłbyś pokazać jej okolicę.

- Nie jestem pewna... - zaczęła Susan, ale nie dokończyła zdania, bo wnuczka natychmiast zerwała się z miejsca. - Cóż, jeśli masz dość siły, kochanie. Wydaje mi się, że trochę świeżego powietrza nie powinno ci zaszkodzić.

Wpatrzona w Jareda Sarah Jane nawet nie odpowiedziała na słowa babci.

- Chodźmy zatem - powiedziała wyniośle i królewskim gestem uniosła głowę. - Chcę obejrzeć ogród.

Przez chwilę w ciemnych oczach Jareda zapłonął bunt, potem jednak zwrócił się ku Rosalyn z miną człowieka, który ze wszelkich sił próbuje zachować godność pomimo wyraźnej prowokacji.

Pochylił przed nią głowę.

- Zgodnie z pani życzeniem, panno Eastleigh, zabiorę... to dziecko do ogrodu.

Miał czternaście lat, a Sarah Jane trzynaście i pół, ale jako mężczyzna czuł się, oczywiście, istotą wyższą.

Zarówno Rosalyn, jak i jej ciotka bały się nawet głośniej odetchnąć, dopóki hinduski młodzieniec i angielska młoda dama w towarzystwie tryskającej entuzjazmem Sheby nie wyszli na zewnątrz. Dopiero wtedy dały upust rozbawieniu.

- Ojej - jęknęła pani Buckley, kiedy wreszcie przestała się śmiać. - Mam nadzieję, że nie będzie miała nawrotu choroby. Świeże powietrze powinno dobrze jej zrobić. Celia bywa czasami... nadopiekuńcza wobec swoich dzieci.

Rosalyn powstrzymała się od komentarza. Francuskie okna były szeroko otwarte i od czasu do czasu ich uszu dobiegały wybuchy śmiechu Jareda i Sarah Jane, którym towarzyszyło poszczekiwanie Sheby.

Rosalyn, jej ciotka i Maria mogły więc w spokoju posiedzieć przez pół godziny przy ciasteczkach i herbacie, a kiedy

do saloniku wpadła Sarah Jane w nieco już mniej nieskazitel-  
nym stroju, a za nią Sheba i Jared, okazało się, że dzieci nie  
zrobiły sobie krzywdy.

- Czy jutro mogę iść na herbatę do Jareda? - zapytała z oży-  
wieniem Sarah. - Mogę? Proszę, zgódź się, babciu!

- Zwróć się z tym do Rosalyn. Rano muszę wracać do do-  
mu. Jestem potrzebna twojej mamie.

Sarah Jane utkwiała swe wielkie, jasne oczy w Rosalyn.

- Proszę, mogę? Jared obiecał pokazać mi mnóstwo rzeczy.  
Proszę, powiedz, że mogę.

- Jeżeli Jared cię zaprosił... - Rosalyn spojrzała na chłop-  
ca. Przybrał wyniosłą minę, ale zdradził go błysk oczekiwania  
w oczach - ...to nie widzę powodu do sprzeciwu. Teraz mu-  
szę odprowadzić Jareda do domu, zgodnie w obietnicą daną  
jego nauczycielowi.

Sarah Jane bardzo chciała się do nich przyłączyć, ale bab-  
cia sprzeciwiła się zdecydowanie. Dziewczynka jeszcze nie  
w pełni wróciła do sił po poważnej chorobie i zbyt ni wysiłek  
fizyczny mógł zniweczyć korzyści, jakie dała jej zabawa w  
ogrodzie.

Szli spacerkiem, bo popołudnie było piękne, bezchmurne  
i ciepłe. Rosalyn cieszyła się, że choć przez pewien czas mogła  
być z Jaredem sama.

- Bardzo dobrze zachowałeś się w stosunku do Sarah  
Jane - powiedziała, kiedy przeszli przez sad na tyłach domu  
i zaczęli wspinać się na porośnięte trawą zbocze. - Czasem  
bywa bezmyślna, ale dopiero co podniosła się z poważnej  
choroby. Byłoby dla niej dobrze, gdyby od czasu do czasu  
mogła porozmawiać z kimś w swoim wieku.

- Ona nie jest taka zła jak na dziewczynę - odparł z uśmie-

chem. - W moim domu dzieci nie miałyby odwagi odezwać się do mnie tak jak ona, ale nie mam nic przeciwko temu.

Serce Rosalyn ścisnęło się na widok wyrazu jego oczu. Chłopiec był tak bardzo samotny. Nie podjęła poruszonego przez niego tematu, uznała bowiem, że jeśli będzie chciał jej coś wyznać, musi uczynić to z własnej nieprzymuszonej woli, bez ciągnięcia za język.

- Jestem pewna, że Sarah Jane będzie przy tobie bezpieczna, Jaredzie. Może nauczysz ją trochę dobrych manier? Wyznam ci w sekrecie, że była okropnie rozpieszczana i nie wyszło jej to na dobre.

Zbliżali się już do dworu Orfordów. Serce Rosalyn zatrzepotało, gdy zauważyła Damiana, który wyszedł im na spotkanie. Znow miał na sobie strój do konnej jazdy, ale włożył granatowy surdut i w ogóle poświęcił swemu wyglądowi więcej uwagi, niż kiedy widzieli się po raz pierwszy.

- Panno Eastleigh - powiedział - szybciej, niż przewidywałem, załatwiłem swoje sprawy, dlatego już jestem. Zapraszam na kieliszek wina.

- Dziękuję, panie Wrexham, ale nie mogę zostać. Ciotka przyjechała wcześniej, niż się spodziewałam, i jutro rano wyjeżdża. Muszę zaraz wracać, by nie pomyślała, że ją zaniedbuję.

- W takim razie pozwoli pani, że ją kawałek odprowadzę? - Zerknął na Jareda. - Spotkamy się za chwilę. Dziś zaniedbaliśmy naukę, ale zaraz to nadrobimy.

- Tak, sahibie.

Kiedy Rosalyn ruszyła w stronę domu, Sheba zaczęła kręcić się niepewnie i zaskowyczała, rozdarta pomiędzy psią miłością do dwóch osób. Ponieważ Rosalyn nie zareagowała, więc suka pobięła za chłopcem.

- Straciła pani psa - zauważył Damian. - Może kupię Jaredowi podobnego, a Shebę odprowadzę do pani?

- Nie... - Spojrzała na niego w zamyśleniu. Czy naprawdę był człowiekiem, o którym mówiła ciotka Susan? Jaki skandal zmusił go do opuszczenia kraju? - To nic nie da. Jared przywiązał się do Sheby. Niech ją na razie zatrzyma.

- Jest pani wspaniałomyślna, panno Eastleigh.

- Proszę sobie nie wyobrażać, że to z mojej strony wielkie poświęcenie. Lubię Shebę, ale została mi podrzucona przez brata, który uwielbia uszczęśliwiać innych na siłę. Mogę się z nią rozstać na pewien czas. Zresztą mam też pewien ukryty cel... - Z rozbawieniem opowiedziała mu o córce kuzynki, która po krótkim pobycie z Jaredem w ogrodzie wyraźnie odzyskała siły po chorobie. - Wierzę, że ta znajomość obojgu wyjdzie na dobre. - Zrobiła słodkie oczy do Damiana, lecz zaraz spoważniała. - Jared chyba nie prowadził całkiem normalnego życia, prawda?

- Dopóki jego matka żyła, nie było tak źle. Anna starała się zapewnić mu trochę swobody, ale kiedy zmarła... okoliczności uległy zmianie.

- Rozumiem. - Rosalyn czuła, jak wiele jest przed nią ukryte. Nie patrząc na Damiana, zapytała: - Czy zamierza pan zostać w Anglii, kiedy lato minie, panie Wrexham? A może planuje pan powrót do Indii?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. - Zmarszczył brwi. - Moje interesy mogą zabrać więcej czasu, niż początkowo sądziłem. Dlaczego pani pyta?

- Bez powodu. - Gdy doszli do sadu, Rosalyn zatrzymała się i spojrzała wyzywająco na Damiana. - Dalej nie musi mnie pan odprowadzać. Tutaj już jestem bezpieczna, a pan, po spędzeniu całego dnia poza domem, pewnie nie może doczekać się obiadu.

Złapał ją za rękę. Jego twarz stała się surowa, gniewna.

- O co chodzi, panno Eastleigh? Co pani usłyszała?

Zawahala się, zgodnie jednak ze swoim charakterem powiedziała wprost:

- Nic pewnego, sir. Jedynie jakieś pogłoski o skandalu sprzed lat.

- Cholera! Miałem nadzieję, że nikt tego nie odgrzebie. Okazuje się jednak, że lepiej było powiedzieć pani od razu. Zostałem wypędzony przez własną rodzinę.

A więc ciotka miała rację!

- Nie musi pan niczego tłumaczyć. To wyłącznie pańska prywatna sprawa.

- Naprawdę? Nie jest pani zła, że ukryłem to przed panią?

- Ani trochę.

- Doprawdy? - zdumiał się, kiedy jednak zajął jej w oczy, zrozumiał, że mówiła szczerze. - Jest pani naprawdę wyjątkową kobietą, panno Eastleigh. Nie czuje się pani urażona?

- Przez coś, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu? Nie, sir. Zresztą i tak nie wiem, co się stało. Słyszałam tylko o skandalu, wskutek którego rodzina się pana wyparła.

- To było dziewiętnaście lat i trzy miesiące temu, jeśli chodzi o ścisłość. - Na jego twarzy odmalowały się gorycz, gniew i żal. - Zabiłem człowieka, panno Eastleigh. Nigdy się tego nie wypierałem, ale zabiłem go w pojedynku przeprowadzonym z poszanowaniem wszelkich reguł, co mogą poświadczyć sekundanci. Jednak okoliczności... Cóż, z pewnych względów rodzina skazała mnie jednak na banicję. Ale o tych powodach wolałbym nie rozmawiać, nawet z panią.

- Nie ma pan wobec mnie żadnych zobowiązań, nie musi mi pan niczego wyjaśniać.

- Jeszcze nie... ale...

Chciał ją znowu pocałować! Rosalyn zabrakło tchu, serce waliło jej w szaleńczym tempie. Pragnęła, by ją całował, przytulał, by się z nią kochał. Jej ciało topniało w żarze nieznanych dotychczas doznań.

A więc to jest pożądanie! Zawsze była ciekawa, jakie to uczucie, ale dotychczas go nie zaznała. Była zaszokowana, ale i podniecona faktem, że jest zdolna do tak silnych doznań, bo żywiła co do tego pewne wątpliwości. Nigdy dotąd nie czekała z utęsknieniem na pocałunek. Nie zdawała sobie sprawy, że jej wargi nabrzmiały i rozchyliły się.

Podniosła wzrok na Damiana.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć... - mruknął ochryłym głosem. Zaskoczyła go jej reakcja, choć już wcześniej zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z kobietą namiętną. - Nawet nie wie pani, w jakim niebezpieczeństwie się pani teraz znajduje, panno Eastleigh. Proszę pamiętać! Zbyt długo mieszkałem za granicą, by respektować angielskie zwyczaje. W Indiach, kiedy kobieta patrzy w taki sposób na mężczyznę, to on wie, jak się zachować.

Rosalyn poczuła, że jej policzki oblewają się czerwienią. Boże! Zachęcała go do uścisków! Co on sobie o niej pomyśli? Jak mogła do tego dopuścić?

- Nie musi mi pan przypominać o swoim braku angielskich manier - odparła ostro. - Jeśli puści pan moją rękę, przestaną na pana patrzeć.

Ewidentne oburzenie Rosalyn, której wytknięto niestosowne zachowanie - i fakt, że nie zaprzeczyła zarzutom! - uwolniło Damiana od nieznośnego napięcia. Wybuchnął śmiechem i uwolnił jej dłoń.

- Proszę o wybaczenie, panno Eastleigh. Zazwyczaj nie jestem takim barbarzyńcą, ale pani mnie kusi. Bardzo pragnę-

łem panią pocałować. Prawdę mówiąc, chcę dużo, dużo więcej. Nie musi pani czuć się zakłopotana ani wyrzucać sobie, że to pani wina. To wyłącznie mój problem. Błagam panią o litość, choć obawiam się, że na nią nie zasługuję.

- Nie mam panu nic do wybaczenia. Zachowałam się bardzo niewłaściwie. Pewnie uważa mnie pan za bezwstydnicę?

Kiedy uśmiechał się do niej w taki sposób, Rosalyn nie potrafiła się na niego gniewać. Coś jej podpowiadało, że powinna zerwać z nim wszelkie kontakty, dopóki to jeszcze możliwe, bo stąpa po cienkim lodzie i przyjdzie jej kiedyś za to zapłacić, ale gdzieś w głębi zaczynało kiełkować uczucie, którego nie mogła się wyprzeć. Czuła się tak, jakby przez całe życie czekała na tego mężczyznę.

- Sarah Jane została zaproszona jutro na herbatę do Jareda - powiedziała. - Wyślę ją powozem koło trzeciej. Pozwoli pan, że woźnica i niania na nią poczekają?

- A pani z nią nie przyjedzie?

- Tym razem nie, ale wkrótce znów się spotkamy, panie Wrexham. Może jutro w kościele? A kiedy mój brat przyjedzie, musi pan przyjąć nasze zaproszenie na obiad.

Odeszła, a on nie próbował jej zatrzymać.

Była wyjątkową kobietą. Zasługiwała na więcej, niż mógł jej zaoferować. Dawniej myślał o małym flircie dla zabicia czasu, teraz jednak odkrył ze zdumieniem, że jego uczuć w żadnym wypadku nie dałoby się określić słowem „małe”.

Rosalyn wpatrywała się w zalany księżycową poświatą ogród. Próbowwała zasnąć, ale była zbyt niespokojna. Nie mogła dojść do ładu z własnymi myślami.

Dlaczego dopuściła, by Damian Wrexham wywrócił do góry nogami jej spokojny, wygodny, uporządkowany świat?



Bo przecież chyba nie zakochała się w nim? Nie, oczywiście, że nie! Spotkali się zaledwie kilka razy, a ludzie nie zakochują się w sobie ot tak, jakby pstryknąć palcami.

Westchnęła ciężko. Ależ z niej idiotka! Kiedy była młodszą, odrzuciła tyle propozycji małżeństwa złożonych przez godnych szacunku dżentelmenów, mężczyzn z pozycją, którzy mogli jej zapewnić życie w luksusie. Ani razu nie kusilo jej, by wyrazić zgodę, dlaczego więc teraz miała taki mętlik w głowie? Zakochać się w kimś takim jak Damian Wrexham to kompletne szaleństwo, niewiarygodna głupota!

Nic z tego nie będzie, to oczywiste. Mógł mieć w Indiach żonę. Nie, aż tak źle o nim nie myślała. Gdyby był żonaty, wspomniałby o tym.

Zapewne jednak miał kochankę. To byłoby całkiem naturalne. Nie sądziła, by żył jak mnich.

Rosalyn wróciła do łóżka. Nie powinna dopuścić, by jej myśli pobiegły w takim kierunku. Gdyby pan Wrexham pragnął założyć rodzinę, to ożeniłby się już wiele lat temu. Zresztą sam pomysł był niedorzeczny. Niewart nawet zastanowienia! - Jej rodzina nie wyraziłaby na to zgody. A przecież nic poza małżeństwem nie wchodziło w grę. To oczywiste!

A jednak przez chwilę gotowa była oddać wszystko za miłość.

Aż spąsowiała ze wstydu. Pan Wrexham wyczuł, jak bardzo była bliska kapitulacji. Dlatego właśnie wycofał się, zachował się jak dżentelmen, choć równocześnie oświadczył, że nim nie jest. Dlaczego to zrobił? Dlatego, że ją szanował czy raczej dlatego, że nie chciał się wiązać?

Czy uważał ją za starą pannę? Śmiał się z tego określenia przy pierwszym spotkaniu, a przecież nie było ono dalekie od prawdy. Po śmierci ojca Rosalyn odrzuciła wszelką myśl

o małżeństwie. Rozpacz sprawiła, że czuła się pusta, wypalona, chciała tylko spokojnie żyć we własnym domu. wśród wypróbowanych przyjaciół. Teraz takie życie przestało jej już wystarczać.

Nie brała pod uwagę małżeństwa jako wyjścia z sytuacji. Aż dotąd... Ojej! Rosalyn roześmiała się. Naprawdę powinna przestać o tym marzyć.

Pan Wrexham nie przyjechał tu po to, żeby szukać żony.

A po co przyjechał? Roztrząsała tę zagadkę, obserwując nadchodzący świt, nieświadoma, że Damian również nie spał i był daleki od spokoju. On także podczas bezsennej nocy próbował wybić sobie z głowy niepotrzebne marzenia. Marzenia, o których - jak sądził - dawno już zapomniał.

Rosalyn dostrzegła go zaraz po wejściu do kościoła. Rozglądał się niepewnie, jakby nie wiedział, gdzie ma zająć miejsce. Zahałała się, ale dotknęła jego ramienia i z uśmiechem szepnęła:

- Może pan usiąść z nami. Maria na pewno nie będzie miała nic przeciw temu.

- Dziękuję. Nie chciałem zająć czyjegoś miejsca.

Podeszła do ławki zarezerwowanej dla jej rodziny, Maria za nią, a pan Wrexham na końcu. Kątem oka Rosalyn zauważyła, że pochylił głowę i poruszał wargami w bezgłośnej modlitwie. Nie była pewna, czy przyjdzie, czy mimo wieloletniego pobytu za granicą zachował wiarę, w której został wychowany. Widocznie jednak tak.

Rosalyn, jak zawsze, pomodliła się za swoją rodzinę i usiadła. Przyniosła z sobą Biblię oprawną w białą skórę. Pan Wrexham przybył bez Pisma Świętego, więc Maria podała mu swoje, bo mogła śpiewać psalmy z pamięci.

Kazanie wielebnego Wallera było, jak zwykle, długie i tro-

chę nudne, ale Rosalyn poczuła się pokrzepiona na duchu jak nigdy. Może miły tenor pana Wrexhama nadał znanym od dawna hymnom nową treść?

Po mszy zatrzymała się przed kościołem, by zamienić parę słów z pastorem. Kilkoro sąsiadów z zaciekawieniem popatrywało na pana Wrexhama. Przedstawiła go sir Matthew i lady Sheldon oraz ich dwóm dość ładnym córkom i uśmiechnęła się do siebie, słysząc, jak natychmiast zapraszają go na obiad jeszcze tego samego dnia. Sheldonowie mieli w domu jeszcze trzy córki, którym należało zapewnić przyszłość, a pan Wrexham prezentował się tego dnia wyjątkowo korzystnie.

Rosalyn sama zamierzała zaprosić go na obiad, ale w tej sytuacji postanowiła odłożyć to na później.

Skinęła głową na pożegnanie i zaczęła przeciskać się do wyjścia przez tłumek osób zgromadzonych na kościelnym dziedzińcu. Uznała, że Damian mógł już teraz sam zawierać znajomości z sąsiadami. Zapraszając go do rodzinnej ławki w kościele, wprowadziła go do okolicznego towarzystwa i niewątpliwie wkrótce będzie rozrywany.

Rosalyn wyjrzała przez okno na półpiętrze. Słyszała wybuchy śmiechu Sarah Jane. Nie mogła się nadziwić zmianom, jakie zaszły w dziewczynce. W ciągu zaledwie sześciu dni stali się z Jaredem nierozłączni. Spotykali się codziennie i spędzali razem wiele godzin. Była to dla Sarah Jane wprost błogosławiona znajomość. Dziewczynka promieniała radością i szczęściem.

Rosalyn natomiast nie widziała pana Wrexhama od spotkania w kościele. Jak tym dzieciom dobrze! Nie muszą myśleć o niczym innym poza zabawą, podczas gdy ona... znów zaczyna głupieć!

Przeniosła spojrzenie na niebo, które zaczynało się chmurzyć. Przez ostatnich kilka dni pogoda była łaskawa, wyglądało jednak na to, że nadciąga burza. Gdyby ta prognoza się sprawdziła, Jared wróci do domu powozem.

Lecz dość już marnowania czasu! Freddie zjawi się lada chwila. Wysłał przodem stajennego, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe, co było do niego całkiem niepodobne. Czyżby goście byli jeszcze ważniejsi, niż początkowo sądziła?

Przejrzała się w lustrze i poprawiła niesforny kosmyk. Zwinęła gęste włosy w kok, zostawiając przy twarzy kilka swobodnych loczków. Uczesanie mogło wydawać się surowe, ale pasowało do niej, bo podkreślało oryginalną urodę, która nie mieściła się w ogólnie przyjętym kanonie kobiecego piękna. Jasnoszara suknia uwypuklała posągowe kształty, czyniąc z niej wymarzoną modelkę do pomnika królowej Boudiki, powożącej rydwanem bojowym. Piękna i śmiała Rosalyn była zaprzeczeniem wizerunku starej panny.

Oczywiście ona tak nie myślała o sobie. Widziała w lustrze kobietę w skromnej, niemodnej, ale niewątpliwie przyzwoitej sukni. Usłyszała, że ktoś biegnie po schodach.

- Właśnie przyjechali - wysapała Maria. - Zobaczyłam ich przez okno w salonie i pomyślałam, że cię powiadomię.

- Dziękuję. - Z niewiadomych przyczyn ogarnął ją niepokój. - Właśnie miałam zejść na dół. Odsapnij, Mario.

- Pójdę z tobą. Nie powinnam zaniedbywać względów należnych drogiemu sir Frederickowi. Poza tym, kochanie, z pewnością miał ważny powód, by przywieźć tu gości. Dwie damy, pozwól sobie przypomnieć!

Rosalyn z najwyższym trudem powstrzymała się od ciętej riposty. Ogarnęła ją irytacja, choć niby nie miała powodu ku temu. Ewentualne małżeństwo brata nie zmieniłoby niczego

w jej życiu. Po śmierci ojca Freddie podjął decyzję, że dobra w Cambridgeshire na zawsze pozostaną przy siostrze.

- Jak wiesz, nigdy nie przepadałem za tym miejscem - oświadczył z uśmiechem. - Wolę, żebyś ty tutaj mieszkała, Ros. Zresztą tata na pewno by tego pragnął.

Ojciec powinien był, oczywiście, poczynić odpowiednie zapisy w testamencie, niezależnie od funduszu powierniczego, który założył przed laty, by zapewnić córce niezależność finansową. Gdyby spodziewał się śmierci, niewątpliwie sporządziłby odpowiedni zapis, na mocy którego otrzymałaby posiadłość w dożywotnią dzierżawę, ale choroba spadła na niego tak nieoczekiwanie i wprawiała go w tak wielką rozpacz, że musiał zapomnieć, iż wedle prawa wszystko weźmie po nim syn.

Taki system dziedziczenia był jak najbardziej naturalny i powszechnie przyjęty. Spodziewano się, że córki powychodzą za mąż i opuszczą rodzinne gniazda bądź też zamieszkają jako rezydentki u swych braci lub krewnych.

Rosalyn nie potrafiła sobie wyobrazić takiego losu, nawet gdyby miała zamieszkać w domu brata, którego bardzo kochała. Przywykła prowadzić gospodarstwo według swego widzimisie, tak zresztą postępowała jeszcze za życia ojca i nie widziała siebie w roli piątego koła u wozu.

Freddie na pewno nie zamierza osiąść w Lyston House z żoną! - zapewniała się w duchu. Na pewno! Jeśli nawet myślał o małżeństwie, zamieszka w Londynie czy Devon, jak dotychczas. Wieś lubił tylko w okresie polowań.

Była już w połowie schodów, kiedy Freddie wraz z gośćmi wszedł do domu, dzięki czemu zyskała chwilę, by, sama niewidziana, przyjrzeć się damom.

Młodsza była filigranowa, delikatna i krucha. Miała złoci-

ste loki i nieskazitelną cerę jak płatek róży. Rosalyn pomyślała, że nigdy nie widziała równie pięknej dziewczyny. Natomiast druga była tęgą, surową damą o wyszukanej, stosownej raczej dla młodej elegantki fryzurze i lodowatych, szarych oczach.

Gdy poczuła je na sobie, stwierdziła ze zdumieniem, że wpatrywały się w nią z jawną wrogością.

- Freddie! - Zbiegła z ostatnich stopni schodów. - Jak dobrze cię widzieć, kochany!

- Ros! - Dopadł Rosalyn w dwóch susach i zamknął w niedźwiedzim uścisku. - Wiem, długo mnie nie było. Wybaczysz mi? Nie powinienem cię tak zaniedbywać.

- Wcale mnie nie zaniedbywałeś - odparła z uśmiechem. - Ale teraz zaniedbujesz gości. Przedstaw mnie, proszę.

- Ależ ze mnie idiota! - Sir Frederick zwrócił się do starszej kobiety z dziwną mieszaniną szacunku i niechęci. - To pani Jenkins, Ros. Pani pozwoli, moja siostra, panna Rosalyn Eastleigh.

- Wiele o pani słyszałyśmy - oświadczyła pani Jenkins wysokim, fałszywym głosem. - Nie mogłyśmy się już doczekać, by panią poznać. Prawda, Beatrice?

- A to... - Freddie lekko pociągnął młodszą z pań do przodu. - To panna Beatrice Holland. Przywitaj się z Ros, kochanie.

- Panno Eastleigh. - Panna Holland zarumieniła się i dygnęła, uśmiechając się nieśmiało do Rosalyn. - Bardzo się cieszymy z przyjazdu do Lyston House. Mam nadzieję, że nie sprawiłyśmy pani zbyt wielkiego kłopotu.

- Oczywiście, że nie... - zaczęła Rosalyn, ale przerwała jej pani Jenkins.

- Oczywiście, że to żaden problem, Beatrice - warknęła. - Panna Eastleigh musi być szczęśliwa, przyjmując gości brata w jego domu.

- Ciociu Patricio... - Beatrice zarumieniła się z zażenowania. - Proszę...

- Pani Jenkins ma absolutną rację - rzuciła lekko Rosalyn. - Zawsze z radością podejmuję gości Freddiego. - Spojrzała na brata. - Freddie, chyba masz mi coś ważnego do powiedzenia. Może przejdziemy do salonu. Pani Jenkins, jest pani zapewne zmęczona po podróży. Moja kuzynka zaraz zaprowadzi panią do jej pokoju. Mario, zaopiekuj się panią Jenkins. Niedługo spotkamy się znowu w pełnym gronie. - Uśmiechnęła się do brata i tej ślicznej, filigranowej panny, której rękę ścisnął z taką determinacją. - Freddie, zaprowadź pannę Holland do mojego saloniku.

Pełne oburzenia spojrzenie pani Jenkins świadczyło dobitnie, że uznała zachowanie Rosalyn za aroganckie, ale Freddie natychmiast spełnił polecenie siostry. Widząc, że nie doczeka się z jego strony wsparcia, pani Jenkins ruszyła za Marią, która starała się ze wszystkich sił ułagodzić rozdrażnioną damę.

- A więc od razu zgadłaś - powiedział Freddie z respektem. Zawsze podziwiał starszą siostrę, która dorównywała mu wzrostem, natomiast pod wszystkimi innymi względami znacznie go przewyższała. - Podejrzewałem, że tak będzie. Powinienem być cię uprzedzić, ale...

- Nie było takiej potrzeby - ucięła Rosalyn. - Z przyjemnością witam tu pannę Holland, bo, choć jeszcze tego nie wykrztusiłeś, podejrzewam, że chcesz się z nią ożenić?

- Och, Freddie. - Beatrice spojrzała na niego z lekkim wyrzutem. - Obiecałeś, że powiesz o tym pannie Eastleigh, zanim tu przybędziemy. Przepraszam... on obiecywał, naprawdę.

- Właśnie to zrobił. - Rosalyn uśmiechnęła się do niej ciepło. - I, oczywiście, bardzo się cieszę. Jesteś tu bardzo mile wi-

dziana, moja droga Beatrice. Mam nadzieję, że mogę tak się do ciebie zwracać?

- Tak, oczywiście. - Gdy Beatrice uśmiechnęła się nieśmiało, na jej policzkach pojawiły się dołeczki. - Naprawdę nie ma pani nic przeciwko temu, panno Eastleigh?

- Przeszkadza mi tylko ta „panna Eastleigh”. Bardzo bym chciała, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Mów mi Rosalyn, proszę. - Ucałowała ją serdecznie - Jesteś śliczna. Masz szczęście, Freddie. Chyba to doceniasz?

- Oczywiście. - Spojrzał na narzeczoną tak cielecym wzrokiem, że Rosalyn nabrała pewności, iż był zakochany po uszy. - Wszyscy mężczyźni w Londynie uganiali się za Beą, a ona wybrała mnie. Nie mam pojęcia dlaczego. Nawet się nie umywam do lorda Hamiltona z Devonshire.

- Ty głuptasie! - zawołała Beatrice, natychmiast zdobywając serce Rosalyn. - Żadnego z nich nie pokochałam. Ciocia Patricia rzeczywiście uważała, że powinnam przyjąć księcia, ale nie mogłam, bo pojawiłeś się ty. - Uśmiechnęła się do Rosalyn. - Z początku wcale nie wiedziałam, czy Freddie mnie lubi.

- Jak to? Musiałaś wiedzieć! - zawołał z niedowierzaniem.

- Nie, dopiero podczas balu maskowego, kiedy wyszliśmy na balkon i... - Zerknęła niepewnie na Rosalyn. - Pewnie uznasz mnie za rozwiązłą, bo pozwoliłam Freddiemu pocałować się jeszcze przed zaręczynami, ale tak bardzo chciałam, żeby dał mi jakiś znak...

Urwała, bo do pokoju wpadła jak burza jej ciotka, za którą dreptała z nieszczęśliwą miną Maria. Najwyraźniej pani Jenkins postanowiła nie dać się dłużej zaniedbywać.

- Więc, moja droga? - Zwróciła swe złośliwe oczy na Beatrice. - Wszystko ustalone? Panna Eastleigh wie, że wychodzisz za sir Fredericka?



- Tak, ciociu.

- To dobrze... - Pani Jenkins rzuciła Rosalyn miażdżące spojrzenie. - Chciałam ogłosić zaręczyny jeszcze przed wyjazdem z Londynu, ale sir Frederick obstawał, by najpierw powiadomić panią.

Rosalyn poczuła do tej kobiety zimną niechęć. Dlaczego jest taka wredna wobec mnie? - pomyślała.

- Z pewnością nie było powodu do pośpiechu. Chyba nie podejrzewa pani, że mój brat mógłby wycofać się w ostatniej chwili? - Z satysfakcją zauważyła, że pani Jenkins pobladła. - Cieszę się, że Beatrice i Freddie przyjechali powiadomić mnie o zaręczynach. Muszę przyznać, że byłoby mi przykro dowiedzieć się o tym z „Timesa”.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wydać przyjęcie, Ros. - Freddie spojrzał na nią z wdzięcznością. - Przedstawiłbym Beatrice sąsiadom...

- Znakomity pomysł - pochwaliła pani Jenkins, zanim Rosalyn zdążyła otworzyć usta. - Po powrocie z podróży poślubnej Beatrice zamieszka tutaj, więc powinna jeszcze przed ślubem nawiązać przyjacielskie stosunki z sąsiadami.

Rosalyn zauważyła wyraz zakłopotania na twarzy brata. Był wściekły na panią Jenkins, że wyskoczyła z tą rewelacją w taki sposób, ale jego skruszona mina świadczyła, że rzeczywiście zamierzał osiąść tutaj z żoną. Serce Rosalyn zamarło, ale starała się nie pokazać po sobie wstrząsu.

- Wobec tego rzeczywiście musimy wydać kilka proszonych obiadów i może nawet bal - rzuciła lekkim tonem. Z bratem pogada sobie później! W cztery oczy! - Tak się składa, że zaprosiłam już parę osób na jutrzejszy obiad, tylko najbliższych przyjaciół, ale zaraz rozpocznę przygotowania do bardziej hucznej imprezy. Wydamy bal zaręczynowy. - Spojrzała na

Freddiego, który rozpaczliwie próbował pochwycić jej wzrok.

- Kiedy ślub? Ustaliliście już datę?

- Myśleliśmy o końcu przyszłego miesiąca. Potem zabiorę Beę na trzy tygodnie do Paryża, a...

Rosalyn ostrzegawczo zmarszczyła brwi.

- Nie musimy na razie tego omawiać, Freddie. Może później... - Ucieszyła się z wejścia pokojówki z herbatą. - Na pewno wszystkim przyda się mała przekąska. Mario, pełnij honory domu. Muszę porozmawiać z panią Simmons. Proszę o wybaczenie. Za chwilę wracam. Ale nie czekajcie na mnie.

- Oczywiście, moja droga.

Zdenerwowana Maria odprowadziła ją wzrokiem. Jasne, pomyślała Rosalyn, pewnie martwi się o swoją przyszłość. Jeśli Freddie zamieszka tu z żoną, to Maria nie będzie już potrzebna Rosalyn jako dama do towarzystwa.

Poczuła przypływ gniewu. Jak Freddie mógł bez uprzedzenia wywracać ich świat do góry nogami? Myślał wyłącznie o sobie, jak zwykle! Zawsze działał pod wpływem impulsu i miał nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

- Ros, zaczekaj! - Freddie wybiegł za nią do holu. - Proszę, pozwól mi wyjaśnić...

Odwróciła się i spojrzała na brata.

- Później. Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć, przecież to twój dom. Masz prawo robić z nim, co zechcesz.

- Mógłbym udusić tę babę! - burknął gniewnie Freddie. - Miałem nadzieję, że porozmawiamy o tym na osobności, że wyjaśnię ci, dlaczego Beatrice chciałaby tu mieszkać.

- Czy to nie może poczekać? Muszę dopilnować, żeby Jared został odwieziony do domu powozem. Zaczęło padać i nie chcę, żeby zmókł.

- Jared?

- Jared i jego opiekun wynajęli na lato dom lady Orford, a u nas gości córka Celi. Są mniej więcej w tym samym wieku, więc Jared i Sarah Jane zaprzyjaźnili się. - Uśmiechnęła się z pewnym przymusem. - Więcej ci opowiem, kiedy wszyscy będą przebierać się do obiadu. Wybacz, Freddie, ale to nie może czekać.

Już jej nie zatrzymywał, tylko patrzył za nią z wyrazem frustracji na przystojnej twarzy.

- Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, że przywiozłeś tu Beatrice - oświadczyła Rosalyn, kiedy w godzinę później wreszcie zostali sami. - To twój dom i masz prawo robić, co uznasz za stosowne.

- Nie chcę, żebyśmy się o to pokłócili. - Freddie był i zawstydzony, i zdeterminowany zarazem. - Obiecywałem ci, że to zawsze będzie twój dom i nie zmienię zdania. Beatrice nie sprzeciwi się, zresztą to taka słodka gąska. Z radością przyjmie twoją pomoc w prowadzeniu gospodarstwa. Nie musisz się obawiać, że zacznie ingerować w twoje sprawy, zresztą wiele czasu będziemy spędzać w Londynie, przynajmniej dopóki nie pojawią się dzieci. Bea chce mieć dużą rodzinę, to jeden z powodów, dla których pragnie mieszkać na wsi. Dla dobra dzieci. Powiedziałem jej, że ten dom jest znacznie większy od dworku w Devon, dlatego chciała go zobaczyć. I dzielić go z tobą.

- Każda kobieta wolałaby Lyston House - stwierdziła Rosalyn z pochmurną miną. - Rezydencja w Devon została zbudowana jako dom letniskowy w znacznej odległości od najbliższego miasta. Stąd natomiast jest tak blisko do Cambridge, że można podjechać tam w każdej chwili na zakupy. Zawsze uważałam, że to idealna kombinacja, mieszkać na wsi, ale tuż pod miastem.

- Przepraszam, Ros. Wiem, że to dla ciebie okropny szok.
- Szkoda, że nie powiadomiłeś mnie o tym wcześniej. Mia-  
łabym więcej czasu, żeby zastanowić się nad przyszłością.
- Powiedziałem ci przecież, że nie masz powodu się wy-  
prowadzać.
- A pani Jenkins? - Rosalyn spojrzała mu prosto w oczy. -  
Czy ona też ma tu zamieszkać?
- Dobry Boże, nie! - krzyknął Freddie ze zgrozą. - Nie ma  
mowy, nawet gdyby Bea tego chciała, a wcale nie chce. Ta  
kobieta miesiącami uprzykrzała Bei życie, zmuszając ją do  
zawarcia korzystnego małżeństwa. I właśnie dlatego  
chcemy tak szybko się pobrać, żeby Bea mogła się wreszcie  
od niej uwolnić.
- Akurat to rozumiem... - Spojrzała na niego ponuro. -Czy  
to jedyna krewna Beatrice?
- Tak, po śmierci matki nie ma już nikogo... Bea jest dzie-  
dziczką, a właściwie będzie dziedziczką po śmierci ciotki. Pani  
Jenkins zadbała o to, bym dowiedział się, ile dostanie. Tylko  
ze względu na dobro narzeczonej nie powiedziałem jej, gdzie  
może sobie ten majątek wsadzić... No, ale nie mam prawa  
pozbawiać Bei dwudziestu tysięcy funtów, prawda? Pewnie by  
mi za to nie podziękowała.
- A ty nie dbasz o pieniądze?
- Ożeniłbym się z nią, nawet gdyby była bez grosza, ale to  
spadek Bei. Nie mogę jej go pozbawić, choć nie lubię tej sta-  
rej megier.
- Ależ Freddie! - Rosalyn wykrzywiła się szpetnie do bra-  
ta. - Nie powinieneś z takim brakiem szacunku wyrażać się  
o ciotce swojej narzeczonej. Miejmy nadzieję, że kiedy się po-  
bierzecie, nie będzie was zbyt często odwiedzała.
- Niestety, jej dobra leżą w Huntingdon, czyli zdecydowa-

nie za blisko. Obawiam się, że będzie nam spadała na kark kilka razy do roku.

Rosalyn wybuchnęła śmiechem na widok miny brata. Z jego słów wywnioskowała, że powinna bardzo poważnie zastanowić się nad przyszłością. Mogła przez pewien czas żyć pod jednym dachem z Beatrice, która była słodką dziewczyną i zapewne początkowo będzie potrzebowała pomocy w prowadzeniu tak dużego gospodarstwa, ale nie zniosłaby częstych wizyt pani Jenkins.

- Cóż, dla dobra Beatrice powinieneś utrzymywać z tą kobietą poprawne stosunki. No, pora przebrać się do obiadu, bo inaczej goście będą na nas czekali.

- Jesteś bardzo zmartwiona, Ros?

Freddie był tak zaniepokojony, że Rosalyn całkiem zapomniała o swym gniewie.

- Nie, oczywiście, że nie! - Pocałowała go w policzek. - Wydaje mi się, że polubię Beatrice i naturalnie cieszę się twoim szczęściem.

-I nie uciekniesz, nie zostawisz nas?

- Nie od razu. Z czasem będę chciała mieć własny dom, ale nie tak zaraz. I oczywiście będę cię odwiedzać kilka razy w roku. Mam nadzieję, że moje wizyty nie staną się dla was zmorą.

- To absolutnie niemożliwe. - Freddiemu wyraźnie ulżyło. - Ale naprawdę chciałbym, abyś nadal uważała ten dom za własny. Nie ma powodu, byś go opuszczała. Chyba że wyjdiesz za mąż.

Rosalyn nie podjęła tematu. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, pozwoliła sobie na chwilę żalu. Była tutaj szczęśliwa, z Lyston House wiązało się tyle wspaniałych wspomnień. Będzie jej ciężko, gdy zostanie zmuszona do wyjazdu.

A że wyjedzie stąd, to nie ulegało wątpliwości. Bo gdyby została, to ona byłaby tutaj nadal panią, co nie byłoby fair wobec Beatrice. Nie, Rosalyn musiała poszukać sobie nowego domu.

Przynajmniej ojciec zadbał o to, by była niezależna finansowo. Oczywiście, nie będzie jej stać na tak dużą rezydencję, ale mogła sobie pozwolić na przyzwoity wiejski dworek, a nawet na dom w Bath.

Obie te możliwości były lepsze od mieszkania z ciotką Susan lub z bratem. Nagle wspomniała pana Wrexhama. Westchnęła ciężko. Nie było sensu zawracać sobie nim głowy. W ostatnich dniach nie spotykała go w czasie spacerów czy przejażdżek konnych i zaczęła podejrzewać, że jej unikał.

Wysłała mu zaproszenie na jutrzejszy obiad, ale nie dostała odpowiedzi. Mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie. Widać podczas ostatniego spotkania nazbyt wyraźnie ujawniła swe uczucia, a on nie chciał się wiązać z kobietą za starą na małżeństwo, więc postanowił trzymać się z daleka.

## Rozdział czwarty

Damian wszedł do holu i zrzucił podróżny płaszcz. Skinieniem głowy przywitał gospodynię, uprzejmie odpowiedział na jej pytania o podróż i przeszedł do gabinetu, w którym czekała na niego zimna kolacja i wino. W kominku buzował ogień, którego był bardzo spragniony po długiej, męczącej drodze.

Zrobił krótką inspekcję pozostawionego mu przez dziadka majątku, wpadł we wściekłość i natychmiast wrócił do Orford Hall. Był zmęczony, a do tego sfrustrowany całkowitym upadkiem wspaniałych niegdyś posiadłości, więc nie od razu zabrał się do przeglądania stosu oczekujących na niego zaproszeń. Kiedy jednak wziął do ręki bilecik od Rosalyn, uśmiech wrócił na jego usta.

Damian odprężył się i usiadł przed kominkiem z kieliszkiem wina. Zmęczenie i irytacja powoli z niego spływały. Jeszcze raz przeczytał zaproszenie. Było bardzo oficjalne. Panna Eastleigh po prostu rewanżowała się za gościnę u niego.

I właśnie na to liczył, kiedy po raz pierwszy zaprosił ją do Orford Hall. Jeśli dwie tak szacowne damy jak panna Eastleigh i jej kuzynka zawrą z nim znajomość, to zostanie zaak-

ceptowany we wszystkich okolicznych domach. To postawił sobie za cel, kiedy dowiedział się, że w sąsiedztwie mieszka stara panna. Później jednak spotkał pannę Eastleigh i jego uczucia uległy zmianie.

Przypomniawszy sobie, jak Rosalyn spojrzała mu w oczy podczas ostatniego spotkania. Wiedział, że go pragnęła, tak samo jak on jej. W niczym nie przypominała mdłych angielskich pańienek! Kompletnie w niczym! Była boginią, która zstąpiła na ziemię, łowczynią Dianą, piękną, odważną i namiętną. Sama myśl o niej rozpała w nim pożądanie, a jednak pozwolił jej wówczas odejść.

Wiedział, że gdyby ją poprosił, ofiarowałaby mu swą miłość, ponieważ jednak dowiedziała się o dawnym skandalu, musiała być świadoma, że nie może być nawet mowy o małżeństwie. Nie mógł jej przecież prosić, by dzieliła z nim hańbę. Dawniej miał nadzieję, że zdoła się zrehabilitować w oczach wyższych sfer i rozpocznie nowe życie w Anglii, teraz jednak zaczynał w to wątpić. Ludzie zawsze będą wytykać go palcami i szeptać za jego plecami. Nie miał prawa oczekiwać, że Rosalyn będzie z nim dzieliła taki los. Był idiotą, skoro pozwalał sobie marzyć o gwiazdce z nieba. Już dawno nauczył się, że nadmierne nadzieje prowadzą prostą drogą do rozpacz.

Zresztą nie zakończył jeszcze swoich spraw. Jadąc do Anglii, nie był świadom, że spadną na niego poważne długi. Wiedział tylko, że ma innego rodzaju rachunki do wyrównania. Powinien był to zrobić już dawno. Rosalyn pytała, czy zamierza wrócić do Indii, a on odpowiedział, że jeszcze nie wie. Ale zdawał sobie sprawę, że kiedy załatwi swoje sprawy do końca, nie będzie dla niego miejsca w Anglii.



Rzuciała się i wierciła godzinami, w końcu usiadła na łóżku, ziewnęła, po czym sięgnęła po szlafrok. Nie mogła zasnąć. Myśli kłębiły się w jej głowie jak miotane wiatrem liście. I wcale nie nagły ślub brata tak ją wytrącił z równowagi. Bo i dlaczego? Przecież jakoś wytrzyma towarzystwo pani Jenkins, choć nieraz przyjdzie jej zagryźć wargi, by powstrzymać słowa cisnące się na usta.

Poradzi sobie z tą grubiańską i nieczułą kobietą. Miała na to dość siły, w przeciwieństwie do biednej Marii, która przed snem wsunęła się do jej pokoju ze łzami w oczach.

- Nie wiem, co mam z sobą zrobić po ślubie sir Fredericka - szepnęła. - Pani Jenkins jasno dała mi do zrozumienia, że nie będę tu mile widziana.

- Nic jej do tego - stwierdziła stanowczo Rosalyn. - Uśmiechnij się, Mario. Zapewniam cię, że w moim domu zawsze będzie dla ciebie miejsce. A kiedy przeniosę się stąd na własne śmieci, będziesz mi bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. Chyba nie sądzisz, że zostawiłabym cię na pastwę losu?

Maria rozchmurzyła się nieco, choć wciąż lękała się zmian, jakie zachodziły w ich życiu.

Rosalyn powiedziała sobie, że nie opuści kuzynki, ale pomysł zamieszkania we dwie w wiejskim dworku był nader przygnębiający. Zakup domu nadweręży poważnie jej zasoby finansowe, nie będzie więc mogła żyć na takiej stopie, do jakiej przywykła. Ale, skarciła się w duchu, gdyby tylko to się dla niej liczyło, już dawno mogła wyjść za mąż dla uniknięcia podobnych kłopotów.

Wzięła świecznik i zeszła do saloniku, w którym zostawiła ulubiony tomik wierszy. Wierzyła, że poezja podniesie ją na duchu, okazało się jednak, że książka zniknęła. Odstawiła świecznik, otworzyła francuskie okno i popatrzyła na ogród.

Miała nadzieję, że świeże powietrze złagodzi ból głowy, który nękał ją od obiadu. Pani Jenkins miała taki donośny, wysoki głos. Rosalyn głęboko współczuła bratu, który będzie musiał często ją gościć, i zaczęła się zastanawiać, czy nawet pokaźna suma, jaką obiecała zostawić siostrzenicy swego męża, była warta utrzymywania z nią stosunków.

Pieniądze nigdy nie miały dla Rosalyn wielkiego znaczenia, uświadomiła sobie jednak, że zawsze je po prostu posiadała. Ojciec nigdy nie rozliczał jej z wydatków na gospodarstwo, nie zgadzał też się, by dokładała się do domowego budżetu. Teraz miało się to zmienić. Nie będzie uboga, ale musi nauczyć się kalkulować.

Jakiś cień poruszył się w kępie krzewów. Drgnęła z przerażenia, lecz chmury, jak na zamówienie, rozwiały się i zobaczyła go w świetle księżyca.

- Przestraszyłem panią, panno Eastleigh?

- Pan Wrexham - szepnęła z nutką radości w głosie. Natychmiast odzyskała humor, choć starała zbytnio tego nie okazywać. - Rzeczywiście trochę się zlekłam. Co pan tu robi?

- Wyprowadziłem Shebę na spacer. Pobiegnęła do pani ogrodu, więc ruszyłem za nią, by gdzieś nie przepadła. Właśnie jej szukałem, kiedy ujrzałem panią.

- Jak zechce, to sama pana znajdzie - rzekła z uśmiechem.

- Taka piękna noc. Wyszłam, bo nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mi zrobi, może przejdzie mi ból głowy.

- Przykro mi, że źle się pani czuje.

- Raczej jestem w złym humorze - wyznała szczerze. - Może przejdziemy się razem, sir? Powinien pan zabrać z sobą Shebę, żeby Jared nie tęsknił za nią po przebudzeniu. Domyślałam się, że sypia w jego nogach.

- Wiem. - Kąciki ust Damiana uniosły się w uśmiechu. - Przyłapałem ją na tej zbrodni, kiedy zajrzałem do jego pokoju po powrocie z podróży. Zeszła za mną na dół i kiedy wyszedłem się przejść, postanowiła mi towarzyszyć.

- Często pan spaceruje nocą? Nie widziałam pana od kilku dni... - Zarumieniła się. - Wyjeżdżał pan?

- Jared pani nie mówił?

Potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Ma takie wyraziste rysy, pomyślała, i pewnie taki sam charakter. Jak dobrze byłoby w trudnych chwilach oprzeć głowę na tych szerokich ramionach. Damian popatrzył na nią pytająco, nie rozumiejąc jej intensywnego spojrzenia, więc szybko spuściła oczy. Tak łatwo czytał w jej myślach, co w chwili obecnej mogło okazać się krepujące, jako że dumiała o czymś wielce nieprzyzwoitym.

- Nie, nie wspomniał o tym.

- Pewnie cieszył się, że przez pewien czas nie miał lekcji. Tak, musiałem opuścić go na kilka dni, wyjechać w interesach.

A więc to dlatego go nie widywała! Wcale jej nie unikał. Natychmiast poweselała, jakby rozwiała się ciężka chmura, która przesłaniała słońce.

- Po pana powrocie nie będzie mógł spędzać tyle czasu z Sarah Jane. Odwiedzają się codziennie, stali się nierozłączni. Sarah Jane będzie tęskniła za Jaredem.

- Może uczestniczyć w jego lekcjach, choć pewnie wydadzą się jej nudne. Jared studiuje stosunki międzynarodowe, szermierkę, strzelanie i politologię.

- Wielkie nieba! To trudne zagadnienia dla chłopca w jego wieku. Myślałam, że uczy go pan męskich sportów, żeby mógł pójść do angielskiej szkoły. A nie stosunków międzynarodowych i politologii!

- Znajomość tych zagadnień będzie mu potrzebna. Zapewne nadejdzie taki czas, kiedy zacznie odgrywać ważną rolę.

- Kim jest ojciec Jareda? A może nie powinnam pytać?

Damian zawahał się na moment. Jeśli w takiej chwili nie potrafił zaufać własnej intuicji, to był zgubiony. Zresztą chciał podzielić się z nią myślami, otworzyć przed nią serce, co zdarzyło mu się po raz pierwszy, odkąd został skazany na banicję.

- Ahmed jest księciem. Pewnego dnia, po śmierci ojca, zostanie władcą górzystego stanu w Indiach. Jared to najstarszy syn księcia, ale pojawili się przeciwnicy jego prawa do sukcesji, ponieważ jego matka nie była Hinduską.

- Rozumiem, mogłyby powstać problemy natury religijnej. - Pojęła wreszcie, dlaczego chłopiec był tak ściśle chroniony. - Na przykład niepokoje wśród fanatyków, prawda?

- Owszem, choć książę Ahmed zadbał o to, by syn został wychowany w jego wierze. Anna wyjaśniła Jaredowi, że istnieją różne religie, ale nigdy nie pozwolono jej zabrać chłopca do kościoła.

- A mąż zgadzał się, by wyznawała swoją religię?

- Prywatnie tak... Panno Eastleigh, wahałem się, czy powiedzieć pani prawdę, bo nie chciałem pani zaszokować i zaniepokoić. Przyjechaliśmy do Anglii, ponieważ doszło do zamachu na życie Jareda. - Nie dodał, że tylko jego błyskawiczna akcja uchroniła chłopca przed śmiercią, ani że sam został wówczas ranny i niemal cudem uszedł z życiem. - Tylko przypadkiem ocalał. Ahmed obawiał się, że następny zamach się uda, więc prosił, bym zabrał chłopca do Anglii.

- Nie! To okropne! Biedne dziecko! Nic dziwnego, że podczas naszego pierwszego spotkania był taki smutny i przerażony. Ale kto pragnie jego śmierci?

- Wrogowie jego ojca. Wielu ludzi, łącznie z ojcem Ahmeda, sądzi, że powinien wydziedziczyć starszego syna na rzecz młodszego, którego niedawno powiła jego druga żona. Dotychczas z uporem odmawiał, ale stało się to zarzewiem niepokojów. Z tego powodu nalegał, abym wywiózł jego syna w bezpieczne miejsce.

-I dlatego też pan nie zgadza się, by Jared sam spacerował po polach, i kontroluje każdy jego krok. - Teraz doskonale rozumiała jego postępowanie, które poprzednio uważała za nazbyt surowe. Intuicja jej nie omyliła, nie powinna była ani przez moment wątpić w uczciwość pana Wrexhama.

- Na tym właśnie polega mój dylemat. Z Radzibem Jared byłby, oczywiście, całkowicie bezpieczny, ale nie lubi go. Tak się składa, że ja również. Zaczynam podejrzewać, że lepiej było zostawić zarówno Radziba, jak i Nessę w Indiach.

- Och! Wydawało mi się, że Jared i Nessa są bardzo z sobą związani.

- To prawda, ale miałem na myśli własną wygodę. Niestety Nessa i Radzib nie uznają mojej zwierzchności. Przy każdej okazji torpedują moje polecenia, co nie pozostaje bez wpływu na Jareda, który również przestaje mnie słuchać.

- A przez to wiele spraw utrudnia... - Przypomniała sobie ponure spojrzenia chłopca, kiedy była w Orford Hall na proszonym obiedzie. - Może powinien pan odesłać ich do Indii?

- Tylko jeśli Jared się zgodzi. Zresztą gdy sytuacja się zmieni i wszystko wróci do normy, ojciec przyśle po niego.

- A pan z nim pojedzie? - Jej głos lekko się załamał. - Zapewne wiele pana wiąże z tym krajem. Po tylu latach jest panu bliższy niż Anglia, czy tak?

Damian dostrzegł rumieniec na jej policzkach.

- O co właściwie mnie pani pyta, panno Eastleigh? - po-

wiedział wprost. - Co chciałaby pani wiedzieć? Czy w Indiach czeka na mnie żona bądź ukochana?

- Nie, oczywiście, że nie - zawołała pospiesznie, choć za razem umknęła wzrokiem. - Takie pytanie byłoby wyjątkową impertynencją. Nie mam prawa...

Złapał ją za ramiona i wpatrywał się w nią przenikliwie, niemal gniewnie. Ta reakcja odbiegała znacznie od zachowania, jakiego się po nim spodziewała, zaskoczyła ją i przestraszyła.

- Nie ma pani prawa? Dlaczego pani kłamie, panno Eastleigh? Dlaczego oszukuje pani siebie i mnie?

- Nie kłamie.

- A jednak tak... I co, nie skomentuje pani tego? Nie zapyta pani, dlaczego uważam, że pani kłamie?

Z mocno bijącym sercem podniosła na niego wzrok

- To nieważne - wyszeptała. - Ja... Damianie...

Znalazła się w jego objęciach, nim zdążyła coś więcej powiedzieć. Jego wargi odnalazły jej usta, były ciepłe, kuszące... żądające. Rosalyn przylgnęła do niego, ofiarowała mu swe usta, całą siebie. Tym pocałunkiem zabrał ją aż do nieba. To było najwspanialsze uczucie w całym jej życiu, tak cudowne, że pragnęła, by trwało wiecznie. Westchnęła z żalem, kiedy ją puścił.

- Tak, moja słodka dziewczyno. - Poglądził jej policzek. - Właśnie dlatego masz prawo zadawać mi wszelkie pytania. A odpowiedź na wszystkie brzmi: nie. Nie mam nikogo innego.

- Och, Damianie, nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy w życiu tak się nie czułam... nigdy nie pragnęłam... - Zmieszana opuściła wzrok. Co ona wygaduje? Że chciała, by się z nią kochał? Przecież to niemożliwe, by zamierzała powiedzieć coś tak skandalicznego!

- Nie pragnęłaś... czego? - drażnił się z nią. - Chciałaś po wiedzieć, że pragniesz, bym się z tobą kochał?

-Nie... tak! - Roześmiała się, widząc błysk rozbawienia w jego oczach. - Oczywiście, że cię pragnę, Damianie. W przeciwnym razie nie pozwoliłabym ci się całować.

- Czy to był twój pierwszy prawdziwy pocałunek?

- Były inne - wyznała z frywolnym uśmiechem. - Ale żadnego naprawdę nie chciałam i żaden nie wzbudził we mnie takich uczuć.

- Ale? - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Bo przecież musi być jakieś „ale”, prawda, moja najdroższa Rosalyn? Nie jesteś pewna, czy jednak możesz się oddać takiemu łotrowi jak ja, prawda?

- Nie jesteś łotrem - zapewniła żarliwie. - Nie w tym rzecz, Damianie. Nigdy nie należałam do słodkich dziewczątek, to nie mój styl, ale...

- Ale nie jesteś gotowa dla miłości rzucić wyzwania całemu światu? - W jego wzroku dostrzegła lekką kpinę. - Zostać w oczach ludzi kobietą upadłą?

- Nie jestem pewna. - Wprost rwała się do niego, ciało i serce krzyczały, by zapomnieć o ostrożności, natomiast rozum radził zaczekać, zastanowić się. Bo co właściwie wiedziała o tym człowieku, który wpadł w jej życie niczym kometa? - Wiem, że to wahanie jest głupie. W moim wieku powinnam być wdzięczna losowi za szansę zaznania miłości, choćby tylko na krótko. Nie stawiam ci żadnych żądań, nie proszę, byś się ze mną ożenił. Wiem, że ani ci w głowie małżeństwo.

- Wiesz? Naprawdę? - Z trudem powstrzymał rozbawienie, kiedy uświadomił sobie, że Rosalyn poważnie zastanawiała się nad tym, czy nie zostać jego kochanką. Była jedyna w swoim rodzaju, bezcenna! Pragnął porwać ją w ramiona i uciec z nią na koniec świata, ale wiedział, że musi zachować najwyższą

ostrożność. - Uważam, że nie mam prawa prosić żadnej kobiety, by dzieliła moją niesławę, ale to nie znaczy, że o tobie nie myślałem.

- Twoją niesławę? - Spojrzała na niego zdumiona. - Masz na myśli ten skandal sprzed lat?

- Jest... a raczej może być coś więcej. Sam jeszcze nie wiem, co się stanie w ciągu najbliższych kilku tygodni, a dopóki nie będę tego wiedział, nie mogę ci zaproponować małżeństwa, Rosalyn. Bo nie potrafiłbym powiedzieć, jak długo potrwałby nasz związek.

- Tak, rozumiem. - Wiedziała, że taka jest prawda, a jednak zabolalo, gdy ją usłyszała. Zamrugala powiekami, żeby powstrzymać łzy, i odważnie spojrzała mu w oczy. - Daj mi trochę czasu, Damianie. Muszę być pewna.

Za odpowiedź posłużył kolejny pocałunek. Czuły, pełen miłości pocałunek, który omal nie zmienił jej postanowienia, ponieważ jej ciało zaczęło gwałtownie domagać się rozkoszy. Dlaczego więc czekać? Po co? Miała już dwadzieścia siedem lat i mało prawdopodobne, by spotkała innego człowieka, którego mogłaby pokochać, nawet gdy to szczęście nie miałoby trwać zbyt długo.

- Damianie... myślę...

- Nie, nic nie mów. - Nakrył palcami jej usta, żeby zatrzymać nierozważne słowa. - Nie dzisiaj. - Uśmiechnął się na widok jej zdumienia. - Gdybym wykorzystał tę chwilę, postąpiłbym wobec ciebie nie fair. Musisz mieć czas do namysłu, kochanie. Będę jutro u ciebie na przyjęciu. Wtedy dasz mi odpowiedź.

W tym momencie z krzaków wypadła Sheba, zaczęła szczełkac i skakać na nich, jakby dokonała jakiegoś cudownego odkrycia, znajdując ich razem.



- Muszę wracać do domu, zanim ta wariatka obudzi wszystkich domowników. - Rosalyn stanęła na palcach, żeby pocałować go w policzek. - Dobranoc, Damianie. Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę mi na tobie zależy i zawsze będzie zależało, niezależnie od tego, co się między nami wydarzy.

Pochwycił ją, mocno do siebie przytulił i pocałował. Natychmiast mu się poddała, przylgnęła do niego całym ciałem, spragniona i bezbronna, lecz puścił ją, a nawet odepchnął lekko, żeby odeszła, zanim będzie za późno.

- Idź, moja Amazonko, dopóki mam jeszcze siłę, by pozwolić ci odejść.

Patrzył, jak Rosalyn oddalała się, walcząc z pulsującym pożądaniem i przeklinając własne poczucie przyzwoitości. Jeśli ta kobieta przyjdzie do niego... jeśli mu się odda... to musi być to dobre dla nich obojga. Rozpaczliwie jej pragnął, ale zbyt mu na niej zależało, by wykorzystać jej bezbronność.

Odwracając się, dostrzegł czyjąś twarz w oknie na piętrze. Rosalyn dopiero co weszła do domu, więc to nie ona. Ktoś ich podglądał... ale kto?

Damian przeklął swój brak rozwagi, zawołał psa i ukrył się pod osłoną krzewów. To on, a nie Sheba, wybrał trasę dzisiejszego spaceru. Coś go tu ciągnęło, jakaś część duszy, którą dawno już uznał za umarłą.

Nie wierzył własnym oczom, kiedy Rosalyn wyszła do ogrodu w lekkim szlafroczk, jakby przywołana przez niego. Wątpił, czy zdawała sobie sprawę, że jej cudowne kształty rysowały się wyraźnie pod cienkim jedwabiem, że zapach jej rozgrzanego ciała był upojny jak najwspanialsze perfumy... że działała na niego z taką siłą. Nie zdołał opanować pokusy, by ją objąć, całować... Ktoś jednak ich widział i mógł wyciągnąć niewłaściwe wnioski.

Wiedział aż za dobrze, co pewne umysły, a za nimi języki, mogły zrobić z niewinnego pocałunku. Wiedział też, że okrutne plotki potrafiły zniszczyć wrażliwą psychikę. Właśnie w obronie honoru kobiety wyzwiał na pojedynek Rodericka Harringtona. Dopiero potem dowiedział się, że bardziej zawinił ktoś inny.

Roderick Harrington porwał dziewczynę. Dopadł jej, gdy szła samotnie wiejską dróżką, związał, wciągnął do swojego powozu, ale to jego brat ją zgwałcił i zhańbił. To Bernard Harrington okrył ją niesławą, rozkrwawił duszę, sprawił, że odebrała sobie życie, bo nie mogła znieść skandalu i hańby, która okryła rodzinę.

Ten sam Bernard Harrington zrujnował ojca Damiana przy karcianym stoliku i przyspieszył jego śmierć. To przez niego dziadek umierał samotnie, bolejąc nad utratą wnuka. Damian postanowił, że Bernard Harrington musi za to wszystko zapłacić. Jeśli będzie trzeba, gotów był wyzwąć go na pojedynek.

Rosalyn nie spodziewała się, że po spotkaniu z Damianem będzie mogła zasnąć, ale gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, pojawiły się słodkie sny. Choć rano nie mogła sobie przypomnieć ich treści, wiedziała, że we śnie była razem z Damianem i czuła się bezpieczna i szczęśliwa.

Wybrała się na krótką przejażdżkę po okolicznych polach, po czym, odprężona i wypoczęta, weszła do pokoju śniadaniowego, w którym zastała Marię i panią Jenkins.

- Czy Freddie już zszedł na dół? - zapytała, po czym zwróciła się do pani Jenkins: - Wydałam polecenie, by Beatrice podano śniadanie do łóżka. Pani również nie musi fatygować się do jadalni, madame. My z Marią wolimy jeść przy stole, ale jeśli pani sobie życzy, będziemy posyłać pani tacę do pokoju.

- Nie mam zwyczaju spać do późna - oświadczyła pani Jenkins, rzucając jej dziwne spojrzenie. - Właściwie niewiele śpiam. Zawsze czytam przed snem. Wczoraj wieczorem pożyczłam sobie tomik wierszy, choć nie cenię twórczości lorda Byrona. Moim zdaniem brakuje mu przyzwoitości zarówno w twórczości, jak i w życiu. Skandalista!

Temu stwierdzeniu towarzyszyło tak potępiające spojrzenie, że Rosalyn zaczęła się zastanawiać, o co pani Jenkins chodzi.

- Przykro mi, że nie ceni pani poezji Byrona, madame. Jestem pewna, że w bibliotece ojca znajdzie pani książki, które panią usatysfakcjonują. - Spojrzała na Marię, która była wyraźnie przygnębiona. - Czy mogłabyś pójść do szklarni, Mario, i poprosić Toma o kwiaty do przybrania domu? Układasz takie piękne kompozycje.

- Tak, oczywiście. - Maria rozpromieniła się, słysząc pochwałę. - Pójdę od razu.

- Skończ najpierw śniadanie.

Maria stwierdziła jednak, że już się najadła. Wyraźnie spieszo jej było odejść od stołu. Była przybita. Pewnie pani Jenkins zdążyła już powiedzieć jej coś podłego.

- Maria jest zawsze taka usłużna - zauważyła Rosalyn po odejściu kuzynki. - Była dla mnie podporą po śmierci ojca.

- Oczywiście nie mogła pani mieszkać tu sama - zauważyła cierpko pani Jenkins. - Choć dopiero się okaże, czy zamieszkanie wyłącznie z panną Bellows było rozsądnym posunięciem. Pani reputacja byłaby lepiej chroniona, gdyby żyła pani pod jednym dachem z kobietą zamężną, o nieco wyższej pozycji towarzyskiej.

- Moja reputacja byłaby lepiej chroniona? - Rosalyn spojrzała na nią ze zdumieniem. - Naprawdę nie rozumiem, co pani ma na myśli.

- Czyżby? - Pani Jenkins obdarzyła ją fałszywym uśmiechem. - Na razie nic więcej nie powiem, ale proszę nie uważać mnie za idiotkę, panno Eastleigh. Pani może nie przejmować się, co inni o pani pomyślą, ale ja martwię się o Beatrice. Zrobię wszystko, by chronić jej dobre imię.

Rosalyn kompletnie osłupiała. Co ona, u licha, sugeruje? A może widziała...? Straszliwa myśl przyszła jej do głowy. Okna pokoju pani Jenkins wychodziły na tę część ogrodu, w której spotkała się z Damianem! Czyżby widziała ich razem? Czyżby widziała, jak się obejmowali? Gdyby nie mogła zasnąć, całkiem możliwe, że podeszła do okna.

Rosalyn nagle uświadomiła sobie, że miała wówczas na sobie tylko cienki szlafroczek narzucony na koszulę. Postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że to była umówiona schadzka z kochankiem.

- Nie musi się pani niepokoić ani o dobre imię Beatrice, ani o moje - odparła z godnością. Wstała od stołu, żeby nie stracić panowania nad sobą. - Pani wybaczy, madame. Spodziewam się dzisiaj gości, więc muszę porozmawiać z panią Simmons.

Opuściła pokój dumnie wyprostowana. Że też akurat to musiało jej się przytrafić! Naturalnie osoba pokroju pani Jenkins zakładała zawsze wszystko co najgorsze...

Złościła się, że musi wysłuchiwać moralizatorskich pouczeń we własnym domu, ale sama była sobie winna. Od lat mieszkała bez rodziny, więc przywykła paradować nocą po domu w negliżu. A poprzedniej nocy rzeczywiście uległa pokusie. Gdyby nie samokontrola Damiana, oddałaby mu się w ogrodzie.

Nie myślała wtedy o swojej reputacji, teraz jednak pojęła, że jej związek z Damianem powinien być trzymany w tajem-

nicy. Nie chciała wywołać skandalu, który mógłby zaciążyć na życiu Freddiego i jego młodej żony.

Jakie to niesprawiedliwe! Gdyby Rosalyn urodziła się mężczyzną, mogłaby mieć dowolną liczbę kochanek i nie obawiać się żadnych kłopotów. Już nie mówiąc o tym, że jako pierworodna odziedziczyłaby Lyston House!

Zalągl się w niej cień żalu. Nie dbała o tytuł ani o pieniądze, bolało ją tylko, że musiała opuścić dom, który zawsze uważała za swój.

Myśli kłębiły się jej w głowie. Marzyła, by znów znaleźć się w ramionach Damiana, ale zdawała sobie sprawę z konsekwencji. Jeśli odda się mężczyźnie przed ślubem, to może zapomnieć o odpowiednim małżeństwie, a gdyby jej romans wyszedł na jaw, będzie skończona w towarzystwie i potępiona przez wszystkie przyzwoite kobiety.

Ale jakie to miało znaczenie? Zawsze wystarczało jej nieliczne grono bliskich przyjaciół i nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, za którego pragnęłaby wyjść za mąż, więc co właściwie miała do stracenia?

Była sfrustrowana i zmieszana, straciła zwykłą pewność siebie, ale cóż, nigdy dotąd nie stanęła przed takim dylematem. Miała jednak zbyt wiele roboty, żeby się nad tym zastanawiać. Po ślubie brata w spokoju podejmie decyzję.

Tak czy owak, niedługo zniknie z Lyston House. Gdyby wyjechała z Anglii, może skandal nie byłby taki straszny. Zawsze marzyła o podróżach i przygodach, a skoro już musiała opuścić rodzinny dom, czemu nie miałyby pójść za głosem serca?

Ale czy Damian byłby gotów zabrać ją z sobą i dzielić z nią życie?

Zostałaby jego kochanką, choć przez całe życie wbijano jej w głowę, że przyzwoita kobieta nie powinna nawet o tym my-

śleć. Gdyby ją jednak pokochał, mogła znaleźć w życiu coś cennego, dla czego warto poświęcić reputację.

Perspektywa wolnego związku budziła jednak jej przerażenie, bo oznaczała bezpowrotną utratę wszystkiego i wszystkich, których znała i kochała. Ale co mogła dostać w zamian? Zgorzkniałą, samotną starość? Nie! - krzyczało jej buntownicze serce. Chciała czegoś więcej. Chciała Damiana Wrexhama.

Nagle przyszłość odsłoniła przed nią szereg możliwości. Poczwała lubieżne ożywienie. Postanowiła powiedzieć Damianowi, że muszą trochę poczekać, a potem, jeśli nadal będzie jej pragnął, wyjedzie wraz z nim.

Zaproszeni przez Rosalyn na obiad goście ze zdumieniem, ale i radością przyjęli wiadomość o zaręczynach sir Fredericka. Jego śliczną, nieśmiałą narzeczoną uznano za prawdziwy dar dla całego sąsiedztwa. Cieszono się na myśl, że sir Frederick i jego młoda żona będą brali żywszy udział w życiu towarzyskim okolicy niż jego pozostająca w staropanieńskim stanie siostra.

Poczwała na sobie spojrzenie ciemnych oczu. Uśmiechnęła się do Damiana, nie przejmując się podejrzliwym, pełnym niechęci wzrokiem pani Jenkins. Nie mogła w nocy widzieć go zbyt wyraźnie, więc nie miała pewności, niewątpliwie jednak była pełna podejrzeń.

Rosalyn niezbyt się tym przejmowała. Pani Jenkins nie będzie przecież rozpowiadać o tym, co widziała, choćby ze względu na dobro siostrzenicy jej zmarłego męża, a po ślubie jej podejrzenia stracą wszelkie znaczenie. Przestała się cokolwiek przejmować. Od wieków nie czuła się równie podkorytowana.

Jej oczy rozbłysły, kiedy napotkały pytający wzrok Damiana. Była pewna, że potrafił czytać w jej myślach i wszystko zrozumiał. Teraz, kiedy podjęła decyzję, poczuła się lekka jak ptak unoszony w powietrzu ciepłym wiatrem.

Za miesiąc będzie wolna i wyjedzie z nim!

- Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ładnie, moja droga.

Rosalyn odwróciła się do pastora, który siedział po jej lewej ręce. Uśmiechnęła się. Był dobrym człowiekiem, wrażliwym i nie nazbyt surowym wobec upadków swych parafian.

- Dziękuję, sir. Doskonale się czuję.

- Dzięki dobrej nowinie o sir Fredericku, prawda? . -

Oczywiście.

- Hm... Mam nadzieję, że nie opuścisz nas wraz z panną Bellows?

- Nie od razu, ale z czasem lady Eastleigh zechce być panią we własnym domu. Obiecałam Marii, że zawsze będzie mogła zamieszkać ze mną, dokądkolwiek się udam.

-Och... Więc możecie opuścić nasze strony? Cóż, rozumiem, będzie to jednak dla nas prawdziwa strata. Panna Bellows nieustrudzenie pomagała we wszystkich kościelnych sprawach. Bardzo nam będzie jej brakowało. I pani również, panno Eastleigh.

Najwyraźniej jednak prawdziwie bolał nad tym, że może stracić Marię. Wyraz jego twarzy uderzył Rosalyn. Maria często pomagała w organizacji kościelnych kiermaszów, ale aż do tej chwili sądziła, że w ten sposób zabijała czas. Teraz zaczęła podejrzewać, że za oddaniem kuzynki dla spraw Kościoła kryło się nie tylko pragnienie służenia lokalnej społeczności.

Jeszcze tego samego wieczoru zobaczyła tych dwoje pogrążonych w ożywionej rozmowie i jej podejrzenia zmieniły się w pewność. Ależ była ślepa! Dlaczego dotychczas nie zwróciła

uwagi na gwałtowne ożywienie Marii, kiedy w pobliżu znajdował się pastor?

- Pensa za twoje myśli - szepnął jej do ucha Damian, przechylony ponad oparciem kanapy. Jej puls natychmiast przyspieszył. Jaka szkoda, że nie byli sami! Nie zdawała sobie sprawy, że jej uczucia zdradził figlarny błysk w oczach i lekko rozchylone wargi.

- Zastanawiałam się nad tym, w jaki sposób skłonić Marię i pastora, by wyznali sobie uczucia, zanim stąd wyjadę.

- Myślisz o wyjeździe?

- Tak, po ślubie brata. Przedtem nic, oczywiście, nie zrobię.  
- Uśmiechnęła się, widząc, że zrozumiał. - Zastanawiałam się nad jakimś dworkiem lub niewielkim domem w Bath, teraz jednak dochodzę do wniosku, że bardziej odpowiadałby mi wyjazd za granicę. Zawsze marzyłam o podróżach.

- A! - W oczach Damiana zapłonął żar namiętności. - Tak, rozumiem. Po ślubie brata? Do tego czasu wiele może się wydarzyć. Może i ja pomyślę o wyjeździe z Anglii.

Rozumieli się doskonale. Serce Rosalyn zadrżało. Złożyła obietnicę. Teraz już nie ma odwrotu. Zresztą wcale nie chciała się wycofać. Marzyła o chwili, kiedy staną się jednością.

- Panie Wrexham? - Ostry głos pani Jenkins brutalnie przywołał ją do rzeczywistości. - Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z lordem Edwardem Wrexhamem?

Damian odruchowo odsunął się od Rosalyn. Coś w zachowaniu pani Jenkins zaalarmowało go, uprzedziło o niebezpieczeństwie. Znał takie kobiety i wiedział, czego się można po niej spodziewać.

- Jestem, madame - odparł chłodno. - Był moim ojcem.

- Ojcem? - wrzasnęła piskliwie pani Jenkins. - A zatem pan jest Damianem Wrexhamem, potworem, który zamor-



dował mojego młodszego brata! Niech pan zaprzeczy, jeśli ma pan czelność! Zabił pan Rodericka! Jest pan mordercą!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią i na Damiana, który rzucił Rosalyn przepraszające spojrzenie, ale wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, nie zdradzał również żadnych oznak zdenerwowania.

- Zaprzeczy pan, że zabił Rodericka Harringtona?

- Nie przeczę, że zmarł wskutek zadanej przez mnie rany - odparł Damian z niewzruszoną miną. Stał dumnie wyprostowany i mierzył ją zimnym jak lód wzrokiem. - Ale otrzymał postrzał w uczciwej walce.

- Zmusił go pan do tego pojedynku! - Jej twarz stała się purpurowa z wściekłości, potężny biust falował. Przypominała wielką, odzianą w fiolety ropuchę o wyłupiastych oczach.

- Nie wiem, jak pan może mieć czelność narzucać się przyzwoitym ludziom. Gdybym wiedziała, że jest pan w tym domu mile widzianym gościem, nigdy nie przywiozłabym tu Beatrice. - Zwróciła złośliwe spojrzenie na Rosalyn. - Myślę, że nie zdawała sobie pani sprawy z haniebnej przeszłości tego człowieka, panno Eastleigh.

W pokoju zapadła cisza. Rosalyn miała ochotę uderzyć tę złośliwą jędzę w twarz. Jak śmiała?! Jak mogła urządzić taką scenę? Naprawdę paskudna baba!

- Nie ma mi pani nic do powiedzenia? - zapytała wreszcie pani Jenkins, bo Rosalyn zachowała milczenie. - Będzie pani uprzejma wyprosić z domu tego człowieka czy też mam zabrać stąd Beatrice i wrócić do Huntingdon?

- Zabrać Beę... - Freddie natychmiast otrząsnął się z osłupienia. Zbliżył się do narzeczonej, jakby chciał ją chronić. - Co to wszystko znaczy? Nie rozumiem. Rosalyn... Wrexham, czy to prawda?

- Damianie... - szepnęła pobladła Rosalyn. Nie czuła się na siłach, by cokolwiek zrobić bądź powiedzieć, rozdarta pomiędzy miłością do niego a lojalnością wobec brata. - Ja... - Zabrakło jej słów, tylko oczy zdradzały niepewność i udrękę.

- To prawda, że zabiłem w pojedynku Rodericka Harringtona - powiedział Damian, a jego oczy zwięziły się pogardliwie. Wyczuł słabość charakteru Freddiego, który nie potrafił stać czoła ciotce swej narzeczonej, by bronić własnej siostry. - Wyzwałem go z poważnego powodu, którego nie chciałbym tu wyłuszczać.

- To było morderstwo! - obstawała przy swoim pani Jenkins, zwracając się do wszystkich obecnych w pokoju. - Oskarżenie zostało, oczywiście, wycofane. Upiekło mu się, o co zadbał hrabia Marlowe, jego dziadek, ale to było morderstwo. Albo on opuści ten dom, albo ja zabiorę stąd Beatrice i odwołam ślub.

- Freddie! - Beatrice spojrzała z przerażeniem na narzeczonego. - Błagam, nie pozwól jej... - Zamilkła, kiedy ciotka omiotła ją gniewnym wzrokiem. Bała się, że może natychmiast spełnić swą groźbę. Rosalyn również zdawała sobie z tego sprawę.

- Proszę się nie denerwować, panno Holland. - Damian skłonił się sztywno. - Wyjdę, oczywiście, natychmiast. Wybacz, Rosalyn. Muszę opuścić twój dom.

- Damianie! Proszę, nie odchodź...

Patrzyła, jak przechodził przez pokój z uniesioną głową, sztywno wyprostowany, i wyrywała się, by biec za nim, choć wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Gdyby dała tej wrednej pani Jenkins pretekst do zniszczenia szczęścia Beatrice i Freddiego, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Musiała pozwolić mu wyjść, choć jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków.

- Ciociu Patricio... - Beatrice przerwała ciszę, jaka zapadła po wyjściu Damiana. - Chyba nie sądzisz, że Rosalyn wiedziała, kim jest ten człowiek? On niedawno przyjechał w te strony, prawda, Freddie?

- Tak. Ros na pewno nie wiedziała, co on zrobił - zawołał, obrzucając siostrę niepewnym spojrzeniem. - Nikt z nas nie wiedział. Przecież nie zostałby zaproszony, gdybyśmy domyślali się...

Maria otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, uznawszy, że to nie najlepsza chwila, by bronić pana Wrexhama. Rosalyn milczała, żołądek ścisnął jej się ze zdenerwowania i wściekłości. Została postawiona w sytuacji nie do zniesienia. Dla dobra Freddiego chwilowo nie mogła powiedzieć tego, co myślała, nie potrafiła jednak się z tym pogodzić.

- Nigdy nie interesowała mnie przeszłość pana Wrexhama - odezwała się wreszcie. - Naturalnie... nie zaprosiłabym go na dzisiejszy obiad, gdybym wiedziała... o tragedii w pani rodzinie, madame.

Rosalyn zdawała sobie sprawę, że pani Jenkins nie była ani przekonana, ani też usatysfakcjonowana jej słowami, choć chwilowo uznała za stosowne zadowolić się nimi.

- Byłam pewna, że pani nie wiedziała - oświadczyła z zimnym uśmiechem. Powiodła wokół niby przepaszającym spojrzeniem. - Muszą mi państwo wybaczyć tę scenę, ale nie byłam w stanie przebywać pod jednym dachem z tym łotrem.

Goście mruknęli coś, wyraźnie zażenowani. Wielu z nich polubiło pana Wrexhama i choć byli wstrząśnięci tym, czego się dziś dowiedzieli, nie byli pewni, co o tym myśleć. Pani Jenkins niewątpliwie znalazła się w trudnej sytuacji i wzbudzała pewne współczucie; ale przynajmniej w oczach panów pojedynków nie był równoznaczny z morderstwem.

Rosalyn nie była w stanie dłużej przebywać w jednym pokoju z panią Jenkins. Nerwy miała napięte do ostatnich granic, chciało jej się krzyczeć z wściekłości, ale wiedziała, że powinna zachować spokój. Musiała udawać, że przyjmuje przeprosiny. Robiła to dla Freddiego. Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w dłonie, i postanowiła nie odzywać się, by nie powiedzieć czegoś, czego by później żałowała. Nie chciała zaszkodzić bratu czy Beatrice.

- Rosalyn, kochanie. - Maria stanęła u jej boku, kiedy na pięcie w salonie trochę zelżało i ludzie znowu zaczęli rozmawiać i śmiać się, żeby ukryć zakłopotanie. - Co za okropna kobieta! Nie mogę nawet myśleć o tym, co zrobiła. Wydaje jej się chyba, że jest właścicielką tego domu...

Rosalyn podniosła głowę, wściekłość i duma walczyły w niej o lepsze.

- Nie przejmuj się, Mario. - W jej głosie pobrzmiwał straszliwy gniew. - Musimy myśleć o Freddie i Beatrice. To tylko kilka tygodni.

- Jakaś ty dzielna! Na twoim miejscu powiedziałabym jej coś okropnie niegrzecznego, i to nie tylko ze względu na to, co dziś zrobiła. Mówię ci otwarcie, nigdy jej nie polubię. Nic nie zmusiłoby mnie do pozostania z panią Jenkins pod jednym dachem, gdyby nie świadomość, że potrzebujesz mojego wsparcia, kochanie.

Bojowe słowa Marii sprawiły, że Rosalyn wreszcie się uśmiechnęła.

- Znasz mój niewyparzony język. Z największym trudem trzymałam go dziś na wodzy. W innych okolicznościach z przyjemnością pokazałabym jej drzwi.

- A ja z rozkoszą zamknęłabym je za nią! Biedny pastor był przerażony. Polubił pana Wrexhama, uważa go za prawdziwe-

go dżentelmena. Oboje sądzą, że w zaistniałej sytuacji zachował się z wyjątkową godnością.

- Pastor ma absolutną rację - odparła Rosalyn. - Zawsze ufałam jego sądom. To dobry, rozsądny i wrażliwy człowiek, na którym można polegać w ciężkich chwilach.

- Tak. Taki właśnie jest, a nawet jeszcze lepszy. - Maria popadła w zamyślenie. - O, nasi goście już wychodzą. Powinnaś ich pożegnać.

- Tak, naturalnie.

Rosalyn zdążyła już odzyskać panowanie nad sobą i była w stanie odprowadzić swych przyjaciół do drzwi. Na twarzach niektórych z nich dostrzegła troskę, ale nikt nie chciał otwarcie rozmawiać o żenującym incydencie. Uznano, że najlepiej zamieść sprawę pod dywan i puścić w niepamięć.

Po wyjściu gości Rosalyn natychmiast schroniła się w swoim pokoju. Nie miała ochoty na rozmowę ani z bratem, ani z panią Jenkins. Zamierzała się już rozebrać, kiedy usłyszała pukanie w chwili. Westchnęła z rezygnacją.

- Proszę wejść.

To był Freddie. Spojrzał na nią niepewnie i zaczerwienił się. Był zawstydzony, ale równocześnie nie ukrywał ulgi - i rzeczywiście miał ku temu powody!

- Ros... - Spuścił wzrok, kiedy spojrzała mu w oczy - Nie wiem, co powiedzieć.

- Więc nic nie mów. Rozumiem twoją postawę.

- Chyba nie sądziłaś, że pani Jenkins ucieszy się z obecności człowieka, który zabił jej brata?

- Nie, oczywiście. Szkoda, że żadne z nas o tym nie wiedziało. Niemniej jednak powinna porozmawiać z tobą o tym na osobności. Nie było potrzeby urządzania sceny przy goś-

ciach i zmuszania pana Wrexhama do opuszczenia naszego domu w taki sposób.

- Masz rację, postąpiła podle. Wszystkich wprawiła w zażenowanie.

- To paskudna kobieta. Nigdy jej nie polubię, nawet przez wzgląd na ciebie. Mam nadzieję, że nie zniszczy twojego małżeństwa. Jeśli nie będziesz uważać, może zmienić wasze życie w koszmar.

- Przecież znasz moje uczucia. Gdyby nie Bea, z przyjemnością wyrzuciłbym ją z domu. - Odpreżył się nieco, bo na twarzy siostry pojawił się uśmiech. - Przepraszam. Szczerze boleję, że zostałam postawiona w tak nieznośnej sytuacji. Czy... czy lubisz pana Wrexhama, Ros?

-I to bardzo.

- Tak sądziłem. - Freddie bawił się łańcuszkiem zegarka, jak ktoś, kogo dręczy poczucie winy. - Ale chyba nie myślisz o poślubienie go, prawda?

- A miałyby to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Dla mnie osobiście nie. Wydaje mi się, że to porządny człowiek, ale znasz sytuację.

- Tak, znam - stwierdziła chłodno, choć czuła narastający gniew. Czy brat nie zdawał sobie sprawy z własnego egoizmu? - Jeśli to ma cię uspokoić, Freddie, to zapewniam, że przynajmniej jak na razie nie myślałam o poślubieniu pana Wrexhama i nie zaproszę go do tego domu, dopóki mieszka tu pani Jenkins.

- Ros... wiem, że nie mam prawa o to prosić, ale czy możesz mi obiecać, że do naszego ślubu nie będziesz się z nim spotykać? To taka okropna kobieta! Mogłaby odmówić zgody na nasze małżeństwo, gdyby usłyszała jakieś plotki o... o was dwojgu.

' - Tak? Jakie plotki? - Spojrzała mu prosto w twarz. Freddie odwrócił wzrok. Najwyraźniej pani Jenkins doniosła mu, że widziała Rosalyn i Damiana w ogrodzie! - Nie ma żadnego powodu do plotek, Freddie. Nieważne, co słyszałeś. Zapewniam cię, że nie było między nami nic poza pocałunkami.

- Oczywiście! Wcale nie myślałem, że było - zapewnił pośpiesznie. - Znam cię przecież, Ros. Ale ludzie gotowi są wierzyć we wszystko co najgorsze. A ty mieszkałaś tu właściwie sama... - Urwał pod wpływem spojrzenia siostry. - Wybacz. Nie miałem prawa tego mówić.

- Nie miałaś - stwierdziła z rosnącą wściekłością. - Musisz coś zrozumieć, braciszku. Sama dla siebie jestem panią i robię to, co chcę. Potrafię ocenić, co dla mnie dobre, a co złe. Wyjdź, Freddie, bo nie chciałabym powiedzieć czegoś, czego potem oboje byśmy żałowali. Obiecuję, że nie przyniosę ci wstydu, przynajmniej do waszego ślubu!

- Ros... - Dostrzegł jej ledwie skrywaną furję, więc nagle umilkł. - Przepraszam... niepotrzebnie o tym mówiłem - dodał po chwili. - Nie chciałem cię denerwować.

- Wyjdź!

Gdy drzwi się za nim zamknęły, cisnęła w nie poduszką. Nie przyniosło jej to jednak ulgi. Wybuch złości nigdy niczego nie rozwiązał. Ale naprawdę była wściekła. Jak rodzony brat mógł jej coś takiego powiedzieć? A wszystko przez tę wredną babę!

Rosalyn była tak sfrustrowana i zła, że chciało jej się krzyczyć. Dlaczego wszystko tak się skomplikowało? Dlaczego nie mogła po prostu pójść za głosem serca? Robić tego, na co miała ochotę? Ale zdrowy rozsądek nakazywał zachowanie ostrożności. Nie powinna prowokować niczego, co mogłoby

doprowadzić do rozdźwięków pomiędzy bratem a dziewczyną, którą kochał.

Musiała jednak zobaczyć się z Damianem i wyznać mu, że rewelacje pani Jenkins nie zmieniły jej uczuć ani nie odwiodły jej od zamiaru wyjazdu z nim zaraz po ślubie brata.

Musiała zobaczyć Damiana i postanowiła, że go zobaczy! I'owinna tylko zadbać o zachowanie tajemnicy przed wszystkimi domownikami. Szczególnie przed podłą panią Jenkins!



## Rozdział piąty

- Dlaczego nie mogę odwiedzać Sarah Jane? - Jared, dumny i wyniosły jak prawdziwy książę, mierzył nauczyciela płonącymi oczyma. - Dlaczego ona nie może już tu przyjeżdżać?

- Bo ja tak powiedziałem. - Damian wiedział, że musi udzielić jakichś wyjaśnień, inaczej bowiem nie stłumi tak jawnego buntu. - Twój ojciec nie byłby zadowolony, że coraz bardziej przywiązujesz się do tej dziewczynki. Są też inne powody. Żaden z nas nie odwiedzi więcej tego domu, a przypuszczalnie również żadnego innego w tych stronach.

- Dlaczego? Wstydzisz się mnie? Krępuje cię kolor mojej skóry?

- Skąd, do diabła, coś takiego przyszło ci do głowy? - rzucił ze złością Damian. - Przecież wiesz, że to nie ma dla mnie znaczenia. Traktowałem cię zawsze jak młodszego brata, byłem przyjacielem również twojej matki, nie tylko księcia. Zależy mi jedynie na twoim bezpieczeństwie. Troszczę się o twoje dobro. Chyba nie sądzisz, że mógłbym żywić tego typu uprzedzenia?

Chłopiec popatrzył na niego niepewnie.

- Nessa powiedziała, że teraz, kiedy znalazłeś się wśród

swoich rodaków, mogłeś zwrócić się przeciwko mnie. Że zacząłem ci przeszkadzać.

- Nessa albo celowo cię okłamała, albo całkowicie się mylił - stwierdził Damian gniewnie. - Wierz mi, Jaredzie, boleję nad tym, że muszę ograniczać twoją wolność. Wcale nie sprawia mi to przyjemności, wręcz przeciwnie.

- Ojciec mnie wypędził.

- Dla twojego bezpieczeństwa.

- Nigdy nie pozwoli mi wrócić do Indii. Ma przeze mnie wiele kłopotów. Nie należę do tamtego świata. Ani do tego.

Na twarzy chłopca odmalowały się ból i gniew, które przypomniały Damianowi uczucia, których sam doświadczył przed laty, kiedy musiał budować nowe życie na wygnaniu.

- Należysz do mojego świata, Jaredzie. Ja też jestem wyrzutkiem społeczeństwa. Gdzie ja pójdę, pójdiesz i ty. Wygląda na to, że będziesz związany ze mną aż do pełnoletności. Potem, jeśli zechcesz, możesz posłać mnie do diabła.

Te słowa wywołały przelotny uśmiech na twarzy chłopca.

- Mówisz serio? Zawsze będę należał do ciebie, sahibie?

- Przecież już powiedziałem. Znasz mnie i wiesz, że nie zwykłem rzucać słów na wiatr, prawda? - Uśmiechnął się na widok ponurej miny Jareda. - Daj spokój, między nami nie ma miejsca na gniew i złość. Nie jesteś już dzieckiem.

- Niektórzy traktują mnie tak, jakbym był - odparł Jared z aroganckim błyskiem w oku.

- Ja nie chcę, chyba że mnie do tego zmusisz. Zachowuj się jak mężczyzna, a będę cię traktował jak dorosłego. - Położył rękę na ramieniu chłopca. - Mam na imię Damian. Proponuję, żebyś zaczął mówić do mnie po imieniu. Nie jesteśmy w Indiach. Możliwe, że żaden z nas już nigdy tam nie wróci. Lepiej, żebyś pozbył się dawnych

przyzwyczaję. Twoja matka była Angielką, bardzo inteligentną i piękną damą. Nie masz powodu się jej wstydzić, choć wiem, że niektórzy z rodaków twojego ojca tak sądzą. W pewnych kosmopolitycznych kręgach mieszańcy różnych ras, którzy przyjęli europejskie obyczaje, są akceptowani, a nawet podziwiani za swą odmienność i uzdolnienia. Jako człowiek inteligentny i wykształcony możesz znaleźć sobie miejsce w takim środowisku. Jesteś bardzo podobny do matki, bardziej niż do ojca. Gdyby było inaczej, może jego rodacy łatwiej by cię zaakceptowali.

- Mama mnie kochała. - W oczach Jareda zaślnęły łzy, ale był zbyt dumny, by pozwolić im spłynąć po twarzy. - Wierzysz, że mnie kochała?

- Zawsze o tym wiedziałem. - Damian wyciągnął rękę, którą Jared uściskał po chwili wahania. - Gdybym uznał, że musimy stąd zniknąć, a nawet zmienić nazwiska, zaufałyś mi?

Chłopiec milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się.

- Tak, Damianie. Zaufam ci, ale chciałbym jeszcze raz zobaczyć Sarah Jane. Jest moją przyjaciółką, jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego mam poza tobą. Chcę jej dać prezent. .. żeby o mnie nie zapomniała.

- Zrobię, co będę mógł, ale bądź cierpliwy, bo to nie będzie łatwe. Na razie, z uwagi na pannę Eastleigh, nie mogę ryzykować obecności w tamtym domu. Nie mogę również pozwolić tobie tam iść, ale znajdę jakiś sposób. Obiecuję.

- Dlaczego nie mogę się spotkać z Jaredem? - Sarah Jane tupnęła nogą z twarzą zaróżowioną ze złości. - To mój przyjaciel. Nienawidzę cię. Chcesz mi zabronić widywać się z nim. A właśnie że go zobaczę! Zobaczę!

Rosalyn westchnęła. Nie mogła zaakceptować napadów

wściekłości dziewczynki, choć doskonale rozumiała jej uczucia. Nikt nie rozumiał ich równie dobrze jak ona.

- Przykro mi. Proszę, nie złość się na mnie, Sarah Jane. Naprawdę nie chcę ci zabraniać spotkań z Jaredem, ale nie mam wyboru. Dla mnie to tak samo trudne jak dla ciebie. Chciałabym spotkać się z panem Wrexhamem, a nie mogę. -I dodała po chwili: - Na razie.

- Przez tę upiorną babę, tak? Słyszałam dzisiaj, co wygadywała do Beatrice o tobie i panu Wrexhamie. Beatrice próbowała cię bronić, ale ta wiedźma doprowadziła ją do łez.

- Pani Jenkins nienawidzi pana Wrexhama za coś, co wydarzyło się wiele lat temu. Zagroziła, że jeśli pan Wrexham pojawi się tutaj jeszcze raz, to ona nie zgodzi się na ślub Freddiego z Beatrice, a to unieszczęśliwiłoby ich oboje. Chyba rozumiesz, że powinniśmy mieć wzgląd na ich uczucia, nie tylko na własne? Przynajmniej na razie.

- Lubię Beatrice. Nie chcę, żeby była nieszczęśliwa. Ale Jared mógłby przyjść - oświadczyła Sarah z wyrazem buntu na twarzy. - Albo ja mogłabym pojechać do niego. Ta okropna baba nie musi wiedzieć, gdzie jestem.

- To byłoby oszustwo. - Rosalyn wiedziała, że źle postępuje, zabraniając dziewczynce tego, co sama zamierzała zrobić. - Zresztą wkrótce mama zabierze cię do domu. Z jej listów wynika, że twój brat już wraca do zdrowia.

- Muszę zobaczyć się z Jaredem przed powrotem do domu - błagała Sarah Jane z oczyma pełnymi łez. - Chcę dać mu coś... żeby o mnie nie zapomniał.

Rosalyn podjęła decyzję. Sarah Jane znalazła przyjaciela. Nie chciała o nim zapomnieć i byłoby okrucieństwem zmuszać ją, by się go wyrzekła, skoro jej babcia go zaaprobowała.

- Może będę w stanie zorganizować wasze spotkanie, ale

musisz być cierpliwa, Sarah. Obiecuję, że się postaram. A teraz zejdź na dół i znajdź Marię.

Sarah Jane wyszła z ociąganiem, najwyraźniej nadal uważała, że narzucony jej zakaz był niesprawiedliwy. Rosalyn wyjrzała przez okno. Mżyło. W taką pogodę nie mogła udawać, że wybiera się na spacer, a gdyby poprosiła o powóz, wszyscy zaczęliby wypytywać, dokąd jedzie. Pani Jenkins najpewniej chciałyby się z nią zabrać, żeby uniemożliwić jej spotkanie z Damianem.

Musiała więc poczekać na poprawę pogody, chyba że zyska pewność, iż pani Jenkins nie pokrzyżuje jej planów.

Przez trzy dni nie nadarzyła się sposobność ucieczki. Trzy długie, mokre, ponure dni, w czasie których Sarah Jane stała się coraz bardziej dokuczliwa, a Rosalyn nie mogła spać w nocy. W tym czasie jej postanowienie się ugruntowało. Dlaczego o tym, z kim spotyka się ona czy Sarah Jane, miałyby decydować pani Jenkins? Przymknęła sobie oczy, by znaleźć sposób, by zobaczyć się ze swymi przyjaciółmi, jednak bez narażania przyszłości Beatrice i Freddiego.

Wreszcie pojawiła się długo oczekiwana okazja, a pogoda nie mogła być łaskawsza. Dzień był ciepły i suchy, niebo prawie bezchmurne.

Na plebanii został przygotowany lunch. Pani Jenkins zażądała oględzin kościoła, zanim podejmie decyzję, czy ślub odbędzie się tutaj, czy w Londynie.

- Będzie prawie dwustu gości - oświadczyła wyniośle. - Nie jestem pewna, czy wiejski kościółek okaże się dość obszerny. Nasz w Huntingdon z pewnością by się nie nadawał.

Beatrice popatrzyła na ciotkę z niepokojem, bo wolałyby skromniejszy ślub, byle tylko odbył się tutaj. Wychowała się

w wiejskiej posiadłości, była skromną dziewczyną z prowincji i nie zależało jej na wielkiej pompie i tłumie gości z wyższych sfer.

Wizyta w kościele została zaplanowana na piątek rano, a potem gospodyni pastora zaprosiła wszystkich na zimne przekąski. Rosalyn oświadczyła, że Sarah Jane nie czuje się najlepiej, więc i ona zostanie, by zaopiekować się dziewczynką. Beatrice była rozczarowana, a jej ciotka wietrzyła podstęp.

- Pozwól, że zostanę z biedną Sarah, Rosalyn - prosiła Maria.

- Będiesz potrzebna w kościele. Lepiej ode mnie znasz się na kwiatach i muzyce, poza tym trochę boli mnie głowa. Posiedzę w ciszy z Sarah i odpocznę. Nie martwcie się o mnie, zostanę w domu z przyjemnością.

- Rzeczywiście jesteś trochę blada - stwierdził Freddie, kończąc dyskusję. - Biedna Ros. Naprawdę wyglądasz na zmęczoną. Pewnie przepracowałaś się przez te ostatnie dni. Nie przywykłaś do podejmowania tylu gości. Zostań w domu i poczytaj książkę czy co tam chcesz.

Czyżby brat wyobrażał sobie, że miała wydać ostatnie tchnienie? Wymamrotała jakieś podziękowania, próbując ukryć złośliwy uśmiezek. Wcale nie czuła się winna, że ich oszukuje. Gdyby Freddie ją poparł, gdyby stawił czoło pani Jenkins, nie musiałyby uciekać się do kłamstwa.

Zaczekała, aż powóz zniknie jej o oczu, a potem zawołała Sarah Jane.

- Musimy się śpieszyć! Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie byliśmy. Gdyby ktoś cię pytał, mów, że poszliśmy na spacer do sadu.

Sarah Jane aż zarumieniła się z emocji. To była prawdziwa przygoda, tym bardziej podniecająca, że dorosła osoba kaza-

ła jej oszukiwać innych dorosłych. Postępowały niewłaściwie, ale jeszcze bardziej polubiła za to kuzynkę Rosalyn.

Wyszły z domu bocznymi drzwiami i niedbałym krokiem ruszyły w stronę sadu. Kiedy nie można już ich było dostrzec z okien domu, przyspieszyły. Właśnie wchodziły na ciągnące się za sadem pastwiska, gdy dostrzegły zbliżających się dwóch jeźdźców.

Wiedziały, kim oni są. Sarah Jane krzyknęła z radości i puściła się biegiem na spotkanie. Rosalyn tylko największym wysiłkiem woli powstrzymała się przed pójściem w jej ślady.

- Jared! - zawołała rozpromieniona szczęściem Sarah Jane. - Właśnie szliśmy sprawdzić, czy jesteście w domu. Tak za tobą tęskniłam! Wydaje mi się, że od wieków cię nie widziałam.

Jared zeskoczył z konia i ujął jej dłonie z takim przejęciem, że Rosalyn pozbyła się wszelkich wątpliwości co do słuszności swego postępowania. Ich radość ze spotkania była tak ewidentna, że Rosalyn zrobiło się przykro, iż wkrótce znów będą musieli się rozstać.

Damian nie zsiadł z konia. Podniosła na niego wzrok i serce jej się ścisnęło na widok jego surowej twarzy. Gniewał się na nią? Obraził się, bo tamtego wieczoru opowiedziała się po stronie brata?

- Nie zsiadę - powiedział. - Nawet tutaj możemy być obserwowani. Przyjeżdżaliśmy codziennie w nadziei, że wybieriecie się na spacer w tę stronę.

- Wcześniej nie mogłam się wyrwać. Sarah Jane bardzo chciała spotkać się z Jaredem, ale miałyśmy trudności.

- Wyobrażam sobie. - Wpatrywał się w nią z napięciem. - A ty? Czy postawiłem cię w nieznośnej sytuacji, kochanie? Żałujesz, że mnie spotkałaś?

- Nie, oczywiście, że nie! - Spojrzała mu prosto w oczy. Chciała, by wyczytał z jej wzroku pragnienie i tęsknotę, których nie śmiała wyrazić słowami. - Najchętniej uciekłabym z tobą już teraz. Gdybym mogła... - Zarumieniła się, kiedy dostrzegła w jego oczach pożądanie. - Damian... przecież wiesz... przecież musisz wiedzieć, co czuję.

Jego oczy zdawały się obejmować ją i tulić tak mocno jak ramiona. Niemal czuła na ustach dotyk jego warg.

- Naprawdę ze mną wyjedziesz do jakiegoś dalekiego, egzotycznego kraju, wiedząc, że już nigdy nie będziesz mogła wrócić do rodziny? Że już nigdy nie zobaczysz najbliższych? Upadła kobieta... na zawsze usunięta poza nawias swojej sfery.

- Tak, pojedę. Trzyma mnie tu jeszcze tylko obowiązek. Szczerze kocham Freddiego, choć na to nie zasługuje. Byłam bardzo przybita, że tamtego wieczoru, kiedy musiałeś opuścić nasz dom, mój brat nie zrobił nic, by ratować sytuację. Nie powinien był pozwolić tej kobiecie tak się zdominować.

Oczy Damiana rozjaśniły się z rozbawienia.

- Jesteś dla niego zbyt surowa, moja Amazonko. W porównaniu z tobą większość mężczyzn wypadłaby równie blado jak sir Frederick. On nie ma twojej odwagi, kochana. Lepiej, że wyszedłem od razu. Gdyby nie to, mógłbym powiedzieć coś niepotrzebnego, zdradzić sekret, którego nie mogę dzielić nawet z tobą, moja droga.

- Powód pojedynku? - Jakie wydarzenie było aż tak tragiczne, że nawet po tylu latach sprawiało mu ból? - Musiałeś go zabić, prawda?

- Musiałem, droga Rosalyn - stwierdził z cierpieniem w głosie. - Może kiedyś ci o tym opowiem, jeśli zmuszą mnie do tego okoliczności, ale na pewno nie w obecności tamtej ko-



biety. - Zerknął w stronę Jareda i Sarah, po czym zawołał dla przypomnienia: - Wkrótce musimy wracać!

- Naprawdę musicie? - Była gotowa go błagać, by został, wszak pewnie nie zobaczą się przez najbliższych kilka tygodni. - Wydaje mi się, że minęły wieki od... od naszego spotkania w ogrodzie.

Z uśmiechem pochylił się w siodle i przelotnie dotknął jej dłoni.

- Nie możemy ryzykować, by ktoś nas razem zobaczył. Dla twojego dobra i dla dobra panny Holland. Muszę wyjechać do Londynu na kilka dni. Może po powrocie zdołam znowu się z tobą spotkać?

- Przyślę wiadomość, kiedy będzie bezpiecznie. Wydaje mi się, że jednemu ze stajennych można zaufać. Jak długo cię nie będzie?

- Przez tydzień, najwyżej dwa. - Zmarszczył brwi. - Mam coś do załatwienia w Londynie. Potem muszę wywieźć stąd Jareda ale najpierw się z tobą spotkam. A po ślubie twojego brata...

- Ucieknę z tobą - oświadczyła bez wahania. - Wyjedziemy za granicę, Damianie. Tam skandal nas nie dosięgnie i nie będziemy naszym postępowaniem krzywdzić innych.

- Kocham cię. - Pieścił ją spojrzeniem swych ciemnych, wyrazistych oczu. - Pamiętaj o tym, niezależnie od tego, co mogłabyś znowu o mnie usłyszeć.

- Co to znaczy?

-Nie jestem pewien... może nic. - Znowu spojrzał na chłopca i dziewczynkę. - Jared!

Jared wcisnął coś do ręki Sarah Jane, wrócił do swego konia i wskoczył na siodło. Dziewczynka patrzyła w ślad za nim, gdy wraz z Damianem odjeżdżali, potem odwróciła się z uśmiechem do Rosalyn.

- Powiedział, że zawsze zostaniemy przyjaciółmi, niezależnie od tego, gdzie los nas rzuci. - Oszołomiona, półprzytomna pokazała Rosalyn, co od niego otrzymała. - Dałam mu gładki kamyczek, który bardzo lubiłam, a on ofiarował mi to. Prosił, bym ją zachowała aż do dnia, kiedy się znów spotkamy.

- Jaka piękna perła... Jest bardzo cenna. Musisz na nią uważać, Sarah.

- Kiedyś zrobię z niej wisiorek i włożę go na spotkanie z Jaredem, kiedy już będziemy starsi.

Rosalyn nic nie odpowiedziała. Pomyślała, że mało prawdopodobne, by tych dwoje jeszcze kiedyś się spotkało. Jared wróci do Indii, do swych rodaków, a Sarah Jane znajdzie nowych przyjaciół, jednak nigdy nie zapomni tych słonecznych, letnich dni, podczas których nawiązała przyjaźń z młodym Hindusem.

- Powinnyśmy wracać - przypomniała łagodnie. - Przykro mi, ale nie możemy dłużej zostać na dworze.

- To nieważne. - Dziewczynka uśmiechnęła się tajemniczo i ruszyła do domu.

Nie widziała powodu, by informować Rosalyn, że ustalili z Jaredem sposób przekazywania sobie wiadomości i że zamierzali częściej się spotykać. To mogłoby doprowadzić do rozdźwięku pomiędzy nią a Rosalyn, a Sarah lubiła i podziwiała kuzynkę. Nic nie mogło jej jednak przeszkodzić w spotkaniach z Jaredem przynajmniej do czasu, gdy opiekun wywiezie go w inne strony lub ona zostanie odesłana do domu.

Kiedy wszyscy wrócili z lunchu, Sarah Jane siedziała w saloniku Rosalyn wsparta o stertę poduszek i wyglądała na bardzo osłabioną. Zdobyła się na blady uśmiech, gdy Maria za-

częła troskliwie wypytywać ją o samopoczucie i zapewniła, że już jej trochę lepiej i nawet coś zje.

Rosalyn doszła do wniosku, że Sarah Jane to urodzona aktorka. Miała lekkie poczucie winy, że nakłaniała dziewczynkę do oszustwa, a co gorsza, do kontynuowania kłamstwa.

- A pani, panno Eastleigh? - zapytała pani Jenkins twarzą dym głosem. - Mam nadzieję, że ból głowy minął?

- To nie było nic poważnego. Już czuję się dobrze, dziękuję.

Spojrzenie, jakim obdarzyła ją pani Jenkins, mogło zważyć mleko prosto od krowy, ale Rosalyn odpowiedziała na nie uśmiechem. Teraz, kiedy zobaczyła się z Damianem i wszystko z nim ustaliła, nic nie mogło jej zranić.

Beatrice zaczęła zachwycać się wiejskim kościółkiem i zapewniać, że marzy, by jej ślub w nim się odbył, rozładowując w ten sposób napiętą atmosferę.

Powiedziałam cioci Patricii, że jest wystarczająco duży, by pomieścić przyjaciół, na których obecności na ślubie naprawdę mi zależy. - Obdarzyła uroczym uśmiechem wszystkich obecnych. - I ciocia się zgodziła. Umówiliśmy się z pastorem na niedzielę za cztery tygodnie.

- A więc wesele odbędzie się w naszym domu - stwierdziła Rosalyn. - Chcesz, żebym zaangażowała dodatkową służbę, Freddie? A może przywieziesz kogoś do pomocy?

Wiedziała, że brat uchodził wśród znajomych za smakosza i wolałby wystawne londyńskie wesele, ale bez słowa protestu ustąpił Beatrice. I tak już pewnie będzie do końca ich dni, pomyślała mądra siostra.

Freddie oświadczył, że na dziesięć dni przed ślubem przywiezie z Londynu monsieur Maurice'a, natomiast do pomocy w domu zatrudnią kobiety z wioski.

- Trzeba też pomyśleć o poczęstunku podczas balu - przy-

pomniała bratu Rosalyn. - A bal odbędzie się na dwa tygodnie przed ślubem.

- W takim razie jutro wracam do Londynu i postaram się namówić Maurice'a, żeby przyjechał od razu. Wprawdzie nie lubi wsi, ale myślę, że tym razem zrobi mi grzeczność i przyjedzie.

Kuchmistrz Freddiego znany był z gwałtownego temperamentu i miewał napady wściekłości, jeśli nie wszystko przebiegało po jego myśli. Rosalyn zadrżała na samą myśl o chaosie, jaki wniesie do jej domu, niezaprzeczalnie jednak w kuchni potrafił dokazywać cudów. Wystarczyło spróbować jego sosów, by zrozumieć, czym jest prawdziwy geniusz.

- A ja muszę jeszcze dopasować suknię ślubną - powiedziała Beatrice i spojrzała błagalnie na Rosalyn. - Może pojechalibyśmy na kilka dni do miasta?

- Więc jedźcie, jednak ja powinnam zostać w domu - stwierdziła Rosalyn niepewnie. - Jest mnóstwo do zrobienia i trzeba się zająć Sarah Jane. Nie mogę zostawić jej samej, to byłoby nieuprzejme.

- Maria znakomicie dopilnuje przygotowań w domu - stwierdził zachmurzony Freddie. - Chciałbym, żebyś pojechała z nami, Ros. Zresztą ty również powinnaś sprawić sobie nową suknię na ślub i na bal, prawda?

- Jedź, proszę - poparła go Maria. - Zostaw mi listę, co ma być zrobione, a ja z prawdziwą przyjemnością tego dopilnuję. Cieszę się na myśl, że wyrwiesz się do miasta, moja droga. W twoim wieku powinnaś bywać, a nam z Sarah będzie razem dobrze. Prawda, kochanie?

- Tak, oczywiście.

Rosalyn została przegłosowana. Nie mogła odmówić błagalnemu spojrzeniu ciepłych oczu Beatrice. Zresztą dlaczego

miałaby odmawiać? Całkiem przyjemnie będzie wybrać się do miasta na dzień czy dwa, poza tym rzeczywiście potrzebowała nowych strojów. Od choroby ojca nie miała głowy do modnych sukien.

Pani Jenkins patrzyła na nią podejrzliwie. Niewątpliwie sądziła, że Rosalyn nie bez powodu chciała zostać na wsi.

- Jeśli ci na tym zależy, Beatrice, to zgoda. Pojadę - ustąpiła.  
- Maria doskonale da sobie radę z przygotowaniami. - Spojrzała na Sarah Jane, która czujnie śledziła rozmowę, choć nie zabierała głosu. - Mam nadzieję, że nie będziesz się czuć samotna?

- Oczywiście, że nie. - Znacznie łatwiej będzie wymknąć się z domu, w którym pozostanie jedynie Maria, pomyślała z zadowoleniem. - Przywieziesz mi jakiś prezent, ciociu Rosalyn?

- Naturalnie. A co byś chciała?

- Strój do konnej jazdy. Chciałabym nauczyć się jeździć konno. Tata zawsze mówił, że powinnam, ale dotąd nie miałam jakoś ochoty.

- Skoro chcesz, to ci przywiozę. - Wiedziała, dlaczego Sarah nabrała zamiłowania do hipiki. Nie do wiary, jak bardzo się zmieniła. Urosła w ciągu ostatnich trzech tygodni i stała się znacznie milsza. - A teraz wybaczcie, ale skoro jutro wyjeżdżamy, to muszę wydać dyspozycje pani Simmons, by wraz ze służbą zaczęła już przygotowania do ślubu.

Wyszła z pokoju, uśmiechając się do siebie. Nie miała nic przeciwko wyjazdowi do Londynu. Przecież Damian tam jest. Możliwe, że się spotkają i znajdą sposób, by być z sobą sam na sam. Rosalyn uznała więc, że wyprawa na zakupy bardzo jej odpowiada. Wręcz niezwykle jej odpowiada!

- Jak miło być tak we dwie - stwierdziła Beatrice, spacerując pod rękę z Rosalyn po londyńskim parku. Cały poranek spędziły u krawcowej i wolały rozkoszować się ciepłym słońcem, niż od razu wracać do domu. Piękna pogoda wywabiła do parku wiele osób, więc mogły podziwiać wspaniałe powozy toczące się po alejkach. - Rzadko mi się zdarza, bym mogła gdzieś się ruszyć bez cioci Patricii.

O dziwno, pani Jenkins w ostatniej chwili zrezygnowała z towarzyszenia im do krawcowej pod pozorem, że ma do napisania kilka listów, co obie panny przyjęły z zadowoleniem.

Rosalyn spojrzała ze współczuciem na Beę.

- Na pewno nie było ci łatwo, kiedy po śmierci matki trafiłaś pod kuratelę ciotki, ale wkrótce wszystko się zmieni. Po ślubie nie będziesz musiała tak często jej widywać. Szczerze mówiąc, kiedy już zostaniesz panią Eastleigh, powinnaś jej się mocno przeciwstawić, nie pozwolić, by ingerowała w wasze sprawy, bo inaczej twoje i Freddiego życie stanie się nie do wytrzymania.

- Nie masz pojęcia, jak marzyłam, by od niej uciec. I od jej okropnego brata Bernarda. - Zaczerwieniała się, gdy Rosalyn spojrzała na nią ze zdumieniem. - Nie znoszę Bernarda Harringtona. On mnie przeraża. Nawet myślałam... Nie, nie mogę tego powiedzieć! Ale staram się nigdy nie zostawać z nim sam na sam.

- Beatrice! Czy on kiedykolwiek zrobił coś... dotknął cię w poufaly sposób?

- Tylko raz, kiedy był pijany, ale od tego czasu zaczęłam się go bać. Nie ośmieliłam się wyznać tego cioci. Ona ubóstwia Bernarda i nie da o nim złego słowa powiedzieć. Pewnie przez to, co spotkało Rodericka... po jego śmierci w tak młodym

wieku... - Stropiła się. - Polubiłam pana Wrexhama i nie wierzę, by mógł kogokolwiek zamordować.

- Ani ja. - Rosalyn uśmiechnęła się, patrząc w szczerze oczy Bei. - Ale lepiej nie mów o tym przy ciotce, moja droga, bo pewnie pożegnałabyś się z nadziejami na spadek.

- Dostałam po mamie pięć tysięcy funtów w funduszu powierniczym. Nie dbam o pieniądze ciotki Patricii. I mam nadzieję, że po ślubie z Freddiem już nigdy jej nie zobaczę.

- Powiedziałaś mu o tym?

- Nie.

- Więc sądzę, że powinnaś mu o tym wspomnieć.

- Naprawdę myślisz, że powinnam? Może i tak. Jeśli jemu nie zależy na tych pieniądzach, to mnie tym bardziej.

- Przekonasz się, że Freddiemu zależy wyłącznie na tobie.

- Serdecznie uścisnęła jej rękę.

Beatrice była urocza, dobra i szczerą. Rosalyn bardzo ją polubiła i pomimo kłopotów, które się z tym wiązały, cieszyła się ze zbliżającego się ślubu. Podejrzewała, że w Beatrice kryło się coś więcej, o czym jej bratu nawet się nie śniło, i będzie dla niego bardzo dobrą żoną. Musi tylko trochę wydorosnąć, ale to stanie się szybko.

Nagle dostrzegła dwóch mężczyzn. Serce szybciej jej zabiło. Jeśli nadal będą szły tą ścieżką, muszą przejść obok nich. Mężczyźni rozmawiali z ożywieniem i jeszcze ich nie zauważyli, ale jednym z nich był niewątpliwie Damian.

- Och... - Puls Rosalyn walił w oszłamiającym tempie. Chciała porozmawiać z Damianem, obawiała się jednak, że Bea poczułaby się skrepowana. Co powinna zrobić? Gdyby zawróciła, mógłby pomyśleć, że chciała uniknąć tego spotkania.

- Czy to nie pan Wrexham? - zapytała Beatrice.

- Tak. Powinnyśmy zawrócić?

- Dlaczego? Miałabym sposobność do przeprosin. Zresztą już i tak za późno. Zobaczył nas. Patrzy na nas.

- Tak, rzeczywiście.

Towarzysz Damiana odszedł, on natomiast wahał się przez chwilę, niepewny, jak się zachować, po czym ruszył w ich stronę.

- Panie Wrexham - odezwała się Beatrice, zanim zdążył otworzyć usta. - Nie miałam dotąd okazji, żeby pana przeprosić. Bardzo przeżyłam to, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Zdjął kapelusz i skłonił się przed nią.

- Pani nie ma mnie za co przepraszać, panno Holland. Żałuję tylko, że zepsułem pani wieczór.

- Nie pan go zepsuł - stwierdziła z uśmiechem.

- Bardzo pani łaskawa. - Jego ciemne oczy zwróciły się ku Rosalyn. - Nie spodziewałem się tu pani spotkać, panno Eastleigh.

- Przyjechałyśmy na ostatnie przymiarki sukni ślubnej Beatrice i na zakupy. Jesteśmy tu od dwóch dni, do domu wracamy pod koniec tygodnia.

-Ja zostanę kilka dni dłużej - poinformował Damian.

-Załatwianie moich spraw przeciąga się bardziej, niż przy puszczałem.

- W takim razie będziemy w Cambridgeshire przed panem.

-Rosalyn spojrzała na srebrny zegarek przypięty do klapy żakietu. - Minęło już południe. Trzeba pomyśleć o powrocie. Spędziłyśmy z Beatrice cały ranek poza domem. Poza tym mamy na dzisiejszy wieczór ważne zaproszenie. Na bal do lorda Renshawa.

- Bal u Renshawa? - Damian skinął głową, wpatrując się intensywnie w jej twarz. - Obawiam się, że będzie tam okropny tłok.



- W takim razie bal odniesie sukces - odparła ze śmiechem Beatrice. - Gdyby było dość miejsca, by się swobodnie poruszać, to świadczyłoby o sromotnej klęsce.

- Zapewne ma pani rację. Od lat nie brałem udziału w takich imprezach. Życzę paniom miłego wieczoru.

Rosalyn westchnęła w duchu, kiedy ponownie uchylił kapelusza i odszedł. Miała cichą nadzieję, że Damian również wybierał się do lorda Renshawa, spotkało ją jednak rozczarowanie. Bal zapowiadał się na wydarzenie towarzyskie, jedno z najważniejszych w rozpoczynającym się sezonie. Nie należało się spodziewać, że Damian znajdzie się na liście zaproszonych gości. Mówił o sobie jak o wyrzutku społeczeństwa, ale Rosalyn przypuszczała, że już nikt nie pamięta o skandalu sprzed lat. Mimo to było mało prawdopodobne, by został zaproszony.

Z Beatrice u boku nie miała co marzyć o umówieniu się z nim na kolejne spotkanie, ale może to i lepiej. Wkrótce i tak wróci na wieś.

Damian wszedł do ekskluzywnego salonu gier. Nie zwracał sobie głowy zabieganiem o członkostwo w klubie, bo zawsze mógł tu wejść jako gość stryja. Był to jeden z wielu klubów, do których zaglądał w nadziei znalezienia Bernarda Harringtona. Jak dotąd nigdzie nie udało mu się przydybać tego dżentelmena. Damian dowiedział się, że bawił w mieście, więc wyglądało na to, że zerwał z dawnymi przyzwyczajeniami.

Musiał poszukać go gdzie indziej. Może zdegenerowane gusta Harringtona obudziły w nim upodobanie do marnych spelunek i jaskiń hazardu. Skoro nie zaglądał do żadnego z ekskluzywnych klubów, w których dawniej był stałym by-

walcem, musiał oddawać się hazardowi w mniej szacownych lokalach. Damian już miał wyruszyć na poszukiwania, kiedy ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął rozradowany głos.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego nie widział od lat.

- To naprawdę ty, Damianie? Słyszałem, że jesteś w kraju. Dlaczego do mnie nie wpadłeś?

Na twarzy Damiana pojawił się ciepły uśmiech. Przyjaciel przez te wszystkie lata przybrał na wadze, ale pozostał tym samym szczerym, otwartym człowiekiem, a w jego powitaniu wyczuwało się prawdziwą radość.

- Renshaw - powiedział i natychmiast znalazł się w niedźwiedzim uścisku. - Chciałem do ciebie wpaść, ale wiesz, jak sprawy wyglądają. - Wymownie wzruszył ramionami. - Nie byłem pewien...

- Musiałeś przecież wiedzieć, że będziesz mile widziany, prawda? - Lord Hugh Renshaw uniósł brwi. - Mój dom zawsze stoi dla ciebie otworem. Nieważne, co inni sądzą, Damianie! Po tym, co zrobiłeś dla Helen, nigdy bym się od ciebie nie odwrócił. - Zachmurzył się gwałtownie. - To ja powinienem był wyzwać tego szatana na pojedynek! <

- Ze swoją reputacją najgorszego strzelca w całej Anglii? Przecież nie trafiasz w drzwi stodoły z odległości dziesięciu kroków - odparł Damian, rozbawiony urażoną miną przyjaciela. Zaraz jednak spoważniał. - Zresztą obaj ją kochaliśmy, Hugh. Liczy się tylko to, że została pomszczona.

- Ty to zrobiłeś... I zapłaciłeś za to potwornie wysoką cenę. Wgnano cię z domu i pozbawiono wszystkiego, co kochałeś.

- Jeśli tak sądzisz, to chyba nie jesteś przy zdrowych zmy-

słach - odparł Damian ze smutnym uśmiechem. - Wysłanie mnie do Indii było największą przysługą, jaką mi ojciec wyświadczył.

- Jesteś krezusem? Zbiłeś majątek? - Gdy Damian kiwnął głową, Renshaw klepnął się po udzie w najwyższym rozbawieniu. - I przyjechałeś do kraju, żeby im utrzyć nosa, co? Tym wszystkim przeklętym idiotom, którzy cię wykleli? To im dobrze zrobi!

- Dziadek wszystko mi zapisał. Musiałem wrócić, żeby uprządkować sprawy. Zostało do spłacenia sporo długów. Jacob nic nie może zrobić bez mojej pomocy.

- Na twoim miejscu zostawiłbym ich, niech sobie toną w długach. Zgraja łajdaków! Wybacz, Damianie, ale w twojej rodzinie nie ma ani jednego człowieka, którego warto ratować. Nikt z nich nie ruszył palcem, żeby sprostować fałszywe pogłoski. Zrobił to mój ojciec, i to z całą satysfakcją. Nigdy nie zdołam ci wystarczająco podziękować za to, że przez te wszystkie lata dochowałaś tajemnicy. Nikt spoza mojej rodziny nie dowiedział się nigdy, że moja siostra została...

Damian uścisnął jego ramię.

- Była mi równie droga jak tobie - powiedział szorstko. - Jak siostra, której nigdy nie miałem.

- Miałem nadzieję, że z czasem stanie się dla ciebie kimś więcej. - Hugh westchnął na wspomnienie ślicznej, niewinnej dziewczyny, prawie jeszcze dziecka, która umarła ze wstydu.

- Muszę ci coś powiedzieć - mruknął Damian. - Coś, o czym dowiedziałem się zbyt późno...

- To ma związek z Helen?

- Tak. Wydaje się, że nie zakończyliśmy sprawy, Hugh. Może będziesz mógł mi pomóc.

- Żądaj, czego chcesz. Chodź do mnie na lunch, to omó-

wimy sprawę. Aha, lady Renshaw wydaje dziś małe przyjęcie, może mógłbyś wpaść?

- Małe przyjęcie? - zakpił Damian. - Dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że zanoszą się na okropny tłok, czyli oszałamiający sukces.

- Jak wszystkie bale lady Renshaw - mruknął zgryźliwie Hugh, ale Damian nie dał się zwieść. Lord był dumny ze swej pięknej żony i jej ekstrawagancji. - Tak między nami, czasami wydaje mi się, że Jane postawiła sobie za punkt honoru zrujnować mnie, ale jeden bankrut więcej czy mniej nie robi różnicy.

Damian roześmiał się i obiecał rozważyć zaproszenie przyjaciela. Udział w wydarzeniach towarzyskich specjalnie go nie interesował, ale przecież miała tam być Rosalyn. Może udało by mu się zorganizować krótkie sam na sam.

## Rozdział szósty

- Wyglądasz ślicznie. - Rosalyn pocałowała w policzek Beatrice, która przysłała do jej pokoju pokazać się w balowej kreacji. - W tym odcieniu błękitu szczególnie ci do twarzy. - Wzięła naszyjnik z pereł. - Pomożesz mi go zapiąć? Zameczek się zacina.

-Oczywiście.

- Dostałam go od taty. Lubię te perły i nie chcę zmieniać zapięcia, bo bardzo mi się podoba, choć dość trudno się zapina.

- Mnie też się podoba, a ty jesteś piękna - odparła z przekonaniem Beatrice. - Ja nie mogłabym włożyć sukni w takim głębokim odcieniu zieleni, a na tobie wygląda wspaniale.

- Dziękuję. Szmaragdowy był zawsze moim ulubionym kolorem, ale wcale nie uważam siebie za piękną. Już musimy schodzić na dół, tylko najpierw zajrzyj do pani Jenkins, czy też jest już gotowa.

W tym momencie pojawiła się pokojówka i oznajmiła nerwowo:

- Panno Eastleigh... pani Jenkins kazała powiedzieć, że położyła się do łóżka, bo źle się czuje i nie może iść na bal.

- Ciocia Patricia jest chora? - Beatrice spojrzała z niepokojem na Rosalyn. - Czy to znaczy, że możemy nie pójść na ten bal?

- Zaczekaj tutaj. - Rosalyn zmarszczyła czoło. - Porozmawiam z nią. Nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy pójść, chyba że jest poważnie chora.

Po chwili była w jej pokoju. Pani Jenkins leżała wsparta na stercie poduszek i wyglądała rzeczywiście nie najlepiej, miała dziwnie żółtą cerę.

- Przykro mi, że źle się pani czuje - powiedziała Rosalyn. Może posłać po lekarza?

- Nie, dziękuję. Od czasu do czasu miewam napady nudności. Wkrótce mi przejdzie. Potrzebuję tylko spokoju i wypoczynku. - Z westchnieniem podniosła *do* nosa chusteczkę pachnącą lawendą.

- W takim razie zostawię panią w spokoju - odparła Rosalyn. - Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, wystarczy zadzwonić, a zaraz ktoś przyjdzie.

- A więc zamierza pani wziąć udział w balu Renshawa?

- Chyba nie chce pani, żeby Beatrice ominął udział w tak prestiżowej imprezie?

- Nie, oczywiście, że nie. - Pani Jenkins sięgnęła po butelkę soli trzeźwiących. - Wydaje mi się, że będzie bezpieczna pod opieką sir Fredericka. I pani.

Rosalyn pozwoliła sobie na uśmiech.

- Jestem pewna, że pod opieką mojego brata zawsze będzie bezpieczna. Proszę się nie kępować i dzwonić, jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała, madame. Wybacz pani, ale już ją zostawię, Beatrice czeka.

Pani Jenkins odprawiła ją ruchem ręki. Rosalyn wyrzucała sobie, że poczuła ogromną ulgę, jakby ktoś zdjął jej z ramion

straszny ciężar. Nie powinna, ale pomyślała, że wieczór minie o wiele przyjemniej, kiedy paskudna ciotka Beatrice nie będzie czujnie śledziła każdego jej kroku.

O tym, że przewidywania Beatrice były słuszne, przekonały się, kiedy tylko weszły do wielkiego, imponującego domu lorda Renshawa w Mayfair. Eleganckie salony wypełniali szczerze goście - bogato wystrojone damy i dżentelmeni. Bizuteria lśniła w świetle kryształowych kandelabrow. Pokoje były obszerne i wysokie, panowało w nich jednak potworne gorąco, więc otwarto drzwi balkonowe, by wpuścić do wnętrza świeże powietrze.

Rosalyn przyjęła kieliszek schłodzonego szampana i zaczęła przesuwać się w stronę okien. Występowała tego wieczoru w pewnym sensie w roli przyzwoitki Beatrice i nie spodziewała się wiele tańczyć, choć od razu przy wejściu zauważyła kilku znajomych panów, przyjaciół Freddiego i paru starszych; dżentelmenów, znajomych ojca.

Przez jakiś czas stała, przytupując w takt muzyki, i chłonięła atmosferę. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz brała udział w takiej imprezie, i odkryła, że przebywanie w takim miejscu sprawia jej przyjemność.

- Nie tańczy pani dzisiaj, panno Eastleigh?

Jej serce podskoczyło na dźwięk znajomego głosu. Odwróciła się, a jej twarz wyrażała zdumienie i radość.

- Damian! Miałam nadzieję... ale nic przedtem nie mówiłeś, więc przypuszczałam, że cię tu nie spotkam.

- Renshaw namawiał, żebym przyszedł - odparł z łobuzerskim błyskiem w oku. - Nie jestem tak całkiem pozbawiony przyjaciół, choć staram się im nie narzucać.

- Trudno sobie wyobrazić, by prawdziwy przyjaciel uznał

twoją wizytę za narzucanie się. - Przerwała na chwilę. - Gdyby nie Freddie, kazałabym tamtego wieczoru pani Jenkins opuścić mój dom.

- Naprawdę, moja słodka panno Eastleigh? Bardzo jesteś dzielna.

- Nie kpij ze mnie. - Zarumieniła się lekko. - Kiedy już będzie po ślubie, nie pozwolę pani Jenkins narzucać mi cze-  
gokolwiek.

- Prawdziwa Amazonka. - Jak ślicznie dziś wygląda, pomyślał, szczególnie z tym rumieńcem dumy na policzkach. - Starczy ci odwagi, żeby ze mną zatańczyć?

- Tak, choć muszę wyznać - podchwyciła ton Damiana, z pozoru poważny, lecz w istocie podszyty ironią - że nie ma tu pani Jenkins, która cenzuruje wszystkie moje postęпки, dla dobra ogólnie pojętej moralności, rzecz jasna. - Zmrużyła oczy. - Nie, nie patrz tak na mnie! To wyjątkowo nieuprzejme. Ona cierpi na atak woreczka żółciowego, biedaczka, i nie mogła z nami przyjść. Jednakże w zaistniałej sytuacji nie ma przeszkód, bym z panem zatańczyła, sir.

- W takim razie zostałem nagrodzony za to, że uległem namowom Hugh i przyszedłem na dzisiejszy bal. - Skłonił się. - Sprawdźmy, czy pamiętam jeszcze, jak się tańczy, panno Eastleigh?

Podawała mu rękę. Muzycy zagrali popularną melodię i na parkiecie zaczynały się gromadzić pary. To był taniec ludowy, więc Rosalyn przechodziła od jednego partnera do następnego, zanim wróciła, po odtańczeniu wymaganych figur, do Damiana. Uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się, po czym znów musiała przejść do kolejnego tancerza.

- Miło widzieć panią w mieście, panno Eastleigh - powiedział młody dżentelmen. - Pewnie mnie pani nie pamięta?



- Oczywiście, że pamiętam, panie Carlton. Freddie przywiózł pana do nas na wakacje dwa lata temu.

- Od tego czasu trochę dorosłem. Wtedy byłem jeszcze kompletnym żółtodziobem. Pewnie uważała mnie pani za idiotę. Musiała pani nabrać takiego przekonania, bo przecież z Freddiem wygłupialiśmy się bez przerwy, a pani chciała odrobiny spokoju.

- Wcale nie - odparła z uśmiechem. - Dał mi pan egzemplarz poezji Byrona. Często czytam je sobie przed zaśnięciem. To mój ulubiony tomik.

- Naprawdę? - Philip Carlton zarumienił się z radości. - Może później zgodzi się pani ze mną zatańczyć?

- Naturalnie. - Uśmiechnęła się i przesunęła się do następnego partnera.

- Jeden z wielbicieli? - zapytał Damian z uśmiechem, kiedy ponownie ujął jej dłoń. - Powiedz, czy mam rywalizować z nim o twoje uczucia?

- Głuptasie! On jest w wieku Freddiego.

- Wobec tego to przypadek szczenięcej miłości. Czy zda jesz sobie sprawę, jak pięknie dziś wyglądasz? Mam ochotę cię pocałować.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie. Śmiał stroić sobie z niej żarty! Pewnie wiedział, jak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

- Nie możemy opuścić parkietu, bo złamalibyśmy układ figur - stwierdziła cicho. - Niestety na sali jest gorąco i kompletnie nie ma czym oddychać.

Znowu musieli się rozdzielić, ale jego oczy przekazały jej wiadomość, że zrozumiał. Wiedziała, że wcześniej czy później znajdzie sposób, by zostać z nią sam na sam.

Okazało się, że raczej później. Po tańcu Rosalyn podzięko-

wała mu i zamierzała wyjść na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale panowie otoczyli ją gromadą, prosząc, by wpisała ich nazwiska do karnetu i Rosalyn, chcąc nie chcąc, musiała to zrobić, żeby nie uchybić zasadom grzeczności.

Była zdumiona swoim powodzeniem. Jej pierwszy sezon, kiedy została wyprowadzona w świat, nie był oszałamiającym sukcesem, a jako osoba całkowicie pozbawiona próżności nie zdawała sobie sprawy, że z czasem jej uroda dojrzała. Jako młoda dziewczyna była tak skrepowana swoim wzrostem, że prawie się nie odzywała, lecz teraz jej uroda rozbłysła jak gwiazda i przyciągała ku niej starszych i młodszych dżentelmenów, a żywa inteligencja zdobywała jej rzesze wielbicieli.

Damian obserwował ją ze smutnym uśmiechem. Trudno było oczekiwać, że inni mężczyźni nie zauważą tego, co jemu rzuciło się w oczy już podczas pierwszego spotkania. Rosalyn promieniała zmysłowością i czarem. Przyćmiła wszystkie młode ślicznotki, zdawała się obiecywać spełnienie wszelkich marzeń każdego prawdziwego mężczyzny. Taki seksapil rzadko zdarzało się spotkać wśród młodych panien wystawianych na małżeńskim targu.

Rosalyn wiodła życie dość nietypowe jak na kobietę z jej sfery. Była zrównoważona, piękna, czytana, inteligentna, a także w znacznym stopniu niezależna. Stworzyło to osobowość, której nie można się było oprzeć i która przyciągała uwagę wszystkich dżentelmenów.

Damian krzywił się, rozpoznając niektórych mężczyzn, którzy wpadli w jej sieć. Młodymi głupcami się nie przejmował, uważał ich za niegroźnych, ale pozostali... Co najmniej trzech mogło się poszczycić starym tytułem i nieposzlakowaną opinią.

Davenport dobiegał już czterdziestki, garbił się z roku na

rok coraz bardziej i chciał się ustatkować. Marksby, od niedawna hrabia Salter, rozglądał się za drugą żoną, bo pierwsza zmarła, nie pozostawivszy mu dziedzica. A sir Edward Forster był po prostu porządnym człowiekiem, choć może nieco pompatycznym. Każdy z nich mógł zapewnić Rosalyn bezpieczną przyszłość i godną pozazdroszczenia pozycję towarzyską.

A co on mógł jej zaoferować? Co w ogóle tutaj robił? Naprawdę mu się wydawało, że ma prawo sięgnąć po taką kobietę? Powinien pamiętać o wciąż niezalutowionych sprawach. Tym powinien się zająć, a nie ulegać próżnym mrzonkom. Czas wyjść, sprawdzić różne ślady wskazane mu przez Renshawa, i wytropić zdobycz.

- Chyba jeszcze nie idziesz? - Renshaw zatrzymał go w drzwiach. - Wydawało mi się, że dobrze się bawiłeś w towarzystwie panny Eastleigh. Jest piękna, prawda? Nie wiem, gdzie się dotąd podziewała. Gdybym nie był po uszy zakochany w mojej żonie, dołączyłbym do grona polujących na nią dżentelmenów.

- Niewątpliwie jest bardzo ładna. - Damian poczuł nagły ból w sercu. - Każdy z nich będzie dla niej lepszy niż ja, Hugh. Jakie mam prawo, by ją ściągać do swojego poziomu?

- Więc wznies się na jej poziom, przyjacielu! - Hugh spojrzał na niego z serdeczną troską. - I myśl o przyszłości. Tamta historia zdarzyła się tak dawno temu, Damianie. Nie przywrócisz życia Helen. Zapomnij o zemście i żeń się z tą Amazonką.

- Mam zająć należne mi miejsce w towarzystwie, tak? - Damian zaśmiał się drwiąco. - Jesteś jedynym, który zaprosił mnie do swojego domu, Hugh. Co to za życie dla takiej kobiety jak ona? Spójrz na nią, ona powinna błyszczeć w świecie. Zasługuje na kogoś takiego jak Forster czy Davenport.

- Ma wybierać między garbusem a nudziarzem? - Hugh skrzywił się. - Wstydz się! Gdzie im do ciebie. Nie wycofuj się sam, niech ona zdecyduje. Wygląda mi na kobietę, która samodzielnie podejmuje decyzje. Dotąd nie wyszła za męża. Na pewno nie z braku kandydatów. Miała ich nadmiar, wystarczy na nią spojrzeć! A jeśli przez tyle lat czekała na kogoś takiego jak ty?

- Może masz rację. - Damian odprężył się. - Czasami mam zbyt sztywny kark. Nadmiar dumy to głupota.

- Wydaje mi się, że pannie Eastleigh jest zbyt gorąco. Przydałoby jej się trochę świeżego powietrza. Jeśli ty nie zadbasz o to, znajdzie się ktoś inny, zapewniam.

- Masz dar perswazji, Hugh. - Damian roześmiał się. - I dzięki za radę.

Wrócił do sali balowej. Rosalyn przestała tańczyć i zmierziała w stronę balkonu. Dyskretnie ruszył za nią.

Stanąła w cieniu i wachlowała się, wpatrzona w ogród. Jest smutna, pomyślał Damian. Uświadomił sobie, że i ją dręczy poczucie samotności. Jej życie również nie układało się jak w bajce. Być może będzie chciała opuścić swój świat i przenieść się do innego.

- Rosalyn...

Odwróciła się natychmiast, a jej piękna twarz rozpromieniła się z radości.

- Damian! Myślałam, że wyszedłeś.

- Hugh zatrzymał mnie w progu. - Wpatrywał się w jej twarz tak badawczo, że serce ścisnęło się jej z trwogi. - Może jednak byłoby lepiej, gdybym wyszedł. Lepiej dla ciebie.

- Dlaczego tak mówisz? Wiesz, że cię kocham... pragnę. - Mówiła prosto z serca, odważnie, z tak obezwładniającą szczerością, że poczuł się niewart tej wspaniałej kobiety. - Pokocha-

łam cię w chwili, kiedy pojawiłeś się w moim życiu. Rzuciłeś mi wyzwanie, Damianie, przywróciłeś do życia, sprawiłeś, że znów zapragnęłam kochać.

- Naprawdę, najdroższa? Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem. Na wsi myślałem, że moglibyśmy razem znaleźć szczęście... ale dzisiaj zobaczyłem cię w takiej scenerii, w jakiej powinnaś żyć. Błyszczysz jak najjaśniejsza gwiazda i ktoś taki jak ja nie powinien przyćmiewać twojego blasku. - Położył rękę na jej ramieniu. - Zaslugujesz na więcej, moja miłości, na znacznie więcej, niż mógłbym ci dać.

- Na to? - Z niesmakiem spojrzała w kierunku zatłoczonej sali balowej. - Myślisz, że mi na tym zależy? Źle mnie osądziłeś, sir. Gdybym marzyła o światowym życiu, to mając osiemnaście lat, wyszłabym za księcia. Zostałam starą panną z wyboru, nie z konieczności. - Podniosła głowę, na jej twarzy malowały się duma i gniew. - Owszem, mam dwadzieścia siedem lat, ale nie stoję jeszcze nad grobem!

- Niewątpliwie - przyznał z uśmiechem Damian. - Jesteś wspaniała. Mógłbym przysiąc, że tylko na tej sali znajdzie się z tuzin dżentelmenów gotowych złożyć u twych stóp swe serca i majątki. Nie zamierzałem cię obrazić. Chciałem tylko, żebyś była całkiem pewna, żebyś dokładnie rozumiała, co tracisz, wybierając mnie.

- Co za głupiec z ciebie, sir! Naprawdę myślisz, że nie wiem, co stracę? I co zyskam? - W jej oczach zakręciły się łzy. - Masz mnie za próżną idiotkę, której kilka komplementów może zawrócić w głowie?

Damian wiedział, że słowami trudno mu będzie ułagodzić Rosalyn, nie bacząc więc, gdzie się znajdują, zamknął ją w ramionach. Przez chwilę patrzył na nią, wdychał zapach jej perfum, a potem pochylił głowę i pocałował ją

delikatnie, z czułością. Przytuliła się do niego natychmiast, poddając mu się bez oporów. Mało brakowało, a straciłby nad sobą kontrolę.

- Nie wiesz, jak bardzo cię pragnę? Jak bardzo cię potrzebuję? - szepnął. - Myśl o tobie dręczy mnie po nocach. Dla twojego dobra starałem się walczyć z tym uczuciem, Rosalyn, ale nie jestem w stanie walczyć z tobą. Jesteś dla mnie zbyt silna, kochanie.

- Złożyłam obietnicę - powiedziała z lekką wymówką. - Po ślubie brata ucieknę z tobą. Jeśli nadal będziesz mnie chciał.

- Nigdy nie przestanę cię pragnąć. Uwielbiam cię, Rosalyn. Postaram się zasłużyć na twoje zaufanie. Uwierz mi, najdroższa, że nigdy cię nie skrzywdzę, choć wiem, że nie jestem wart ścierać pył sprzed twoich stóp.

Zastanowił ją dziwny wyraz jego oczu. Co, poza tym, o czym już wiedziała, kryło się w przeszłości Damiana? Dlaczego bywał taki posepny? Co dręczyło jego duszę?

-Damianie...

Rosalyn umilkła, bo zauważyła, że na balkon wyszedł jej brat. Odsunęła się od ukochanego i znalazła się w oświetlonym miejscu.

- A więc tu jesteś! - zawołał Freddie. - Beatrice myślała... O, Wrexham! Nie wiedziałem, że pan tu jest. - Wyraźnie się speszył. - A może powinienem powiedzieć Marlowe? Słyszałem, że odziedziczył pan tytuł po dziadku.

- Wolę Wrexham. Nie widzę sensu w tytułach i podobnych głupotach.

- Tak, rozumiem... Przepraszam za tamten wieczór. Niestety miałem związane ręce. Pan rozumie, co mam na myśli?

- To było bardzo krępujące dla wszystkich. Proszę wybaczyć, ale mam pewne zobowiązania, których muszę dotrzy-

mać. - Przeniósł spojrzenie na Rosalyn. - Przepraszam, naprawdę muszę już iść.

- Damianie... kiedy?

- Wkrótce... Już niedługo, kochanie. Dobranoc, Eastleigh.

Po jego odejściu zapadła cisza. Freddie wpatrywał się w siostrę zwięzonymi oczami.

- A więc nadal go chcesz?

- Możesz się nie martwić, nie skomplikujemy twojej sytuacji, Freddie. Przed ślubem nic się nie zdarzy.

- Bea twierdzi, że nie dba o pieniądze ciotki - wyznał Freddie ze wstydem. - Kiedy już będziemy małżeństwem, przestanę się czymkolwiek przejmować. Lepiej trzymać to w tajemnicy, ale jeżeli zależy ci na Wrexhamie, to masz moje błogosławieństwo.

- Dziękuję. - Ucałowała go w policzek. - Zamieszkamy za granicą. Nie będziesz musiał się do nas przyznawać.

- Ros... - zaprotestował Freddie z płonącymi wstydem policzkami. - Nie jestem takim cholernym snobem. Wrexham mógł mieć... cóż, niewątpliwie znasz tę historię lepiej ode mnie. Ale jego rodzina... no, przynajmniej dziadek był przyzwoitym człowiekiem. Lord Marlowe. Wrexham sporo po nim odziedziczył: tytuł, zrujnowany dwór gdzieś pod Hastings i... górę długów. Gdybyście potrzebowali pieniędzy...

- Na pewno nie będziemy potrzebowali. Mam fundusz powierniczy, a Damiana również stać na zaspokojenie potrzeb. Zresztą pieniądze nie są najważniejsze. Mogę być szczęśliwa wszędzie, byle z odpowiednim człowiekiem.

- Tak, wiem. - Uśmiechnął się do niej serdecznie. - Nie byłem dla ciebie najlepszym bratem, Ros, ale naprawdę cię kocham. Stanę przy tobie, gdyby coś się nie ułożyło. Możesz zawsze wrócić do domu. Bea cię kocha, a jej ciotka może... no, sama wiesz!

Roześmiała się na widok jego pełnej niesmaku miny.

- Freddie, mój drogi! - Złość już jej przeszła. Bał się, że straci Beę, co doskonale rozumiała. - Nie ma powodu do obaw o mój los. Doskonale wiem, czego chcę, i nie boję się konsekwencji.

- Ty się nigdy nie boisz. - Podał jej ramię i wrócili na salę. - Powinnaś urodzić się mężczyzną, Ros. Zawsze byłaś odważniejsza ode mnie.

Rano pani Jenkins czuła się całkiem dobrze, ale oświadczyła, że jej dolegliwości były rezultatem zmęczenia wrzawą wielkiego miasta i ogłosiła zamiar powrotu na wieś. Początkowo upierała się, by spędzić kilka dni w swym domu w Huntingdon, skąd miała przywieźć Beę do Cambridgeshire dopiero na bal poprzedzający ślub.

Dała się jednak ułagodzić kilku łezkom Beatrice i zapewnieniom Freddiego, że może zaprosić do nich swego brata.

- Bernard napisał do mnie - wyznała mu w zaufaniu, kiedy zostali sami. - Ma pewne problemy finansowe. Muszę przedyskutować to z nim na osobności.

- Rozumiem, że pan Harrington przebywa w Londynie, Czy nie lepiej byłoby zaprosić go tutaj, madame?

- Nie. Jeśli potrzebuje mojej pomocy, to musi pofatygować się na wieś - warknęła.

Freddie ugryzł się w język i policzył do dwudziestu, żeby nie odpowiedzieć jej w podobnym tonie.

Pani Jenkins nie wyjawiała mu, że jej brat był zaprzysięgłym hazardzistą, całkowicie uzależnionym od karcianego stolika. Dawniej wygrywał nawet spore sumy, ale pieniądze jakoś zawsze przeciekały mu przez palce. Ostatnio jednak opuścił go talent do gry czy też szczęście. Pewnie dlatego, że zaczął za



dużo pić. Podejrzewała, że odwiedzał spelunki zupełnie niegodne dżentelmena, więc postanowiła za wszelką cenę wyrwać go z miasta.

- Z przyjemnością będziemy gościć pani brata, madame. Proszę bezzwłocznie do niego napisać.

Freddie był całkiem nieświadom, że jego ukochana Beatrice nie cierpiała brata ciotki... ani że poruszył gniazdo os.

- A, jesteś! - Ucieszona Maria pocałowała Rosalyn, gdy ta przekroczyła próg domu. - Boże! Jak ty promiennie wyglądasz, kochanie. Podcięłaś włosy z przodu? Bardzo twarzowa fryzura.

- Nie, nie podciąłam włosów - odparła Rosalyn, rozbawiona miną kuzynki. Zdawała sobie sprawę, że wygląda bez porównania lepiej, ale wiązała to z kupnem nowych, modnych sukien. - To tylko wiatr zwiął je na bok. Przez kilka mil jechaliśmy przy otwartym oknie. Pani Jenkins nie czuła się dobrze.

- I dlatego od razu poszła do swojego pokoju? Nie szkodzi, we dwie będzie nam przyjemniej. Tylko ty i ja. Jak dawniej. - Weszły do salonu. - Jak to dobrze, że wróciłaś do Lynton House.

- Rzeczywiście, wyglądasz na rozradowaną. Jak się ma Sarah Jane? I gdzie ona jest?

- Chyba wyszła z psem. Bardzo się przywiązała do tego zwariowanego zwierzaka. Twierdzi, że potrzebuje dużo ruchu. Zmieniła się nie do poznania. Jest zawsze grzeczna i pomocna. Babcia nie pozna jej, kiedy przyjedzie po nią w przyszłym tygodniu.

- Ciocia Susan po nią przyjeżdża?

- Napisała w liście, że będzie na balu, ale nie na ślubie, chyba że Celia i jej mąż też tu się zjawią. Wtedy wszyscy zostaną dwa tygodnie.

- Boże - jęknęła Rosalyn. - Nie wiem, jak ich tu pomieścimy. Pani Jenkins zaprosiła swojego brata.

- Zawsze mogę przenieść się do przyjaciół. - Zapłoniona Maria zawahała się, wreszcie jednak wyznała: - Będiesz zdumiona, Rosalyn. Ja sama byłam, ale drogi pan Waller... - Rumieniec na jej twarzy jeszcze się pogłębił. - Otóż poprosił, bym została jego żoną, a ja powiedziałam „tak”, ale jeśli ty nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Przeciwko temu?! Mario, ty gąsko! Jestem zachwycona! Czułam, że bardzo go lubisz. To coś w sam raz dla ciebie i życzę ci szczęścia, moja najukochańsza kuzyneczko.

- Wydaje mi się, że będę szczęśliwa - przyznała zachwycona Maria - ale nie ma powodu do pośpiechu. Nie opuszczę cię w potrzebie. Kiedy ułożysz już sobie życie, pomyślę o sobie, ale nie wcześniej.

- Nie martw się o mnie. - Rosalyn zaśmiała się. - Jeszcze nie mogę ci nic powiedzieć, ale mam pewne plany co do swojej przyszłości.

Nie mogły kontynuować rozmowy, bo najpierw przyłączyła się do nich Beatrice, a zaraz potem wpadła Sarah Jane. Zostały wręczone prezenty, potem na stole pojawiła się herbata i zasiadły do miłej pogawędki.

- Gdzie jest Sheba? - zapytała Rosalyn, kiedy zostały na chwilę z Sarah same. - Maria mówiła, że wspaniale się nią opiekowałaś. To bardzo ładnie z twojej strony.

- Och, ja tylko zabierałam ją na spacer - odparła Sarah Jane, nie patrząc jej w oczy. - Dziękuję za strój do konnej jazdy. W ostatnim tygodniu kilka razy jeździłam i wreszcie mam stosowne ubranie.

- Twoja babcia będzie zdumiona, kiedy przyjedzie tu w przyszłym tygodniu.

- Zostaniemy na ślub, prawda? Beatrice przywiozła mi śliczną sukienkę. Powiedziała, że mogę być jedną z jej druhen.

- Więc będziesz musiała zostać. Zaraz napiszę list i spróbuję nakłonić twoją rodzinę do przyjazdu, choć dotychczas nie mieli ochoty na taką długą podróż.

W zamyśleniu szła do swojego pokoju. Wszystko układało się znakomicie. Maria miała wyjść za mąż, a Sarah Jane zostanie zabrana przez rodzinę do domu.

A potem wreszcie Rosalyn będzie wolna. Uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniego spotkania z Damianem, jego pocałunków i słów miłości.

Gdzie teraz był? Czy załatwił w końcu swoje sprawy? Czy szybko wróci na wieś i znajdzie sposób, żeby się z nią spotkać?

## Rozdział siódmy

Damian wszedł do jaskini hazardu i rozejrzył się z niesmakiem. Takie miejsca przyciągały najgorsze typy: nałogowych graczy, bezlitosnych szulerów, gotowych oskubać do czysta młodych idiotów, podejrzanych spryciarzy robiących ciemne interesy. Czasami zjawiali się tu również przyzwoici ludzie, dziedzice starych tytułów, mający dość nudnego, wygodnego życia i szukający silnych wrażeń. Takich mężczyzn można było spotkać również w Hellfire Club, innym podejrzanym przybytku, odwiedzanym przez grono ryzykantów z towarzystwa, tu jednak spotykało się również desperatów, bliskich autodestrukcji.

Czy Bernard Harrington stoczył się do ich poziomu? Hugh Renshaw mówił o długach i nieumiarkowanym picciu, przez co Harrington został wykluczony z elitarnych klubów.

- Miał złą passę - tłumaczył Hugh. - Ponoć jest bliski ruiny. Davenport ma kilka jego weksli. Teraz już nikt ich nie przyjmuje, więc musiał zacząć grać gdzie indziej. Jego ziemie są zadłużone do granic możliwości, pewnie niewiele mu już zostało.

Weksle Davenporta spoczywały teraz w sejfie kancelarii adwokackiej. Damian wykupił je za dziesięć tysięcy funtów.

- Po co ci one? - zapytał Davenport, gdy Damian zaproponował transakcję. - Wątpię, by Harrington był w stanie spłacić choćby połowę tej sumy.

- To sprawa osobista, która już dawno powinna być załatwiona.

- Zabiłeś niewłaściwego człowieka, tak? - Charles Davenport uniósł brwi. - Nie jestem tępy, Wrexham. Trzymałeś gębę na kłódkę, co dobrze o tobie świadczy, szczególnie kiedy wziąć pod uwagę, jak cię potraktował rodzony ojciec, ale każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, domyśla się, dlaczego wyzwałeś Rodericka Harringtona. Wszyscy wiedzieli, że byliście z Renshawem jak bracia i, choć próbowano to ukryć, śmierć jego siostry była ewidentnie samobójstwem. Wystarczy dodać dwa do dwóch i powód pojedynku staje się jasny jak słońce.

- Obaj Harringtonowie, Roderick i jego brat, byli w to zamieszani, ale ona wymieniła tylko jednego. - Damian zmarszczył czoło. - Ufam, że nigdy nikomu tego nie zdradzisz?

- Nie musisz nawet pytać. Ja nie plotkuję, gdy w grę wchodzi honor damy. Zawsze też czułem, że zrobiłeś nam wszystkim przysługę, uwalniając świat od tego plugastwa. - Davenport uśmiechnął się. - Tak, sprzedam ci te papierzyska. Pragnąłbym z całego serca, żeby Harrington wyświadczył nam wszystkim grzeczność i palnął sobie w łeb, uprzedzam cię jednak, że absolutnie się na to nie zanosz.

- Więc może wyręcę go.

- Zamierzasz spędzić resztę życia w Indiach? On nie jest wart takiego poświęcenia. Posłuchaj, Wrexham. Gdybyś przyjął swój tytuł i zajął należną ci pozycję w towarzystwie, zostałbyś przyjęty życzliwiej, niż ci się zdaje.

Ta rozmowa odbyła się przed południem, teraz zapadł już wieczór. Przy wszystkich stołach do gry siedział komplet hazardzistów, bezlitosnych ludzi o twardych spojrzeniach, a w powietrzu wisiał smród potu, marnych papierosów i cienkiego wina.

Co za okropne miejsce! Damian już miał się odwrócić, kiedy w drugim końcu pomieszczenia wybuchło jakieś zamieszanie. Ktoś został oskarżony o oszustwo. Grzech kardynalny, nawet wśród tych typów. Podniósł się krzyk, stół został przewrócony.

- Do diabła z wami! - Mężczyzna zerwał się. Wyraźnie za dużo wypił. - Nazywasz mnie oszustem? Sam jesteś oszustem! Nikt nie ma takiego szczęścia, żeby wygrywać raz za razem.

- Na Boga! Należą mi się za to przeprosiny albo przyjmiesz moje wyzwanie. Wyznacz sekundantów, Harrington.

Damianowi zwięzły się oczy. Czyżby to był Bernard Harrington? Ten stary, tłusty degenerat o obwisłej twarzy? A przecież miał zaledwie dziesięć lat więcej niż Damian, był w sile wieku...

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy w napięciu czekali na reakcję Harringtona. Wahał się, mrugał powiekami, potem potrząsnął głową, jakby nagle uświadomił sobie, co się dzieje, odwrócił się i potykając się, zaczął uciekać, potracając stoły i służącego.

- Przeklęty głupiec - mruknął mężczyzna, który wyzwiał Harringtona. - Nie stanie. Jest tchórzem i zawsze był tchórzem.

- Zgadza się z panem - oświadczył Damian. - Czy mógłbym zamienić z panem parę słów?

- Tak, oczywiście, ale... - Nieznajomy przyjrzał mu się uważnie. - Jest pan spadkobiercą Marlowe'a, prawda? Ktoś mi pana pokazał wczoraj na balu u Renshawa. Proszę usiąść, sir.

- Dziękuję. Chyba jeszcze nie miałem okazji pana poznać?
- Nie, nie spotkaliśmy się dotychczas. - Wyciągnął do niego rękę. - Jestem Tamworth. Co mogę dla pana zrobić, sir?
- Myślę, że ma pan coś, co mnie interesuje. Czy nie przyjmował pan przypadkiem od Harringtona weksli zamiast gotówki?
- Tak, do diabła! I to ile! - zawołał Tamworth z oburzeniem. - A dziś próbował mi wcisnąć następny! Mam jego kwity na pięć tysięcy funtów, pewnie więcej, niż jest wart cały jego majątek.
- A ja mam papiery na kolejnych dziesięć tysięcy. To znacznie przekracza sumę, którą Bernard Harrington byłby kiedykolwiek w stanie spłacić. Jak pan sądzi, jaki byłby skutek, gdybym odkupił pański dług i przedstawił komplet weksli w magistracie?
- Zostałby aresztowany i osadzony w więzieniu dla dłużników do czasu uregulowania należności, czyli zapewne do końca swoich dni.
- Właśnie. A dokładnie, jaką sumę jest panu winien, sir? Jestem gotów pokryć ją i uwolnić pana od tego brzemienia.
- Co ten Harrington panu zrobił? - Gdy Damian tylko uśmiechnął się drapieżnie, szybko dodał: - Nie, nie musi mi pan mówić. Na pewno na to zasłużył. Jak już wspomniałem, jest mi winien pięć tysięcy. - Wyjął kilka kartek z kieszeni surduta i położył je na stole. - Dla mnie nie są warte nawet pensa, a dla pana?
- Jeśli poda mi pan swój adres, sir, to rano przyślę panu polecenie wypłaty z mojego banku. - Damian schował weksle do kieszeni. - Gdyby, co mało prawdopodobne, Harrington przysłał jednak swoich sekundantów, radzę wstrzymać się ze strzałem, dopóki on nie rozładuje swojego pistoletu, szczegól-

nie gdyby zamierzał pan wystrzelić w powietrze. Jeśli odwróci się pan do niego plecami w chwili, kiedy będzie miał w ręku naładowaną broń... Resztę zostawiam pańskiemu zdrowemu rozsądkowi. - Skinął głową i wyszedł.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Tamworth, kiedy ciekawski obserwator zdarzenia usiadł na krześle opuszczonym przez Damiana.

- Nie znasz tej historii? -

Nie.

- Przed laty Wrexham zabił w pojedynku młodszego brata Harringtona. Począł, aż Roderick wystrzelił, po czym odwrócił się plecami. Pewnie doszedł do wniosku, że lepiej to przerwać. Roderick miał w kieszeni drugi pistolet, małą zabawkę, wystarczającą jednak, by zadrasnąć w rękę odchodzącego Wrexhama. Wrexham odwrócił się i z odległości trzydziestu kroków wpakował mu kulkę dokładnie między oczy. Wykorzystał cały czas, który miał do dyspozycji... a potem wypalił.

- A niech to! A teraz dobiera się do drugiego. Jak sądzisz, czym mu podpadli?

- Trzymano wszystko w tajemnicy, ale chodziły pogłoski o jakiejś kobiecie, która została porwana i zgwałcona. Problem w tym, że Wrexham zaczął od niewłaściwego brata. Wszyscy wiedzieli, że ktoś popchnął do tego Rodericka. On był całkowicie pod wpływem starszego brata, robił wszystko, co tamten mu kazał. Ale na pewno nie zgwałcił dziewczyny. Miał odmienne gusta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- A więc to Bernard ją zgwałcił, a Wrexham dopiero teraz dowiedział się o tym? Coś mi się wydaje, że więzienie dla dłużników to zbyt dobre miejsce dla kogoś takiego jak Harrington.



- Może tam w ogóle nie trafić. Ma siostrę, wdowę, która przejęła po mężu spory majątek. Harrington postara się wyciągnąć od niej pieniądze.

- Moim zdaniem lepiej by zrobił, idąc do więzienia. - Tamworth dobrze pamiętał wyraz twarzy Damiana. - Chyba że ma ochotę dostać kulkę między oczy.

- Och, Rosalyn! - zawołała Beatrice, wpadając pędem do salonu. - On tu jest! Nie mam pojęcia, dlaczego Freddie pozwolił jej go zaprosić. On wszystko zepsuje.

- O co ci chodzi? - zdumiała się Rosalyn. - Jaki on?

- Bernard Harrington tu jest! Ciocia Patricia zaprosiła go, nic mi nie mówiąc. Pewnie znalazł się w tarapatach finansowych. Jaka szkoda, że przyjechał!

- Chyba nie sądzisz, że będzie odnosił się do ciebie w niewłaściwy sposób? Przecież wie, że niedługo wychodzisz za mąż. - Gdy dostrzegła na twarzy Bei strach i wstręt, odruchowo zbliżyła się do niej. - Gdyby odważył się dotknąć cię palcem, Freddie każe drzeć z niego pasy. Musisz mu tylko powiedzieć o swych obawach, a...

- To by sprowokowało okropną scenę. - Beatrice przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drzenie. - Naprawdę nie mogę powiedzieć Freddiemu, ale obiecaj, że nigdy nie zostawisz mnie z Bernardem samej. Proszę, Rosalyn. Umrę, jeśli znów spróbuje mnie pocałować. Na jego widok robi mi się zimno. To najwstrętniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam. Naprawdę!

- Może jednak przesadzasz? Często się zdarza, że drobny incydent urasta w naszej wyobraźni do ogromnych rozmiarów. ..

- Nie! - Beatrice wzdrygnęła się. - On patrzy na mnie, jak-

by... Och, nie mogę tego powiedzieć. Musisz mi uwierzyć! Musisz.

Beatrice była na granicy hysterii. Rosalyn uścisnęła jej dłoń.

- Wierzę ci, kochanie. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię bronić.

Nadal uważała, że Beatrice powinna powiedzieć o wszystkim Freddiemu, rozumiała jednak, że mogłoby to być dla Bei zbyt bolesne i krępujące. Może rzeczywiście lepiej na razie nic nie mówić, jeśli jednak sama dojdzie do wniosku, że Beatrice coś zagraża, to osobiście poinformuje o tym Freddiego.

Rosalyn mogła podejrzewać Beatrice o przesadę, dopóki sama nie spotkała tego człowieka. Był bez wątpienia odrażającą kreaturą o nalanej, białej twarzy i nieruchomych, gadzich oczach, które zdawały się rozbierać kobietę do naga.

Nic dziwnego, że tak przerażał Beatrice. Rosalyn również ogarnął lęk, choć Bernard Harrington wszelkimi sposobami próbował się wkraść w jej łaski.

- Wiele o pani słyszałem - powiedział, pochylając się nad jej ręką, kiedy zostali sobie przedstawieni. - Ale jest pani znacznie ładniejsza, niż mówiono... a zapewniam, że zrobiło się o pani głośno w stolicy. Podobno Davenport i Forster skoczyli sobie przez panią do gardła na balu u Renshawa.

Rosalyn wysunęła rękę z jego wilgotnej dłoni, starając się ukryć dreszcz obrzydzenia, i niepostrzeżenie wytarła ją o suknię. Wiele ją kosztowało ukrycie gwałtownej antypatii do tego człowieka, zmusiła się jednak do uprzejmości należącej gościowi brata.

- Pochlebia mi pan, sir. To była z pewnością wyłącznie przyjacielska rywalizacja, rozrywka na jeden wieczór.

- Ależ zapewniani panią, że to prawda, panno Eastleigh. Niech mi pani nie wmawia, że żaden z nich nie został nawet draśnięty strzałą Amora. Czyż mogli być takimi idiotami?

Próby nawiązania z nią flirtu przyprawiły Rosalyn o gęsią skórę. Zauważyła, że pani Jenkins obserwowała to z pełnym zadowolenia uśmiechem. Wielkie nieba! Czyżby skierowała jego zainteresowanie ku kobiecie, którą oskarżyła o zejście na złą drogę, o schadzki z kochankiem w ogrodzie? Na pewno nie! Chyba nie mogła uznać Rosalyn za odpowiednią żonę dla brata!

A jednak w zachowaniu pani Jenkins wobec Rosalyn zaszła pewna zmiana. Oczywiście nie stała się serdeczna, ale na pewno ostrożniejsza, hamowała swój zły język. Co jej chodziło po głowie?

Chyba nie majątek Rosalyn? Fundusz powierniczy zapewniał jej niezależność, jednak kapitał wynosił pięć, może sześć tysięcy funtów. Nigdy nie zwracała sobie głowy szczegółami, wydawało jej się jednak, że zostałby wypłacony w momencie zawarcia przez nią związku małżeńskiego.

Chyba brat i siostra nie rozważali pomysłu...? Nie, to śmieszne! A jednak przykre podejrzenia z każdym dniem przybierały na sile, bo Bernard nie przestawał jej prawić przesadnych i nieszczerych komplementów.

Starła się z wszystkich sił, choć grzecznie, opędzać się od jego niechcianych umizgów. Lepiej radziła sobie z nim biedna Beatrice, która w obecności Bernarda Harringtona trzymała się Freddiego i prawie nie otwierała ust.

Nawet Maria wyznała, że go nie lubi, a Sarah Jane po prostu odmawiała wchodzenia do pokoju, w którym on przebywał.

- Jest taki wstrętny! - Wzdragła się. - A te jego oczy! Ty

pewnie musisz być wobec niego uprzejma, ale ja nie muszę, bo jestem tylko dzieckiem. Nikt nie może oczekiwać, bym znała formy obowiązujące w towarzystwie.

W tych dniach Sarah Jane rzadko bywała w domu. Jeśli nie wychodziła z Shebą na spacer, to jeździła konno w towarzystwie jednego ze stajennych. Zresztą ten nowy porządek dnia najwyraźniej jej służył, bo na policzkach dziewczynki pojawiły się zdrowe rumieńce.

Stosunek Freddiego do Harringtona w najlepszym razie można było określić jako szorstki.

- Chciałbym, żeby się stąd wyniósł - wyznał Rosalyn na osobności. - Nie mogę jednak kazać mu wyjechać.

Tylko siostra Harringtona zdawała się zadowolona z jego obecności, dlatego Rosalyn była zdumiona, kiedy wracając z ogrodu w przeddzień balu na cześć Beatrice, usłyszała ostrą wymianę zdań między rodzeństwem.

- Już ci mówiłam, Bernardzie - oświadczyła pani Jenkins - że jestem gotowa płacić twoje należności u handlarzy, oczywiście w rozsądnej wysokości, ale nie długi karciane. Musisz sam znaleźć sposób, żeby je uregulować.

- Gdybym mógł, już bym to zrobił. Do diabła, Patricio! Nie zwróciłbym się do ciebie, gdybym miał inne wyjście. Majątek obciążylem hipoteką do maksymalnych granic. Nawet gdybym sprzedał wszystko, co mam, wystarczyłoby na pokrycie najwyżej jednej trzeciej długów, a ten przeklęty prawnik naciśka, bym wykupił weksle.

- Mówiłeś przecież, że znajdują się w rękach dżentelmenów, którzy dadzą ci czas na załatwienie twoich spraw?

- Bo tak sądziłem. Okazuje się jednak, że moje weksle zostały sprzedane komuś, kto stanowczo żąda ich wykupienia.

To straszna podłość, niemniej jednak całkowicie legalna. Muszę zapłacić albo poniosę konsekwencje.

- A nie mógłbyś spotkać się z tym człowiekiem i przemówić mu do rozsądku? Nawet gdybym zgodziła się spłacić część twoich długów, będę mogła uwolnić pewne sumy dopiero za kilka tygodni.

- Prawnik dał mi dwa tygodnie. Po tym terminie oddadzą sprawę do sądu... i będę załatwiony. Wystawiłem weksle pod zastaw posiadłości, które już do mnie nie należą, bo na te grunty bank ma hipotekę. To oszustwo. Pójdę za to do więzienia.

- Więc musisz coś w tej sprawie zrobić! Ożeń się z panną Eastleigh. Jej kapitał wynosi piętnaście tysięcy funtów, choć pewnie sama o tym nie wie. Widziałam w dokumentach sir Fredericka, kiedy byliśmy w Londynie. Kiedy wyjdzie za mąż, będzie mogła dowolnie dysponować tą sumą.

- Ona mnie nie poślubi. Gdyby chciała, mogłaby wybierać spośród bogatych hrabiów i książąt, ale podobno nie zamierza wychodzić za mąż.

- Więc pomyśl, w jaki sposób ją namówić.

Rosalyn odwróciła się z niesmakiem, już i tak usłyszała za wiele. Pani Jenkins powinna się wstydzić, że napuszcza brata na niczego niepodejrzewającą ofiarę. Jednak ona nie była ani ofiarą, ani osobą, która niczego nie podejrzewa. W żadnym wypadku nie wyszłaby za Bernarda Harringtona, a teraz dołoży wszelkich starań, by nigdy nie zostać z nim sam na sam.

Rosalyn przebierała się do obiadu, kiedy Sarah Jane jak burza wpadła do jej pokoju. Włosy rozsypały się jej na ramionach, miała rozdartą sukienkę i zadrapanie na policzku.

- Co ci się stało? - krzyknęła Rosalyn. - Jesteś ranna? Ktoś próbował cię skrzywdzić?

Sarah Jane z trudem łapała oddech.

- Nie... nie chodzi o mnie! Chcą porwać Jareda! Dwóch ludzi. .. wrogowie jego ojca.

- Co? - Rosalyn z trzaskiem rzuciła na stół szczotkę do włosów. - Mów dokładniej, Sarah. Gdzie są ci dwaj ludzie?

- Na polu, za sadem. Jest z nim Sheba i broni go, ale Radżib został ranny. Boję się, że będą chcieli zabić Jareda. Kazał mi uciekać, ale ja pobiegłam po ciebie. Musimy im pomóc. Musimy!

- Na pewno spróbujemy - zapewniła Rosalyn. - Trzeba się pośpieszyć.

Jej długie włosy były rozpuszczone, miała na sobie tylko szlafroczek narzucony na koszulę, jednak nie zawracała sobie tym głowy, tylko podbiegła do komody, wyjęła jeden z pary pistoletów ojca, które trzymała pod ręką od jego śmierci. Ostatnio oczyściła je i naładowała na wypadek, gdyby ktoś chciał złożyć w jej pokoju nieproszoną wizytę. Podniosła broń i spojrzała na Sarah Jane.

- Postaraj się znaleźć Freddiego, ale nie wychodź z domu. Nie idź za mną. To może być niebezpieczne.

- Dokąd idziesz?

- Tam gdzie trzeba. Nie mów nikomu poza Freddie. I nie wychodź z domu - powtórzyła.

W kilka sekund zbiegła ze schodów. Maria wołała coś za nią, ale nawet nie obejrzała się i pognęła do sadu. Później zapyta Sarah, jak to się stało, że była z Jaredem w chwili, gdy został zaatakowany, teraz jednak myślała tylko o tym, że może przybyć za późno. Damian mówił jej, że w Indiach życie

chłopca było zagrożone, nie przyszło jej jednak do głowy, że tutaj może ponownie dojść do zamachu - i to w biały dzień!

Biegła jak szalona, serce waliło jej mocno i bez przerwy powtarzała bezgłośnie zaklęcie: „Błagam, pozwól, bym przybyła na czas. Proszę, Boże! Spraw, bym zdążyła na czas!”.

Gdyby nie Sheba, Rosalyn najpewniej przybyłaby zbyt późno. Gdy wypadła z sadu na pastwisko, jej oczom ukazała się przerażająca scena, która do końca życia miała wracać do niej w koszmarnych snach. Sheba ze wszystkich sił broniła przyjaciela, warczała i rzucała się z furją.

Rosalyn widziała, jak suka skoczyła na jednego ze zbirów, złapała go za nogę i zaczęła trzepać głową, jakby miała w pysku królika. Mężczyzna zawył z bólu. Drugi napastnik uniósł długi zakrzywiony miecz, żeby odegnać dzielne zwierzę. Zanim Rosalyn dobiegła do nich, błysnęło ostrze i Sheba padła bez ruchu, a krew bluznęła z głębokiej rany na jej szyi.

Rosalyn widziała, że jeden z mężczyzn próbował złapać Jareda, który stał jak sparalizowany, nie mogąc oderwać wzroku od ciała zwierzęcia, które pokochał. Kilka jardów dalej, twarzą do ziemi, leżał jeszcze jeden człowiek. Rosalyn domyśliła się, że to pewnie sługa Jareda, Radżib.

Zrobiła jedyną rzecz, jaka jej w tym momencie przyszła do głowy: wystrzeliła w kierunku napastnika, który trzymał się za nogę i pozostawił kamratowi łapanie Jareda. Kula przeszła z dala od niego, bo, po pierwsze, Rosalyn była zbyt daleko, by strzał mógł być celny, a po drugie, raczej jej nie zależało, by trafić. Strzał zrobił jednak na obu zbójcach piorunujące wrażenie. Spojrzeli na nią w chwili, kiedy brała ich na cel, tym razem staranniej, i ranny napastnik zaczął coś szybko krzyczeć w swoim języku, a potem, kulejąc, rzucił się do ucieczki. Kompan poszedł w jego ślady.

Rosalyn wbiegła na szczyt wzgórza, podparła prawą rękę lewą, wycelowwała i oddała za nimi następny strzał. Niemal trafiła, bo jeden z porywaczy, gdy kula otarła mu się o włosy, krzyknął z przerażenia. Obaj pędzili przed siebie, jakby ścigał ich sam diabeł.

Chwila uniesienia szybko jednak minęła, kiedy Rosalyn spojrzała na Jareda, który tulił w ramionach Shebę. Podniósł na nią oczy, po policzkach spływały mu łzy.

- Uratowała mnie - powiedział roztrzęsionym głosem. - Oni by mnie zamordowali, ale uratowała mnie, a teraz nie żyje.

Oczy Rosalyn również napełniły się łzami. Lubiła to hałaśliwe, nieokiełznane stworzenie, choć nie tak mocno jak Jared. Chłopiec patrzył na nią żałośnie, a w ciemnych oczach malowały się ból i gniew.

- Sheba cię kochała. - Położyła rękę na jego głowie. Serce jej się ścisnęło na widok rozpaczony i osamotnienia chłopca. Ta suka była jedyną istotą, jaką miał do kochania. - Była dzielnym psem i umarła tak, jak chciała, broniąc swojego ukochanego pana.

- Była pani psem, mem-sahib.

- Nie, twoim. Wybrała ciebie, a ja ucieszyłam się z jej wyboru.

W tym momencie usłyszeli jęk. Rosalyn szybko podeszła do leżącego na ziemi Radziba. Jego ubranie było przesiąknięte krwią. Otrzymał kilka pchnięć w pierś i ramię, walcząc mężnie, by zapobiec porwaniu syna swego pana. Uklękła przy nim, gdy otworzył oczy.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Jaredowi nic nie grozi. Ale pan jest poważnie ranny. Musimy zabrać pana do domu.



- Syn mojego pana... - Radżib spojrział poza nią i ode tchnął z ulgą na widok chłopca, który nadal klęczał przy psie. - Słyszałem strzały. Przybyła pani na czas, mem-sahib. Zaciągnąłem u pani dług honorowy. Gdyby pani nie przybiegła, gdyby go porwali, umarłbym ze wstydu.

Jak Rosalyn przypuszczała, mówił doskonale po angielsku, po prostu dotychczas nie miał ochoty się do niej odzywać. Zrozumiała teraz jego obecność w nocy w swoim ogrodzie, wówczas, kiedy Sheba go zaatakowała. Po prostu wykonywał swoje obowiązki i chronił samowolnego, nieszczęśliwego chłopca.

- Na szczęście Sarah dotarła do mnie na czas. Czy z naszą pomocą będzie pan w stanie iść? A może przyślę ludzi, żeby przenieśli pana na drzwiach?

- Chyba mogę iść...

Z jękiem przewrócił się na bok i zdołał uklęknąć, potem, mimo wyraźnego bólu, zmusił się do wstania. Rosalyn wzięła go pod zdrową rękę i pomogła mu odzyskać równowagę. Podziękował jej niewyraźnym mruknięciem.

- Jared, chodź - poprosiła. - Później przyślemy kogoś, żeby zabrał stąd Shebę. Zostanie pogrzebana w moim ogrodzie, ale będziesz mógł przychodzić na jej grób, kiedy tylko zechcesz. Musisz mi pomóc przy Radżibie. Trzeba się nim natychmiast zająć, bo może wykrwawić się na śmierć.

- Dobrze. - Chłopiec wstał. Jego zachowanie znamionowały godność i opanowanie, kiedy podszedł, by wraz z nią pomóc Radżibowi utrzymać się na nogach. Popatrzył na służącego z poczuciem winy. - Ty również omal nie oddałeś za mnie życia. Damian miał rację. Źle postępowałem, robiąc ci na złość. Powinienem był trzymać się blisko domu, jak radziłeś. Wybaczysz mi, Radżibie?

- Chronić cię to mój obowiązek. Wiem, że to cię złościło, ule mój pan kazał mi nad tobą czuwać.

- Dziękuję. Oprzyj się na mnie, Radzibie. Panna Eastleigh pomoże ci, jeśli weźmiesz ją pod rękę.

- To niestosowne. Pobrudzę pani ubranie krwią.

- To kupię sobie nowy szlafrok. Szkoda sił na spory, Radzibie. Musisz dotrzeć do domu, zanim się wykrwawisz. I zanim ci złoczyńcy wrócą.

- Nie wrócą, bo ucieczka przed kobietą okryła ich hańbą, ale na ich miejsce przyjdą inni. Jared nie jest tu bezpieczny. Nie będzie bezpieczny, dopóki jego ojciec nie wyznaczy nowego dziedzica.

- Damian mnie stąd zabierze - odparł Jared. - Jak tylko dowie się, co się stało... zabierze mnie gdzieś, gdzie mnie nie znajdą.

Doprowadzenie Radziba do Orford Hall okazało się zadaniem trudnym i trwało długo, ale jakoś udało im się tego dokonać. Rosalyn drżała na myśl, że dzielny sługa w każdej chwili może umrzeć z upływu krwi. Kiedy znaleźli się wreszcie pod domem, Damian wybiegł im naprzeciw i Rosalyn z westchnieniem ulgi przekazała mu rannego.

- Rosalyn! Boże mój! Oprzyj się o mnie, Radzibie. - Na jego wołanie z domu wybiegła służba. - Ten człowiek jest ciężko ranny. Zabierzcie go do domu i sprowadźcie Nese, by się nim zajęła. Ja przyjdę za chwilę.

- Zawiodłem pana, sahibie - wyszeptał słabo Radzib. - Nie zdołałem obronić Jareda. Powinien mnie pan zwolnić, odejść stąd.

- Zrobiłeś, co mogłeś - zapewnił Damian - i omal nie straciłeś przy tym życia. Teraz nic nie mów. Idź z nimi,

Radzibie. Trzeba natychmiast opatrzyć twoje rany. Porozmawiamy później i zdecydujemy, co należy zrobić, by chronić Jareda.

Radzib milczał z głową zwieszoną ze wstydu. We własnej ocenie zawiódł pokładane w nim zaufanie i zawdzięczał życie natychmiastowej akcji Angielki. To był cios dla jego dumy, ale nie odezwał się i pozwolił się odprowadzić służbie.

- Bogu dzięki, że wróciłeś! - Rosalyn westchnęła, kiedy Radzib został troskliwie wprowadzony do domu. - Będę się czuła pewniej, wiedząc, że czuwasz nad Jaredem.

- Jared? Co tu się działo?

- Jak Radzib został ranny, to Sheba próbowała mnie bronić... ale ją zabili i dopiero panna Eastleigh nas ocaliła. To moja wina, Damianie. Nie posłuchałem cię i codziennie wymykałem się poza nasz teren. Wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. Bardzo im to ułatwiłem.

- To nie oznacza, że ponosisz za wszystko odpowiedzialność - powiedział ponuro Damian. - Opieka nad tobą była moim obowiązkiem. Nie powinienem był wyjeżdżać na tak długo. - Spojrzał na bladą twarz Rosalyn. - Wejdz do domu, dam ci coś, co złagodzi wstrząs.

Zawahała się, popatrzyła na swoje ubranie.

- Powinnam wracać. Muszę zająć się biedną Shebą i wytłumaczyć się przed rodziną. Pewnie zastanawiają się, co się stało.

- Pójdę z tobą. Nie powinnaś sama wracać do domu.

- Jesteś potrzebny tutaj. Ludzie, którzy zaatakowali Jareda, czmychnęli. Będę całkiem bezpieczna. - Pokazała mu pistolet. - Potrafię się obronić w razie potrzeby.

- Już to udowodniłaś. - W jego uśmiechu było tyle czułości,

że Rosalyn zmiękła jak wosk. - Więc idź, jeśli chcesz. Przyjdę wieczorem do sadu. Jeśli będziesz mogła się wyrwać, to się spotkamy. Musimy porozmawiać.

Wpół do dwunastej - szepnęła z uśmiechem. - Zajmij się nimi, Damianie. Jared cię teraz potrzebuje. - Ruszyła tą samą drogą, którą przyszła. Biegła do utraty tchu.

Rosalyn nie chciała, by Damian zauważył, że była na granicy załamania nerwowego. Od chwili gdy dowiedziała się, że Jared znalazł się w niebezpieczeństwie, koncentrowała się wyłącznie na tym, jak mu pomóc, a potem musiała się zająć rannym Radzibem. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać nad własną sytuacją. Wyszła na dwór w wysoce niekompletnym stroju. Gdyby którykolwiek z sąsiadów mógł ją teraz zobaczyć, doszedłby do wniosku, że zwariowała.

Jeszcze bardziej przejmowała się tym, jak to skomentuje pani Jenkins. Rosalyn mogła tylko mieć nadzieję, że nikt nie zauważy jej powrotu. Wyobrażała sobie, jaki przedstawia sobą widok. W zakrwawionym szlafroku, z włosami potarganymi przez wiatr i zaciśniętym w dłoni pistoletem!

Ten obraz wydał się jej tak komiczny, że wybuchnęła śmiechem, który wkrótce przeszedł w głośny szloch. Dopiero teraz dopadły ją szok i rozpacz. Biedna Sheba zginęła, Radzib również mógł umrzeć, a ona sama zaczynała się czuć jakoś dziwnie. Och, co z niej za idiotka!

Wytarła twarz chusteczką, nieświadomie rozmazując po policzkach smugi krwi Radziba wymieszanej z własnymi łzami, a potem odetchnęła głęboko i dumnie uniosła głowę. Nie było powodu do płaczu, było już po wszystkim! Jakaż z niej głupia baba! Ale na szczęście Damian nie widział jej w chwili słabości.

Odzyskała panowanie nad sobą. Zwolniła kroku, gdy zo-

baczyła już dom. Była już niemal u celu i mogła wyrzucić ten incydent z pamięci.

Nie miała najmniejszych szans, by niepostrzeżenie dotrzeć do swojego pokoju. W holu stał Freddie w otoczeniu służby. Była tam również Maria, która na widok wchodzącej Rosalyn wydała przejmujący krzyk.

- Zostałaś ranna! Wiedziałam! To wszystko wina tego głupiego bachora. Gdyby od razu poszła do Freddiego, jak powinna.

- Przestań wygadywać nonsensy! - ucięła Rosalyn. - Co się tutaj dzieje? Freddie, Sheba nie żyje. Proszę, wyślij kogoś, żeby ją przyniósł z pastwiska. Każę ją pochować w ogrodzie różanym mamy. Muszę iść się przebrać. Obiad już pewnie kompletnie na nic.

- Sheba została już odnaleziona i kazałem ją przenieść do stajni - powiedział Freddie, któremu wyraźnie ulżyło, że siostra wyszła z niebezpiecznej przygody niemal bez szwanku.

- Co się stało, Ros? Myśleliśmy, że zostałaś porwana.

- Dzięki pistoletowi taty nie zostałam porwana ani ja, ani Jared. Natomiast ranny został Radżib, hinduski służący. Razem z Jaredem zaprowadziliśmy go do domu. Ledwie powłóczył nogami, więc droga trwała długo i była bardzo wyczerpująca. Przykro mi, jeśli się martwiliście, ale czy musiało to wszystkim rozgadać, Freddie? Prosiłam, żebyś zatrzymał to dla siebie.

- Freddie był taki przejęty, kiedy znalazł ciało tej nieszczęsnej psiny - tłumaczyła Maria, która już kompletnie zapomniała, że wielokrotnie nazywała Shebę wredną suką. - Zastanawialiśmy się, jak i gdzie cię szukać.

Rosalyn spojrzała w stronę pani Jenkins i jej brata, którzy stali w pewnym oddaleniu i bez słowa obserwowali całe za-

mieszanie. Rosalyn dostrzegła w oczach pani Jenkins dezaprobatę, kiedy jednak spojrzała na Bernarda, po krzyżu przebiegł jej zimny dreszcz.

- Proszę wybaczyć mój wygląd - zwróciła się do pani Jenkins. - Przebierałam się, kiedy przybiegła do mnie Sarah Jane i nie było czasu, żeby dokończyć toaletę. Musiałam działać natychmiast. Gdybym zmarnowała choć chwilę, przybyłabym za późno. Wypaliłam do zbrodniarzy w chwilę potem, jak zabili Shebę, i wolę nie myśleć, co by się stało, gdybym nie zdążyła.

- Niewątpliwie powinna pani zawiadomić sir Fredericka oznajmiła pani Jenkins z kwaśną miną. - Jednakże jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, wykazała się pani odwagą. Można tylko żywić nadzieję, że pani reputacja nie ucierpi na tym, że wyszła pani z domu w stroju... co najmniej nie-stosownym.

- Jesteś zbyt surowa, Patricio - sprzeciwił się jej brat z błyskiem w oku. - Jeśli o mnie chodzi, to podziwiam pannę Eastleigh. Rozumiem, że odpędziła pani tych zbrodniarzy, madame?

- Gdybym była bliżej, nie zawahałabym się ich zastrzelić. Ojciec nauczył mnie, jak się bronić, i dał mi pistolet, żebym mogła samotnie jeździć po okolicy. Dzisiaj okazał się bardzo użyteczny. - Pokazała im broń, która robiła dość dziwne wrażenie w tym eleganckim wnętrzu. - Jak widać, jest wielostrzałowy.

- Sam mam pistolet pana Wheelera - oświadczył Bernard Harrington. - Całkiem przemyślny, choć trudno na nim polegać. Wykazała się pani nie lada odwagą, posługując się taką bronią, panno Eastleigh. Mógł pani eksplodować prosto w twarz.

- Jak pan widzi, nie eksplodował. - Rosalyn czuła się bardzo nieswojo pod jego spojrzeniem, odziana jedynie w cienki jedwabny szlafrok. - Mario, zapytaj, proszę, czy zostało coś z obiadu. Muszę się przebrać, ale zejść na dół za piętnaście minut.

I opuściła ich pośpiesznie. Gdyby pofolgowała swoim pragnieniom, położyłaby się na godzinę, ale już i tak spowodowała zamieszanie. Im szybciej wszystko wróci do normy, tym lepiej, bo kiedy wreszcie domownicy położą się spać, będzie mogła wysliznąć się z domu i spotkać z Damianem.

## Rozdział ósmy

- Czy będziesz miała przez to więcej problemów, kochana? Stali w sadzie oblani księżycową poświatą, Damian przytulił Rosalyn do siebie. - Nie powinienem był prosić cię o spotkanie, ale przeżyłem szok, kiedy zobaczyłem, jak prowadzisz ранego Radziba. Pojąłem, jak ogromne podjęłaś ryzyko. Mogłaś zginąć, moja najdroższa.

Damian był tak przejęty, że wspięła się na palce, by go pocałować. Jego ramiona natychmiast objęły ją ciaśniej, a pocałunek pogłębił się i nabrał takiej intensywności i namiętności, że oboje byli wstrząśnięci.

- Za bardzo cię kocham, by cię teraz stracić, Rosalyn. Bardzo cię pragnę i potrzebuję. Ucieknij ze mną już teraz, kochana. Jeszcze tej nocy. Wkrótce będę musiał wywieźć Jareda w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie wrogowie go nie znajdą. Możesz pojechać z nami i już nigdy nic nas nie rozłączy.

- Bardzo chciałabym odejść z tobą już teraz. Gdyby nie Freddie i Beatrice, zgodziłabym się, ale dałam słowo. Pani Jenkins może w każdej chwili cofnąć zgodę na ślub i w razie czego nawet się nie zawaha. Teraz jest wobec mnie uprzejma, bo ma nadzieję, że poślubię jej brata. Oczywiście nie wyjdę za niego, ale...



- Mój Boże! - krzyknął Damian jak porażony. W jego zwężonych oczach pojawiła się wściekłość. - Czy ten człowiek jest tutaj? Chcesz powiedzieć, że Bernard Harrington przebywa w twoim domu?

- Tak. Mieszka u nas. Dlaczego pytasz? - Zauważyła wyraz gniewu i odrazy na jego twarzy. - Co się stało, Damianie? Powiedz, proszę.

- Ten człowiek to wcielenie zła... musisz być bardzo ostrożna. Pamiętaj, żeby nigdy nie zostać z nim sam na sam. Obiecuj mi, że będziesz uważać.

- Beatrice się go boi, ja go nie cierpię. Powiedz, co takiego zrobił, że nazywasz go wcieleniem zła?

Damian zawahał się, wreszcie pochylił głowę. Przez wiele lat trzymał to w tajemnicy, ale teraz postanowił wreszcie złamać milczenie. Dla dobra Rosalyn.

- Zgwałcił młodą kobietę. Prawie dziecko, miała dopiero siedemnaście lat. Nieśmiałą, delikatną, uroczą dziewczynę, bardzo podobną do panny Holland.

- Sądziłam, że to sprawka jego brata. Dotarły do mnie te pogłoski, Damianie. Czy właśnie z tego powodu wyzwałeś Rodericka Harringtona na pojedynek?

- Widzę, że niepotrzebnie milczałem na ten temat. Nie jesteś jedyną, która domyśliła się, co przez tyle lat ukrywałem. Tak, kochanie, pojedynkowałem się z powodu kobiety. Helen była dla mnie jak siostra. - Na jego twarzy odmalowały się dawne uczucia, rozpacz i gniew. - Mieszkaliśmy w odległości kilku mil od siebie i często wpadałem do zaprzyjaźnionego dworu. Pewnego dnia zastałem Helen w ogrodzie. Płakała rozpaczliwie. Początkowo bała się mnie, nie chciała powiedzieć, co nią tak wstrząsnęło. Potem, ponieważ zawsze mi ufała, zdołała wykrztusić, co ją spotkało. Roderick wciągnął ją do

powozu, kiedy wracała ze wsi do domu. Wyrywała się, ale nie miała szans. A potem stało się coś... nie podała mi szczegółów, ale łatwo się domyślić.

- Potworne! Ale co to ma wspólnego z Bernardem Harringtonem?

- Wtedy myślałem, że nic. Próbowałem podnieść Helen na duchu, obiecałem, że ją pomszczę i zostawiłem na słońcu... a wieczorem już nie żyła. Połknęła trującą roślinę czy jagodę, którą znalazła w ogrodzie.

- To straszne! - zawołała Rosalyn. Aż do tej chwili nie znała rozmiarów tragedii. - Biedna, nieszczęsna dziewczyna... żeby odebrać sobie życie! Jakaż musiała być nieszczęśliwa!

- Czuła się zhańbiona. Pewnie żałowała, że mi o tym powiedziała, choć przyjaźniliśmy się od zawsze. Nie potrafiła tego znieść, dlatego targnęła się na swoje życie. Kiedy dowiedziałem się, w jaki sposób zmarła, dopadłem Rodericka i zmusiłem go do pojedynku. Byłem młody i porywczy. Chciałem, by zapłacił za swój czyn. Próbował mi powiedzieć, że on jej nie zgwałcił, ale nie chciałem słuchać. Dopiero później odkryłem prawdę.

- To był... Bernard? To on, prawda?

- Chełpił się tym przed jednym ze swych przyjaciół i dotarło to do mojego ojca. Powiedział mi tylko, że zabiłem niewinnego człowieka. Oskarżył mnie o morderstwo i wypędził. Nie zdradził, że to Bernard był winny. Dowiedziałem się o tym dopiero parę tygodni temu z papierów, które dostałem po jego śmierci. Przez te wszystkie lata dręczyłem się myślą, że niewłaściwie zrozumiałem słowa Helen.

- Postąpił paskudnie. - Współczuła Damianowi, rozumiała jego ból i poczucie winy. Roderick, choć też nie bez grzechu, nie zasłużył na śmierć, w przeciwieństwie do Bernarda, który

zhańbił i doprowadził do samobójstwa nieszczęsną Helen. - Musiałeś odchodzić od zmysłów z żalu i wyrzutów sumienia.

- Ojciec mnie nigdy nie kochał, a do Bernarda Harringtona przegrał w karty mnóstwo pieniędzy. Obwinił mnie o swoje straty.

- Jakim cudem mogłeś być za to odpowiedzialny?

- Ojciec twierdził, że czuł się w obowiązku grać z Harringtonem i pozwalał mu się oszukiwać z powodu tego, co zrobiłem. Był wściekły i winił mnie za to, że dał się wciągnąć w coś, z czym nie miałem nic wspólnego.

- Wierzysz, że twój ojciec był oszukiwany w grze?

- Nie mam pewności, ale to możliwe.

Damian opowiedział jej o incydencie, którego był świadkiem w jaskini hazardu.

- Co zamierzasz zrobić? - Popatrzyła na niego z lękiem. - Będziesz się mścił za to, co Bernard zrobił Helen i twojemu ojcu?

Dotknął jej policzka, podziwiając gładkość skóry i słodki zapach, który ją zawsze otaczał. W jego życiu były inne kobiety, ale żadna z nich nie budziła w nim takich uczuć.

- Nie przejmuj się - rzucił z uśmiechem. - Pan Harrington zostanie ukarany za inne przestępstwa niż gwałt czy szulerka. Zgromadziłem wystawione przez niego weksle, których suma znacznie przekracza wartość jego majątku. Wkrótce zostanie aresztowany za długi i osadzony w więzieniu. Jestem przekonany, że sobie na to zasłużył. Przynajmniej na to. W ten sposób chcę zamknąć przeszłość. Nie chodzi mi o osobistą zemstę, po prostu uważam, że powinien ponieść karę za swoje zbrodnie.

- Cieszę się, że nie myślisz o pojedynku - szepnęła miękko.

- Nie zniosłabym, gdybyś zginął.

- Gdybym cię nie spotkał, pewnie podjąłbym takie ryzyko  
- powiedział głosem zdławionym przez uczucie. - Ale teraz...  
- Przyciągnął ją do siebie i jeszcze raz pocałował z czułością.  
- Kiedy cię prosiłem, żebyś uciekła ze mną już teraz, mówi-  
łem pod wpływem chwilowego szaleństwa, bo desperacko cię  
pragnę, ale nie powinienem był tego robić. Bo jeśli mnie ze-  
chcesz, kochanie, to pragnę, byś została moją żoną.

Twarz Rosalyn rozświetliła się radością.

- Och, Damianie! Przecież wiesz, że tego chcę. Gotowa by-  
łam zostać twoją kochanką, ale być twoją żoną to szczęście,  
o jakim nie śmiałam nawet marzyć.

- Może będziemy musieli wyjechać na pewien czas i za-  
mieszkać za granicą. Myślę o adoptowaniu Jareda i daniu mu  
swojego nazwiska. Nie masz nic przeciwko temu? Nie boisz  
się, co inni mogą o tym pomyśleć czy powiedzieć?

- Oczywiście, że nie. - Położyła mu palce na ustach i  
uśmiechnęła się z miłością. - Bardzo go polubiłam, na pewno  
pokocham jak własne dziecko. On potrzebuje miłości, a tobie  
bardzo na nim zależy.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi, najdroższa. Jesteś  
dobrym, szlachetnym człowiekiem. Po tym, co się dziś stało,  
będę musiał gdzieś wywieźć Jareda przed ślubem twojego bra-  
ta, ale kiedy będzie bezpieczny, wrócę tu po ciebie.

- Musisz jechać od razu?

- Za kilka dni, bo Radżib jest jeszcze zbyt słaby, by wytrzy-  
mać podróż, ale kiedy tylko trochę przyjdzie do siebie, rusza-  
my. Nie wiem, czy zdołam powiadomić cię o tym, wiedz jed-  
nak, że nigdy cię nie opuszczę... chyba że każesz mi odejść.

- Miałabym kazać ci odejść, Damianie? - spytała z niepoję-  
tą wręcz miłością. - Sam w to nie wierzysz. Spotkamy się jesz-  
cze przed twoim wyjazdem?

- Jutro jest bal na cześć panny Holland, prawda? Potem będziesz zbyt zmęczona, by się ze mną spotkać, ale może następnego dnia? Po południu. Nie podoba mi się pomysł, byś wychodziła nocą z domu, szczególnie że mieszka tu Harrington.

- Jeszcze raz ją pocałował. - Obiecuj mi, że będziesz ostrożna. Jeśli cię skrzywdzi, zabiję go!

- Nie mów takich rzeczy! - Rosalyn zaśmiała się. - Nie potrzebnie się martwisz. Pokazałam mu rano pistolet. Wie, że jestem zdolna go użyć. Nie musisz się mną przejmować, Damianie. Pan Harrington nie ośmielił się mnie skrzywdzić. - Przytuliła się do niego. - Jak ja tęsknię, by już być z tobą, mój najdroższy, jak pragnę poznać słodycz twojej miłości. Pocałuj mnie ostatni raz, bo muszę już wracać.

Jej szczerłość i zmysłowość omal go nie pokonały. Jedyne poczucie honoru i rozwaga podpowiadały mu, że to ona mogłaby zapłacić za jego utratę kontroli nad sobą, i to go powstrzymało. Pragnął jej desperacko, zdawał sobie jednak sprawę, że ich plany mogą się nie powieść lub zostaną odsunięte w czasie. Nieważne, jak bardzo jej potrzebował, liczyło się tylko jej bezpieczeństwo. Musiał być silny, ponieważ miłość Rosalyn była tak naturalna, tak pełna ufności, że chętnie ofiarowałyby mu wszystko, czego by zapragnął.

- Musisz wracać - wyszeptał. - Odprowadzę cię, żebyś bezpiecznie dotarła do domu.

- Lepiej, żeby cię nikt nie zobaczył. Podejdź tylko do tamtych krzaków, Damianie. Stamtąd też możesz nade mną czuwać.

- Sheba była lepszym stróżem, niż sądziłem. Szkoda, że już jej nie masz.

- Biedna Sheba... Często sprawiała kłopoty, ale zginęła z odwagą. Gdyby nie jej poświęcenie, na pewno przybyłabym za późno. Kiedy już zaczniemy żyć normalnie, będziesz mu-

siał kupić Jaredowi psa, Damianie. On ma w sobie ogromną potrzebę miłości i opiekuńczości.

- Myślałem już o tym. - Szli, obejmując się ramionami. - Szkoda, że muszę go stąd wywieźć, ale nie mam wyboru.

- Wkrótce będziemy razem. - Pocałowała go w usta. - Nie idź dalej, kochany. Pani Jenkins śpi czujnie. Już nas widziała w ogrodzie i choć tym razem jestem przyzwoicie ubrana, wolałabym, żeby nie zobaczyła nas znowu razem, przynajmniej w tych dniach.

- Zostanę tu, dopóki nie wejdiesz do domu. - Niechętnie wypuścił ją z ramion. - A więc pojutrze o trzeciej?

- Czekaj na mnie w sadzie. Przyjdę, jak tylko będę mogła. Rosalyn pobiegła do domu, zatrzymała się jeszcze i obejrzała za siebie, zanim weszła przez francuskie okno.

Damian patrzył w ślad za nią. Był pewien, że wewnątrz domu nic jej nie groziło. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że ktoś jeszcze obserwował ją, gdy biegła przez trawnik.

Bernard Harrington ukrył się za zasłoną, kiedy Rosalyn zamykała za sobą francuskie okno. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że widział sylwetkę stojącego w cieniu krzewów mężczyzny.

Dlaczego panna Eastleigh spacerowała sama po nocy? Spotykała się z kochankiem? Jego ciekawość rosła. Może sugestia Patricii, by się z nią ożenił, miała więcej plusów, niż przypuszczał? Jej fortuna nie była zbyt wielka, ale mogła odsunąć od niego na jakiś czas widmo bankructwa, a przecież karciany pech musiał się kiedyś skończyć! Do ostatniego roku wygrywał równie często, jak tracił, nie musiał nawet zbyt często posuwać się do oszustw, choć niekiedy dochodził do wniosku, że warto zaryzykować.

Małżeństwo z panną Eastleigh pomogłoby mu również odzyskać utraconą pozycję towarzyską. Znów miałby wstęp do najlepszych domów i w niedługim czasie mógłby odzyskać przynajmniej część utraconego majątku. Myślał, że nie ma szans. Wyniosła panna Eastleigh z pogardą odrzuciłaby jego oświadczenia, ale jeśli miała kochanka, to istniała dla niego nadzieja.

Wyszłaby przecież za tego mężczyznę, gdyby to było możliwe, a więc był to zapewne człowiek żonaty, mieszkający w sąsiedztwie. Jak długo trwa ten romans? Wąskie usta Harringtona rozchyliły się w niemiłym uśmiechu. Gdyby to wyszło na jaw, wybuchłby nielichy skandal. Panna Eastleigh i jej napuszony braciszek pewnie zrobiliby wszystko, by temu zapobiec. Harrington widział, w jaki sposób na niego patrzyli, zdawał sobie sprawę, że tolerowali jego obecność tylko dlatego, że był bratem Patricii. Upokorzyłby tych pyszałków, gdyby zagroził ujawnieniem romansiku panny Eastleigh. Od tej chwili będzie miał oczy szeroko otwarte i jeśli ona jeszcze raz wyślizgnie się z domu sama, pójdzie za nią.

Nieświadoma przygotowanej na nią zasadzki, Rosalyn pobiegła do swojego pokoju. Zamknęła drzwi na klucz, czego nigdy dotychczas nie robiła, i zaczęła się rozbierać. Z głową pełną marzeń usiadła przy toalecie, żeby wyszczotkować włosy. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pełna życia, jeszcze nigdy z taką radością nie oczekiwała przyszłości.

Za dwa tygodnie będzie już po ślubie Freddiego. Goście wyjadą, a ona znowu stanie się panią samej siebie, będzie mogła robić, co zechce. Niewykluczone, że przyjdzie jej trochę poczekać na powrót Damiana, ale potem będą już razem.

Była gotowa pójść za głosem serca i zostać jego kochanką, a tymczasem Damian zaproponował jej małżeństwo. Czu-

ła się cudownie lekka i radosna, gdy podchodziła do łóżka. Zdmuchnęła stojącą na nocnym stoliczku świecę. Z uśmiechem na ustach zapadła w sen.

- Dobrze się bawisz, Beatrice? - zapytała Rosalyn, kiedy lekko zziębnięta dziewczyna podeszła do niej po odtańczeniu żywiołowej polki z jednym z sąsiadów, typowym wiejskim szlachcicem, czerwonym na twarzy pocziwcem i niezbyt wytrawnym tancerzem. - Zgrzałaś się. Poproś Freddiego, żeby wyszedł z tobą na chwilę na świeże powietrze.

- Może tak zrobię. - Beatrice rozejrzała się nerwowo po sali. - Pan Harrington poprosił mnie o następny taniec, a ja nie mam na to ochoty. Nie lubię jego dotyku, Rosalyn, ale nie wiedziałam, jak mu odmówić.

- Powiedz Freddiemu, że jesteś zmęczona. A przede wszystkim powiedz, że nie chcesz tańczyć z bratem ciotki. On cię ochroni. Poradzi sobie z tym.

- Boże, Harrington już tu idzie - szepnęła Beatrice. - O, Freddie mnie szuka! Pójdę do niego.

Rosalyn ze zmarszczonym czołem śledziła oddalającą się Beę. Co takiego zrobił jej Bernard Harrington, że w jego obecności stawała się tak nerwowa? To musiało być coś więcej, niż tylko próba pocałunku.

Może już czas, by zamieniła słówko z bratem na osobności? Po rewelacjach Damiana stało się jasne, że Harrington stanowił większe zagrożenie, niż przypuszczała. Rozsądek, a nawet obowiązek nakazywał uprzedzić Freddiego, by miał się na baczności.

- Prosiłem Beatrice o ten taniec - oświadczył Harrington, który stanął u boku Rosalyn. - Dlaczego tak nagle uciekła?

- Było jej za gorąco. Freddie zabrał ją na dwór.



- Zawsze była nerwową dziewczyną, skłoną do wzruszeń i fantazji - stwierdził z grymasem niezadowolenia na twarzy. - Pewnie całe do zamieszanie i podniecenie to dla niej za dużo.

- Możliwe, choć nie uważam jej za szczególnie nerwową. Nie bardziej niż inne panienki w jej wieku.

- Pani jest, oczywiście, kobietą bardziej światową - stwierdził z dziwnym błyskiem w oku. - Podziwiam takie kobiety, panno Eastleigh.

- Jestem starsza. - Marzyła, by wreszcie sobie poszedł i zostawił ją w spokoju. Niestety, nie wszystkie marzenia się spełniają.

- Czy mogę liczyć, że uczyni mi pani zaszczyt i ofiaruje następny taniec?

Rosalyn najchętniej by mu odmówiła, ale tak się złożyło, że akurat tego tańca nikt u niej nie zarezerwował, więc doszła do wniosku, że odmowa byłaby niegrzeczna. A ponieważ zagrało żywy taniec ludowy, mogła liczyć, że nie będzie skazana na jego towarzystwo przez cały czas.

- Dziękuję, sir - powiedziała i pozwoliła, by ujął jej dłoń.

Miał wilgotne, nieprzyjemne w dotyku dłonie, ale była w stanie to znieść, bo tylko kilka figur wymagało trzymania partnera za rękę. Po tańcu podziękował jej i odszedł w stronę biblioteki, gdzie stały stoliki do kart dla starszych gości, którzy nie mieli ochoty na tańce.

Rosalyn odetchnęła z ulgą. Teraz, kiedy nie musiała już patrzeć na pana Harringtona ani tym bardziej z nim rozmawiać, mogła wreszcie zacząć cieszyć się tym wieczorem.

- Moja droga Rosalyn. - Odwróciła się, bo u jej boku stała ciotka Susan. - Wyjątkowo korzystnie dziś wyglądasz, do twarzy ci w tej sukni. Rzadko zdarza ci się prezentować tak znakomicie. Dosłownie promieniejesz, kochanie.

- To dlatego, że jestem szczęśliwa, ciociu.

- Jesteś zakochana! - Pani Buckley spojrzała na nią przez lornion. - Wreszcie! Nawet nie wiesz, jak często o tym marzyłam. Powiedz, kto jest tym szczęściarzem? - Ze śmiechem uderzyła ją w ramię lornion na długiej rączce. - Nie, nie musisz mówić, kochanie. Jeśli się nie mylę, to pan Wrexham, a właściwie lord Marlowe, bo tak powinien być teraz nazywany. Gdzie on jest? Wskaż mi go. Nie mogę się doczekać, by go poznać.

- Damiana tu nie ma, ciociu.

- Nie ma go? Czyżbym się omyliła? - Susan pokręciła głową. - Więc dlaczego nie przyszedł na bal?

- Pani Jenkins sprzeciwia się jego obecności w tym domu w czasie, gdy ona tu mieszka. W tamtym pojedynku zginął jej młodszy brat. Trudno jej się dziwić, choć to bardzo niezręczna sytuacja i bardzo dla nas kłopotliwa. Pamiętasz, wspominałaś mi o tych dawnych plotkach?

- Oczywiście, że pamiętam. Dowiedziałam się prawdy, Rosalyn, i muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem rodzina pana Wrexhama potraktowała go wyjątkowo niesprawiedliwie. Wygnali go, choć powinni czuć się zaszczytzeni, że uwolnił świat od nikczemnika bez czci i wiary.

- Jest jeszcze gorzej, niż sądzisz. - Dreszcz przebiegł jej po plecach na wspomnienie tańca z Harringtonem. - Jak widzę, nie znasz całej historii. Dowiedziałam się prawdy dopiero wczoraj, ale nie czas teraz o tym rozmawiać.

- Tak. Dobrze, że mi przypomniałaś. - Pani Buckley zmarszczyła czoło. - Idą tu Freddie z Beatrice. To urocza dziewczyna, ale krewnymi nie może się pochwalić. Ta kobieta jest nie do zniesienia, obrzydliwie wyniosła. Za kogo ona się ma? Nie podoba mi się sposób, w jaki zwraca się do Freddiego i Beatrice.

- Przywykła narzucać swoją wolę. Mąż zostawił jej spory majątek, a matka Beatrice przed śmiercią powierzyła córkę opiece pani Jenkins, która uznała, że to jej daje prawo do kierowania jej życiem.

- Człowiek bogaty nie musi narzucać swojej woli w taki sposób. Ona jest po prostu chamką, Rosalyn. Jeśli jej maniery się nie poprawią, będę zmuszona udzielić jej lekcji.

Roześmiała się. Dobrze знаła ciotkę i wiedziała, do czego jest zdolna, gdy sytuacja tego wymaga.

-Tak się cieszę, że przyjechałaś, ciociu. Mam wreszcie w domu sojusznika, co bardzo poprawia mi humor.

- Czujesz się przez nich stłamszona, kochanie? - Zdaniem ciotki Freddie nie zachował się wobec Ros należycie. - Nie powinnaś się na to godzić, nawet dla dobra brata. Zawsze robi to, na co ma ochotę. Powinien bardziej się z tobą liczyć.

- Jestem zadowolona z tego, co się dzieje, ciociu - zapewniła Rosalyn z uśmiechem. - Kiedy zostaniemy same, będę miała dla ciebie parę dobrych nowin.

- Doprawdy? Jeżeli są one takie, na jakie liczę, to rzeczywiście dobre nowiny!

Spojrzała na Beatrice, która właśnie podeszła do niej z Freddiem. Wzięła ją za rękę i zaczęła uprzejmą pogawędkę.

- Zatańczysz ze mną, Ros? - zapytał Freddie. Zmarszczył brwi, kiedy podała mu dłoń. - Tańczyłaś wcześniej z tym całym Harringtonem. Na twoim miejscu nie robiłbym tego zbyt często. Nie lubię go, nie podoba mi się sposób, w jaki patrzy na Beę.

- Beatrice również nie chce, by przebywał w tym domu. Ona się go boi, Freddie. Nie jestem pewna dlaczego, ale się domyślam. On w bardzo... niemiły sposób spogląda na kobiety, szczególnie te młode. Skarżyła się na to nawet Sarah Jane.

- Bezczelny zuchwalec! - warknął Freddie. - Gdybym choć przez chwilę podejrzewał...

- Jestem pewna, że nie stało się nic, co mogłoby zburzyć twój spokój - zapewniła pospiesznie Rosalyn. Brat bywał bardzo wybuchowy w szczególnych okolicznościach. - Ale to człowiek podły, zdolny do najgorszego. Powinieneś pilnować, by nigdy nie został z Beą sam na sam.

- Co? - Freddie przeszył ją spojrzeniem. - Co wiesz o Harringtonie? Dlaczego nic mi wcześniej nie mówiłaś?

- Mów ciszej. Teraz nie czas na dyskusje na ten temat, Freddie. Przestań piorunować mnie wzrokiem. Nic nie mówiłam, żeby cię nie denerwować. Pani Jenkins uwielbia brata. Chciałam uniknąć kłótni i dlatego zgodziłam się z nim dzisiaj zatańczyć. Przecież wiesz, braciszku, jaka niemiła potrafi być pani Jenkins.

- Chyba nie sądzisz, że to mogłoby mnie powstrzymać? - Zauważył jej spojrzenie i zarumienił się. - Nie, źle mnie oceniasz, Ros. To całkiem inna sprawa. Gdybym był świadom... poproszę Harringtona, by opuścił ten dom.

-I doprowadzisz do spięcia z panią Jenkins? Ona może stąd wyjechać i zabrać z sobą Beatrice.

- Pani Jenkins dała mi swoją zgodę na piśmie. Gdyby teraz się wycofała, wywołałaby skandal, a już ja bym dopilnował, by wszyscy dowiedzieli się dlaczego. Wątpię, by podjęła takie ryzyko. Może wydziedziczyć Beatrice, jeśli ma ochotę, nie dbamy o to.

- Nie kłóć się z nią bez porozumienia z Beatrice, Freddie. I nie podejmuj żadnych działań dziś wieczorem, bardzo cię proszę. Chyba nie chcesz zepsuć balu na cześć swojej przyszłej żony?

- Nie... - Ochłonął wreszcie. - Jasne, że nie. Szkoda, że nie

porozmawiałaś ze mną o tym wcześniej, Ros. Przemyślę to i jutro rano pogadam z Beą.

Rosalyn nic więcej nie powiedziała. To Beatrice powinna przyznać się narzeczonemu do swych obaw, ale Freddie nawet o tym nie pomyślał. Ona nie mogła, w jego przekonaniu, zrobić nic złego, łatwiej mu było obwiniać siostrę.

Bezmyślne zachowanie brata nie po raz pierwszy sprawiło jej przykrość, ale jakie to miało znaczenie? Musiała się zdobyć na cierpliwość jeszcze przez tydzień czy dwa, a potem będzie już z człowiekiem, który liczył się z jej uczuciami.

Po raz pierwszy w życiu Rosalyn pozwoliła sobie na luksus zjedzenia śniadania w łóżku, więc minęło już południe, nim wreszcie wyłoniła się ze swej sypialni. Dom wydał jej się bardzo spokojny, jakby powoli wracał do siebie po wczorajszym zamieszaniu i rozgardiaszu.

W salonie zastała Marię, która wyjmowała z wazonów zwędłe kwiaty.

- Znowu pracujesz? - wypomniała jej z uśmiechem. - Powinnaś się porządnie wyspać, jak ja. Na pewno jesteś zmęczona. Wiele zrobiłaś, żeby wczorajszy wieczór okazał się sukcesem. Na pewno zarówno Freddie, jak i Beatrice są ci bardzo wdzięczni.

- Tak, wszystko poszło znakomicie, prawda? - Maria uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Pan Waller, to znaczy Edward i ja postanowiliśmy pobrać się w tydzień po ślubie twojego brata. To będzie bardzo skromna ceremonia, chciałybym jednak, abyś w niej uczestniczyła, jeśli oczywiście masz ochotę.

- Jeśli tylko będę mogła... Powiem ci coś, Mario, ale nie

wolno ci tego nikomu powtórzyć. Absolutnie nikomu. Daj mi słowo. - Kuzynka kiwnęła głową, a w jej oczach zapłonęła ciekawość. - Wyjeżdżam z panem Wrexhamem. Pobierzemy się, ale nie w Anglii i oczywiście po ślubie mojego brata. Damian chce najpierw znaleźć bezpieczną kryjówkę dla Jareda, a potem po mnie wróci.

Spodziewała się, że Maria będzie zaszokowana, ale kuzynka zaskoczyła ją, bo serdecznie pocałowała ją w policzek.

- Myślałam, że coś z tego będzie, kochanie. Od dawna nie byłaś już taka szczęśliwa. Niezmiernie się cieszę i życzę ci szczęścia. Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie. Napiszysz do mnie od czasu do czasu, prawda?

- Oczywiście. Jesteś moją przyjaciółką, Mario. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. - Pocałowała kuzynkę. - Widziałaś gdzie Freddiego?

- Wyszedł z domu przed godziną. Chyba dzieje się coś nie tak, bo był zupełnie niepodobny do siebie. Po prostu wściekły. Zapytałam, co się stało, ale odburknął, że to nie mój interes. Zrobiło mi się przykro, choć na pewno nie chciał być niegrzeczny.

- Ojej - zaniepokoiła się Rosalyn, ale prawdziwe podejrzenie zachowała dla siebie. - Wiem, że ma teraz poważne sprawy na głowie, nie powinien jednak być wobec ciebie nieuprzejmy.

- Właściwie nie był niegrzeczny - pospieszyła z zapewnieniem Maria. - A przynajmniej ja nie poczułam się obrażona. To była tylko chwila nieuwagi, co zdarza się sir Frederickowi... sama wiesz, kochanie. Przejęłam się tym, że coś go wyraźnie wytrąciło z równowagi. Mam nadzieję, że nie pokłócił się z Beatrice.

- Na pewno nie złościł się na ciebie - tłumaczyła brata Ro-

salyn. - Pewnie chodzi o to całe zamieszanie ze ślubem. Mężczyźni za tym nie przepadają.

- Może i tak... - Maria podniosła wzrok, bo do pokoju wpadła gospodyni. - Potrzebuje mnie pani, pani Simmons?

- Chodzi o panią Jenkins - odparła gospodyni, krzywiąc się z niechęcią. - Rozchorowała się w nocy, ma bóle i wymioty. Mówi, że nie chce lekarza, ale wygląda naprawdę marnie, pan-no Eastleigh. Może powinna pani do niej zajrzeć?

- Dobrze, pójde do niej od razu - zdecydowała Rosalyn.

Pobiegła na górę i doznała prawdziwego wstrząsu. Pani Jenkins miała fioletowe sińce pod podejrzenie błyszczącymi oczami. Niewątpliwie była poważnie chora. Znacznie ciężiej niż w Londynie.

- Przepraszam, że sprawiam kłopoty - powiedziała tak słabym głosem, że Rosalyn przeraziła się nie na żarty - Zdarzają mi się czasem takie ataki. Mam na to proszki, ale ostatnio przestały działać. Wydaje mi się nawet, że zaczęły mi szkodzić.

- Musi pani odpocząć. - Rosalyn usiadła na brzegu łóżka i zaczęła uspokajająco gładzić wilgotną i rozpaloną dłoń chorej.

- Nie sprawia nam pani żadnych kłopotów. Przykro mi, że czuje się pani aż tak źle.

- Jest pani... wspaniałomyślna. - Pani Jenkins spuściła wzrok, jakby nie mogła znieść spojrzenia Rosalyn. - Przepraszam. .. - Przycisnęła do ust chusteczkę. - Proszę o wybaczenie. Znów mi niedobrze.

Rosalyn podsunęła jej miskę i przytrzymała przy ustach. Przeczekała wymioty, potem podała pani Jenkins wilgotną ściereczkę do otarcia twarzy.

- Zostawię teraz panią, by pani odpoczęła, madame. Proszę

wypić trochę wody, to zawsze pomaga, myślę jednak, że przydałby się doktor, może poda pani skuteczniejsze leki.

Pani Jenkins była zbyt rozstrojona, by protestować. Kobieta, do której odnosiła się jak do wroga, którą obrażała i straszyla, okazała jej więcej współczucia, niż mogła oczekiwać. Była zakłopotana i zawstydzona. Odwróciła głowę, bo jej oczy wypełniły się łzami.

Przez całe życie Patricia Jenkins kochała tylko jednego człowieka, swojego brata Rodericka. Starła się pokochać także Bernarda. Bóg jeden wie, ile jego długów spłaciła, nie potrafiła jednak obdarzyć go takim samym uczuciem. Śmierć Rodericka w tak młodym wieku omal jej nie zabiła. Właśnie wtedy stała się zgorzkniała i niechętna ludziom.

Rosalyn oczywiście nie znała jej myśli. Po prostu impulsywnie poczuła współczucie do ciężko chorej osoby. Nie uważała się za szczególnie dobrą, ale w takiej chwili myślała wyłącznie o wygodzie gościa.

Stajenny został wysłany po doktora. Pani Simmons otrzymała polecenie troskliwego zajęcia się chorą, a Beatrice radę, by się nie martwiła.

- Lepiej, żebyś teraz nie wchodziła do pani Jenkins - poradziła jej. - Nie sądzę, by choroba twojej ciotki była zaraźliwa, ale lepiej uważać. Nie chciałabyś przecież złapać infekcji tuż przed ślubem.

- Nie, oczywiście. - Beatrice była rozstrojona i blada, na jej twarzy widniały ślady łez. - Widziałaś Freddiego? Bardzo się na mnie rozgniewał. Szukałam go, ale nigdzie nie mogę go znaleźć. Nie ma go ani w domu, ani w ogrodzie. Dokąd mógł pójść?

- Maria powiedziała, że wyszedł dość dawno. Pewnie postanowił pojeździć konno. - Rosalyn zastanawiała się, co było



przyczyną tak głębokiego stresu Bei. - Mówiła, że był w złym humorze, chyba nie pokłócił się z tobą?

- On... zapytał mnie o Bernarda - wyznała Beatrice słabym głosem, łzy napłynęły jej do oczu. - Nie podobał mu się sposób, w jaki Bernard na mnie patrzył... więc mu powiedziałam. - Wzięła drżący oddech. - Powiedziałam mu wszystko, Rosalyn. To było okropne! Czułam się strasznie zażenowana, a Freddie wpadł w furję. Krzyczał na mnie. Nigdy dotąd na mnie nie krzyczał. Twierdził, że powinnam od razu mu wszystko wyznać i że nie zamierza tolerować takiej podłej kreatury we własnym domu.

- Obawiam się, że to moja wina - przyznała z żalem Rosalyn. - Wczoraj poczułam się w obowiązku uświadomić mu, że w obecności pana Harringtona czujesz się zdenerwowana, ale nie wyjaśniłam dlaczego. Zresztą sama tego nie wiem, bo przecież ni gdy nie zdradziłaś mi, co ci takiego zrobił.

Beatrice powiedziała jej to szeptem, w potwornym zawstydzeniu. Słowa wydostawały się z gardła opornie, z przerwami, sprawiały jej prawdziwy ból.

Po wysłuchaniu tej historii Rosalyn przestała się dziwić, że brat wpadł we wściekłość; to było znacznie gorsze, niż mogła się spodziewać. Jak pan Harrington mógł tak podle potraktować młodą dziewczynę, która gościła w domu jego siostry? Czyż jednak innej nie potraktował jeszcze gorzej?

- Rzeczywiście wszedł do twojej sypialni i próbował położyć się z tobą do łóżka? Dotykał cię? Och, Beatrice, kochanie! Musiałaś być kompletnie zaszokowana. Co zrobiłaś?

- Zawołałam pokojówkę. Wcześniej poprosiłam ją, żeby spała w mojej garderobie, bo bałam się, że on mógłby... - Beatrice zaczerwieniła się ze wstydu. - Alice wpadła i uderzyła go szczotką do włosów. Wtedy uciekł, ale następnego dnia

odgrażał się, że powie cioci Patricii, iż próbowałam go uwieść. Mówił, że ona uwierzy jemu, a nie mnie i chyba... chyba tak by właśnie było.

- Moja droga dziewczynko - szepnęła Rosalyn. - Z pewnością nie jest tak zaślepiona czy raczej głupia. To było dla ciebie okropne przeżycie. Nic dziwnego, że nie możesz znieść jego obecności.

- Byłam zbyt zawstydzona, by o tym mówić - wyznała Beatrice z łkaniem. - Wydawało mi się, że musiałam zrobić coś złego, choć nie miałam pojęcia co. Przysięgam, że nigdy nie uczyniłam nic, by go zachęcić. To wisi nad mną jak czarna chmura. A teraz w dodatku Freddie jest na mnie zły.

- Pozwól mu się z tym oswoić. Nie zrobiłaś nic, czego mogłabyś się wstydzić. Freddie wpadł w złość, bo nieświadomie pozwolił, byś znowu została wystawiona na niebezpieczeństwo, i czuje się winny. Nie mam pojęcia, dokąd pojechał, ale kiedy wróci, powiem mu coś, o czym powinien wiedzieć.

- Dobry Boże! Trudno mi w to uwierzyć. - Głęboko poruszony Freddie patrzył na Damiana, który siedział po drugiej stronie stołu w bibliotece Orford Hall. Historia Beatrice wstrząsnęła nim i doprowadziła do furii. Bał się, że w takim gniewie mógłby zrobić coś, czego by później żałował, więc wypadł z domu i szaleńczym galopem pognął do dworu Orfordów w przekonaniu, że znajdzie tam człowieka, który będzie w stanie rozwiązać jego wątpliwości. - Mówisz, że wpuściłem pod swój dach gwałciciela?! I nikt mi o tym nie powiedział! - Uderzył pięścią w stół. - To potworne! Miałem prawo wiedzieć! Rosalyn nie powinna była tego przede mną ukrywać.

- Przestań obwiniać siostrę! - zachnął się Damian. - Rosalyn dowiedziała się o tym dopiero w przededniu bal. Także

była wstrząśnięta i strapiona. Pewnie chciała ci wszystko powiedzieć, ale nie była pewna twojej reakcji.

-Co masz na myśli? Nie była pewna mojej reakcji... - Freddie wpatrywał się w Damiana, a gniew i wstyd walczyły w nim o lepsze. - Wyobrażasz sobie, że mógłbym to zignorować dla świętego spokoju? Do licha, Wrexham! Nie jestem takim głupcem. Tego nie można zamieść pod dywan. To zbyt poważne, zbyt niebezpieczne. Zresztą, niezależnie od tego, co zrobi ciotka, Beatrice wyjdzie za mnie, nawet gdybyśmy musieli uciec. Zapewniała mnie o tym wielokrotnie.

- Miło mi to słyszeć. - Damian uśmiechnął się lekko. - Bo gdybyś nadal tolerował takie zachowanie pani Jenkins, to bardzo szybko wasze małżeństwo przemieniłoby się w piekło.

- Przejmowałem się spadkiem Beatrice - przyznał zawstydzony Freddie. - Ale jej wcale na nim nie zależy, więc mnie również. Chcę tylko, żeby pani Jenkins zostawiła nas w spokoju. Niech mnie licho, jeśli zgodzę się, by jej brat spędził następną noc pod moim dachem! Jak pomyślę, że Beatrice była zmuszona okazywać mu uprzejmość! Mówię ci, Wrexham, żołądek mi się wywraca! Ten człowiek nie zasługuje na życie. Najchętniej obiłbym go szpicrutą.

- Zostanie ukarany, możesz być spokojny, choć raczej nie w sugerowany przez ciebie sposób.

- Nic mnie nie obchodzi, co się z nim stanie, byle wyniósł się z mojego domu!

- Wyznam, że i ja będę spokojniejszy, kiedy wyjedzie. Mam spotkać się z Rosalyn za mniej więcej godzinę. Potem nie zobaczymy się przez kilka dni. Atak na Jareda sprawił, że muszę szybko znaleźć mu inne lokum, ale potem wrócę tu po twoją siostrę. Pobierzemy się, ale dopiero kiedy dotrzemy do nowego miejsca zamieszkania. Daję ci słowo, że mam uczciwe za-

miary i że dołożę wszelkich starań, by zapewnić jej wygodne i szczęśliwe życie.

- A gdzie będziecie mieszkali? - Freddie spojrzął na niego sceptycznie. - Pewnie gdzieś za granicą? Dlaczego nie pobierzecie się tutaj, nie urządzicie prawdziwego ślubu w obecności wszystkich przyjaciół mojej siostry? Tak będzie przyzwoicie, Wrexham. Nie możesz żądać, by Rosalyn zrezygnowała dla ciebie ze wszystkiego, co zna i kocha.

Damian wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Rosalyn potrafi sama podejmować decyzje, Eastleigh. Mam obowiązki względem Jareda i może upłynąć ładnych parę lat, zanim będę mógł wrócić na stałe do Anglii. Nie sądzę, by odpowiadało jej tak długie oczekiwanie. Zresztą wyznała mi, że często marzyła o podróżach.

-No, jeśli ona tego pragnie... - Freddie niechętnie wyciągnął do niego rękę - ..to oczywiście macie moje błogosławieństwo. Ale niezbyt mi się to podoba. Mówię otwarcie, że nie o takim losie dla siostry marzyłem. Jej miejsce jest wśród przyjaciół i rodziny.

Damian uścisnął jego dłoń. Sir Frederick miał, oczywiście, rację. Rosalyn zasługiwała na więcej, niż mógł jej ofiarować, ale wierzył, że potrafi jej dać szczęście. Czy to wystarczy? Czas pokaże.

## Rozdział dziewiąty

Rosalyn została zatrzymana przez ciotkę w momencie, gdy miała wysliznąć się z domu, by iść na spotkanie z Damianem. Pani Buckley była w doskonałej formie i przez dłuższy czas gadała jak najęta, było już kwadrans po trzeciej, kiedy Rosalyn dotarła wreszcie do sadu. Spieszyła się, żeby Damian nie odszedł, więc nie mogła złapać tchu. Kiedy dostrzegła go opartego o pień jabłoni, serce jej szybciej zabiło. Był taki przystojny, a ona tak mocno go pokochała!

- Spóźniłam się - szepnęła. Bez słowa ujął jej dłonie, potem pocałował w usta. Spojrzała na niego z uśmiechem. - Wybaczysz mi? Ciocia miała mi tyle do powiedzenia, że bałam się, iż już nigdy się nie wyrwę.

- Nie byłaś pewna, czy będę czekać? - Spojrzał na nią z lekką kpina. - Myślałeś, że z powodu kilkuminutowego spóźnienia wpadnę w złość i pójdę sobie, nie zobaczywszy się z tobą?

- Wcale tak nie myślałam. Bałam się tylko, że masz mało czasu, bo gdzieś się śpieszysz. - Roześmiała się. - Och, tak naprawdę bardzo chciałam cię zobaczyć. Nie, nie żartuj ze mnie! Przecież wiesz, że za tobą tęskniłam.

- Nie bardziej niż ja. - Popatrzył jej w oczy tak głęboko,

jakby chciał zajrzeć w najgłębsze zakamarki jej duszy. - To nasze ostatnie spotkanie przed kilkudniową przerwą. Żałuję, że muszę cię zostawić, kochanie, ale nie mam innego wyjścia. Jared zaczyna się niecierpliwić, trudno mu się dziwić, bo jest uwięziony w domu.

- Jasne. Przede wszystkim musisz myśleć o jego bezpieczeństwie. Zamknięcie w domu musi być dla niego nie do zniesienia, szczególnie przy tak pięknej pogodzie. Dokąd go zabierasz?

- Na razie do Francji, a za parę tygodni wszyscy razem pojedziemy do Hiszpanii. Jared będzie szczęśliwy w cieplejszym klimacie. Zresztą po latach spędzonych w Indiach ja też przywykłem do upału.

- A ja zawsze kochałam słońce - szepnęła w odpowiedzi na jego nieme pytanie. - Jakie to ekscytujące, Damianie! Zobaczę miejsca, o których tylko czytałam, poznam nowe kultury i nowych ludzi. Całe życie marzyłam o podróżach.

- Jestem pewien, że ci się tam spodoba. Nie jesteś bladą angielską różyczką, która wędnie w upale, tylko egzotycznym kwiatem, który najbardziej lubi rosnać dziko.

- Jak ty mnie dobrze znasz! Może aż za dobrze. Nigdy nie zdołam niczego przed tobą ukryć.

Roześmiała się, wsunęła się w jego ramiona i uniosła twarz do pocałunku. Nigdy dotąd nie zaznała takiej słodczy, takiego szczęścia.

- Tak bardzo cię pragnę, kochana - szepnął w jej pachnące włosy. - Zawsze będę cię kochał. Zawsze będę cię pragnął i potrzebował.

- Marzę, by należeć do ciebie. - Czuła się częścią Damiana. Bez niego zwiędnie i uschnie jak winorośl na pustyni. - Kiedy wrócisz?

- Podróż w obie strony nie zajmie mi więcej niż tydzień. Wypatruj mnie w ogrodzie w przeddzień ślubu brata. Jeśli nie przyjdę, to zjawię się następnej nocy, w ostateczności jeszcze następnej.

- Kiedykolwiek przyjedziesz, będę gotowa. Po ślubie Freddiego już nic nie będzie mnie tu trzymało. Wyjadę, kiedy tylko zechcesz.

- Dla mnie nigdy nie będzie dość szybko. - Przyciągnął ją bliżej. - Uważaj na siebie, moja najdroższa. I pamiętaj, że cię kocham. Wierzę, że będziemy razem szczęśliwi. - Znowu ją pocałował z wielką czułością i namiętnością. - Musisz już iść, Rosalyn. Będą cię szukać, a ja mam jeszcze sporo do zrobienia, bo chcę wieczorem wyjechać.

- Zamierzasz podróżować nocą?

- Jared i ja wyruszymy konno po zachodzie słońca. Radżib i Nessa pojedą za nami rano powozem. Mam nadzieję, że w ten sposób zdołamy się wymknąć tym, którzy mogliby próbować skrzywdzić Jareda.

- Myślisz, że ci dwaj bandyci nadal są w pobliżu i czekają na następną okazję?

- Nie, wydaje mi się, że zostali spłoszeni, ale ich miejsce mogli zająć inni. - Uśmiechnął się na widok jej zaniepokojonej miny. - Nie martw się, kochanie. Obiecuję, że nic nam się nie stanie. Jared został zaatakowany, bo mnie nie było przy nim. W Indiach dałem się poznać jako znakomity strzelec. Ta umiejętność była bardzo wysoko ceniona przez wieśniaków, których często atakują tygrysy. Nie masz powodu obawiać się o moje bezpieczeństwo.

- Oczywiście, że nie. - Musnęła jego usta w pożegnalnym pocałunku. - Muszę już iść, ale będę o tobie myśleć, dopóki znów się nie spotkamy.

Zabrzmiął śpiew kosa. Rosalyn zatrzymała się, przez chwilę patrzyła na ptaszka, po czym z determinacją ruszyła przed siebie.

Na skraju sadu zatrzymała się jeszcze, by pomachać Damianowi na pożegnanie. Stał w tym samym miejscu, w którym się rozstali, wpatrzony w nią, jakby nie mógł odejść, choć już się pożegnali.

Znała tę nieodpartą tęsknotę, zapragnęła pobiec do niego i powiedzieć, że nic jej nie obchodzi ślub brata, że pragnie wyjechać razem z nim. Teraz, zaraz. Opanowała ten impuls, zwymyślała się w duchu od idiotek. Za tydzień Damian po nią wróci. Nie może złamać obietnicy, jaką dała Freddiemu, nie wolno jej zrobić nic, co mogłoby zepsuć dzień ślubu. Świadczyłoby to o skrajnym egoizmie i zaciążyłoby na jej sumieniu. Musi się zdobyć na jeszcze odrobinę cierpliwości.

Zatopiona w myślach, szła wolno w szpalerze krzewów, okalających trawnik pod oknami jej saloniku. Jeśli dotrze do domu niepostrzeżenie, może zdoła wygospodarować jeszcze parę minut dla siebie... parę minut na marzenia, na rozmyślanie o Damianie i wspomnianie, jak się czuła w jego ramionach. Na przewidywanie, jak to będzie, kiedy zostaną małżeństwem.

Była tak zaprzątnięta planami na przyszłość, że nie zauważyła Bernarda Harringtona, dopóki nie stanął przed nią na drodze.

- O, pan Harrington! - zawołała trochę wystraszona. - Skąd się pan tu wziął?

Jego oczy miały taki dziwny wyraz... Poczowała się niepewnie. Dlaczego był taki zadowolony z siebie?

- Śledziłem cię! - oświadczył z szyderczym uśmiechem. - Obserwowałem twoją schadzke z kochankiem w sadzie.



- Pan mnie szpiegował! - Rosalyn była wstrząśnięta, poczucie niepewności nasiliło się, gdy spojrzała w jego ciemne, bezlitosne oczy. Był złem wcielonym! - To wyjątkowa imperytynencja, sir. Co dało panu prawo do śledzenia mnie?

- Widziałem cię którejs nocy w ogrodzie. Domyśliłem się, że musisz mieć kochanka, więc gdy dziś zauważyłem, że wymykasz się z domu, poszedłem za tobą. Widziałem, jak się z nim spotkałaś. Kto to jest... mąż twojej sąsiadki? Ależ z ciebie fałszywa, mała dziwka! Wyniosła panna Eastleigh rzuca się w ramiona mężczyzny jak byle suka z cieczką!

- Jak pan śmie! - Z całej siły uderzyła go w twarz. - Jak pan śmie mnie obrażać?

- Dziewka! - Złapał ją za nadgarstek. - Nauczę cię szacunku do lepszych od ciebie! Patrzyłaś na mnie z góry. Widziałem w twoich oczach odrazę, jakbym był kimś gorszym, jakbym był jakimś łajnem. A w tym samym czasie wyrywałaś się, by lecieć do gacha!

- Nie miał pan prawa za mną iść! - krzyknęła Rosalyn, szarpiąc się gwałtownie. - Proszę zabrać tę rękę, sir. Nie pana sprawa, co robię.

- To jest moja sprawa - wysyczał i jeszcze mocniej zacisnął rękę na jej nadgarstku. Szarpnięciem odwrócił Rosalyn tak, że znalazła się tyłem do niego. Krzyknęła, kiedy boleśnie wykręcił jej rękę i podniósł aż do łopatki. Wówczas drugim ramieniem otoczył ją w pasie i wprost do ucha bluznął jej swe nikczemne pogrożki. - Uznałem, że będziesz dla mnie doskonałą żoną. Lubię kobiety z charakterem, no i potrzebuję twojego majątku, moja droga. Wyjdiesz za mnie, to nie ujawnię twojej hańby. Odtrącisz mnie, to cię zniszczę.

- Wolałabym poślubić węża - rzuciła Rosalyn i z całej siły kopnęła go w goleń. Zaklął i puścił ją. Odskoczyła od niego,

ale nie uciekła. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości i spojrzała mu w twarz płonącymi gniewem oczyma. - Nic sobie nie robię z pańskiego szantażu i pogrózek. Zaraz po ślubie Freddiego wychodzę za mąż. Damian przyjedzie po mnie i...

- Damian... - Jego oczy zwięziły się w szparki. - Mówi pani o Wrexhamie... tym mordercy? Patricia powiedziała mi, że spotkała go tu, w tym domu... że go pani zaprosiła.

- Damian nie jest mordercą! - krzyknęła Rosalyn. - To pan jest mordercą własnego brata. To pan zgwałcił tamtą dziewczynę i to pan doprowadził ją do samobójstwa, bo nie mogła znieść wstydu z powodu tego, co jej pan zrobił. Pański brat ją porwał, ale to pan popchnął go do tego haniebnego czynu. Damian zastrzelił Rodericka w uczciwym pojedynku, ale to pan powinien był tamtego dnia umrzeć. Wolał pan jednak, by brat zginął za pana, niż przyznać się do winy. To pan zabił Rodericka i ma jego krew na rękach.

- Co o tym wiesz? - Głos Harringtona zabrzmiał jak zgrzyt. - Jakie kłamstwa rozpowszechniasz, ty suko?!

- To nie są kłamstwa. - Dumnie uniosła głowę. - Zostanie pan ukarany za swoje zbrodnie, sir. Jeśli nie za gwałt, to za... - Urwała, bo Harrington rzucił się ku niej z furią na twarzy. - Kiedy powiem bratu, że mnie pan zaatakował, natychmiast wyrzuci pana z domu. Nie jest pan tutaj mile widziany. Freddie już wie, że próbował pan dobierać się do Beatrice, że wszedł pan do jej pokoju i chciał położyć się z nią do łóżka. A kiedy pokojówka pana wyrzuciła, zagroził biednej dziewczynie, że wmówi siostrze, iż Beatrice pana zachęcała. Postanowił ją pan zastraszyć, żeby nie odważyła się pana oskarżyć. Jest pan podły, sir. Każda przyzwoita kobieta odwróci się od pana ze wstrętem.

Bernard zawahał się, patrzył na nią sfrustrowany. Jak śmia-

ła go obrażać? Miał ochotę złapać tę sukę za gardło i skrócić jej kark, ale jej krzyk mógłby zaalarmować wszystkich w domu. Poza tym czekały go w tej chwili ważniejsze problemy. Kiedy prawnicy zaczęli go naciskać w sprawie spłaty długów, zorientował się, że ma wroga, ale aż do tej chwili nie domyślał się, kto to może być. Musiał zdobyć pewność, w czyich rękach znajdowały się weksle, przez które mógł trafić do więzienia dla dłużników, i nauczyć tego człowieka, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Rozprawi się z tą kobietą, kiedy już to załatwi.

- Pani brat nie musi wypraszać mnie z domu - warknął z pogardą. - Nie mogę się już doczekać, by strząsnąć pył z tego zakazanego miejsca. Bądź przeklęta wraz ze swym braciszkiem, Panno Wyniosła! Przyjechałem tu na żądanie Patricii, ale wycisnąłem z niej tyle, że nie warto było fatygować się z Londynu. Tak kurczowo ściska w garści te swoje cholerne pieniądze, że pewnie nie powącham ani pensa do jej śmierci. A jeśli o mnie chodzi, to im szybciej, tym lepiej.

I odszedł wściekły. Niech szlag trafi tę sukę i cholerną siostrzyczkę! Patricia mogła mu dać te pieniądze, nie zbiedniałaby, ale była okropnym dusigroszem. Musiał trochę ochłonać przed powrotem do domu, bo nie ręczył za siebie.

Rosalyn stała jeszcze parę chwil po jego odejściu. Trzęsła się jak osika. Kiedy Harrington unieruchomił ją i trzymał przy sobie, wpadła w panikę na myśl, co zamierzał zrobić. Był tak silny, że bez trudu mógł ją zabić. Dotąd czuła na nadgarstku uścisk jego stalowych palców. Niewątpliwie będzie miała siniaki na dowód jego brutalności.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i podniosła wzrok na okna domu. Zauważyła, że ktoś się tam poruszył. Ktoś ją obserwował, a ponieważ okno było uchylone, mógł również słyszeć każde wypowiedziane przez nich słowo.

To było okno na podeście schodów, więc mógł to być każdy: pokojówka, Maria, Freddie... Rosalyn wbiegła szybko do domu. Za wszelką cenę chciała powstrzymać tego kogoś, by nie rozniósł wieści o nieszczęsnym incydencie. Kiedy jednak dotarła na podest, nikogo tam nie zastała.

Nie mogła już zrobić nic, by wiadomość o zajściu w ogrodzie nie dotarła do uszu pani Jenkins. Kto to mógł być? Rosalyn rozejrzała się dokoła. Minęło kilka sekund, nim tu dotarła. Osoba, która obserwowała jej kłótnię z Harringtonem, miała mnóstwo czasu, by spokojnie zejść na dół albo schronić się w którymś z pokojów.

Co za pech! Gdyby tylko zdążyła... Teraz mogła jedynie modlić się, by ta osoba wykazała się zdrowym rozsądkiem i zatrzymała dla siebie to, co widziała i słyszała.

Rosalyn westchnęła. Woląла nawet nie myśleć, jak zareagowałaby pani Jenkins na wiadomość o tym przykrym incydencie. Oczywiście ją obarczyłaby odpowiedzialnością. Albo Damiana. Beatrice mówiła o przywiązaniu ciotki do brata, więc trudno przypuszczać, by pani Jenkins uwierzyła Rosalyn, nawet gdyby się dowiedziała o okrutnych słowach pana Harringtona pod adresem siostry. A to mogło oznaczać kłopoty. Nawet odwołanie ślubu, czym już przecież groziła.

Rosalyn przypomniała sobie o chorobie pani Jenkins i postanowiła zajrzeć do niej, żeby sprawdzić, jak się czuje. Przejrzała się w wiszącym na ścianie lustrze, wygładziła suknię i zapukała do drzwi.

Minęło parę sekund i już miała odejść, gdy drzwi uchyliły się. Ciotka Bei była ubrana i choć jej skóra miała jeszcze lekko żółtawy odcień, wyglądała lepiej.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam - wyjąkała Rosalyn, stropiona gniewnym wyrazem oczu pani Jenkins, która była

wyraźnie czymś poruszona. - Chciałam tylko sprawdzić, jak się pani czuje, i zapytać, czy nie potrzebuje pani czegoś. Pani Jenkins obrzuciła ją zimnym, dumnym spojrzeniem.

- Dziękuję, nie. Czuję się znacznie lepiej, panno Eastleigh. Chyba będę mogła wkrótce zejść na dół.

- Bardzo się cieszę. Czy doktor znalazł przyczynę tych ataków?

- Powiedział, że proszki, które brałam na niestrawność, mają dziwny zapach i mogły mi szkodzić - odparła z dziwnym wyrazem oczu. - Zabrał je i dał mi inne lekarstwo.

- Mam nadzieję, że pani pomoże. Byłoby pani przykro, gdyby z powodu choroby nie mogła pani uczestniczyć w weselu Beatrice.

- Tego może się pani nie obawiać. Nie dopuszczę, by coś stało Beatrice na drodze do szczęścia. - Zauważyła zaskoczenie na twarzy Rosalyn i uśmiechnęła się. - Pewnie będzie pani trudno w to uwierzyć, panno Eastleigh, ale kocham siostrzenicę mego męża, niezależnie od tego, co ona czy ktokolwiek inny mógłby o tym sądzić.

-Jestem pewna... Jestem pewna, że ona o tym wie, madame.

- Proszę nie kłamać - burknęła pani Jenkins. - Już zaczęłam panią cenić za mówienie prawdy bez ogródek, panno Eastleigh. Wiem, że mam trudny charakter, ale naprawdę kocham Beatrice i nie zrobię nic, co mogłoby wyrządzić jej krzywdę. Znajdzie spokój i szczęście u boku pani brata, a tego właśnie dla niej pragnę.

Rosalyn uśmiechnęła się. Uznała, że lepiej przerwać rozmowę w tym momencie. Powtórzyła tylko, że życzy pani Jenkins szybkiego powrotu do zdrowia, i zapowiedziała, że zaraz podadzą herbatę w salonie.

- Będzie nam wszystkim miło, jeśli zechce pani do nas dołączyć, madame.

- Dziękuję. Może trochę później... chwilowo mam coś do zrobienia.

Rosalyn w zamyśleniu zeszła do salonu. Co tak odmieniło panią Jenkins? Kiedy otworzyła drzwi, była wyraźnie wściekła, ale w czasie rozmowy złagodniała i zaczęła się odnosić do Rosalyn niemal przyjaźnie. Jej obietnica, że nie zrobi nic, by zepsuć ślub Beatrice, była krzepiąca.

Przynajmniej jedno stało się jasne: pani Jenkins nie mogła być świadkiem kłótni Rosalyn z Harringtonem. Nie, to musiał być kto inny. Ale kto? Rosalyn zmarszczyła brwi. Ktoś ze służby czy Maria? Może to bez znaczenia...

Westchnęła na wspomnienie krótkiego spotkania z Damianem. Jakże pragnęła wyjechać z nim już dzisiaj!

Nagle ogarnął ją chłód, przeczucie jakiegoś nieszczęścia.

No nie! To naprawdę bez sensu! Nic złego się nie stanie. Damian wyjedzie tylko na kilka dni, a potem już przez resztę życia będą razem.

Następnego dnia Rosalyn obudziła się bardzo wczesnie. Zerwała się pod wrażeniem snu, który był tak plastyczny i żywy, że zapamiętała wszystko z taką dokładnością jak realne wydarzenia. Błądziła we mgle, biegła, szukała... Damiana.

Jej policzki były mokre od łez. We śnie widziała go, ale nie mogła do niego dotrzeć. Był gdzieś w tej mgle, wyraźnie czuła jego obecność, wiedziała, że wystarczy wyciągnąć rękę, by go dotknąć, ale coś ją trzymało, odciągało do tyłu. Niewidzialne pęta... pęta obowiązku.

Podeszła do okna. Spojrzała na ogród skąpany w cudow-

nej porannej mgle. Przeszył ją dreszcz. Tęskniła za Damianem, żałowała, że nie odeszła z nim, kiedy o to prosił.

- Damianie, wróć do mnie, najdroższy - wyszeptała. - Tak cię kocham i tak strasznie się boję, że cię stracę.

Co za idiotyzm! Rosalyn roześmiała się z własnych lęków, kiedy słońce zaczęło rozpraszać poranną mgłę. To był tylko sen. Nic strasznego się nie stanie, nic nie zdoła jej powstrzymać przed wyjazdem z ukochanym.

Pan Harrington najpewniej opuścił Lyston House, nie zamieniwszy z nikim ani słowa, może z wyjątkiem siostry. Kiedy nie zszedł na obiad, Rosalyn przyjęła za pewnik, że zniknął, jak zamierzał. Beatrice i Sarah wyznały jej na osobności, że cieszą się z jego wyjazdu, a Freddie odsunął się od wszystkich poza narzeczoną.

Pani Jenkins nie rozmawiała z nikim o wyjeździe brata, więc jeśli nawet się z nią pożegnał, to najwyraźniej nie powiedział jej o kłótni z Rosalyn. Pani Jenkins dochodziła do siebie w zadziwiający sposób, zarówno pod względem zdrowia, jak i zachowania. Starła się być miła wobec Rosalyn i jej ciotki.

- Można by pomyśleć, że to nie ta sama kobieta - zauważyła pani Buckley, kiedy została z Rosalyn sama. - Jak sądzisz, co mogło spowodować taką zmianę?

- Nie mam pojęcia. Ale bardzo się z tego cieszę przez wzgląd na Beatrice. I na Freddiego, oczywiście.

Następny dzień upłynął tak przyjemnie, że Rosalyn zapomniała o lęku przed zdemaskowaniem i cieszyła się przygotowaniem do ślubu. Jedyna awantura wynikła, kiedy ktoś z podwładnych pani Simmons rozdrażnił monsieur Maurice'a. Mistrz sztuki kucharskiej wpadł w furję i zaczął rzucać mie-

dzianymi patelniami w pechową podkuchenną, która śmiała go urazić. Na szczęście nie trafił, więc szczęśliwie skończyło się na kilku łzach.

Jednakże groźba odejścia monsieur Maurice'a wprawiła Freddiego w panikę, bo nie wyobrażał sobie przyjęcia weselnego bez swego mistrza rondla. Rosalyn została wezwana na pomoc i po kilku minutach ugłaskiwania nastroszonych piórek i opatrywania zranionej dumy zdołała przywrócić uśmiech na twarz Francuza.

- Pani mnie rozumie - stwierdził, kładąc rękę na sercu. - Pani wie, ile szef kuchni musi wycierpieć w imię swej sztuki. Jeśli ta głupia kobieta nie pojmuje, że cebula ma być siekana właśnie w ten sposób, to jest pozbawiona duszy.

- To młoda i głupia dziewczyna - oświadczyła Rosalyn, żeby go ułagodzić. - Pan, człowiek o tyle mądrzejszy, z pewnością znajdzie w sercu przebaczenie.

- Taka piękna i taka mądra, - Z galanterią ucałował jej dłoń. - Gdyby pani nie mieszkała na wsi, mademoiselle Eastleigh, cóż to by była za przyjemność pracować u pani.

- Ale sir Frederick byłby kompletnie załamany, gdyby pana stracił. - Uśmiechnęła się w duchu na myśl o tym, jak zareagowałby brat na wieść, że jego szef kuchni postanowił przenieść się do niej. - Nie wolno panu nawet myśleć o rejteradzie. Poza tym u niego będzie pan miał znacznie więcej okazji do doskonalenia swej sztuki niż u mnie. Nie, tutaj pański geniusz by się marnował.

Monsieur Maurice skłonił głowę, uznając mądrość tej argumentacji, co Rosalyn wykorzystwała, by uciec. Niezależnie o tego, jak wspaniale gotował, nie wytrzymałaby jego humorów. Na osobności przeprosiła podkuchenną i dała jej wolne popołudnie, żeby dziewczyna otrząsnęła się z przerażenia.



- Powinnaś być panią we własnym domu - oświadczyła ciotka, kiedy w zaciszu saloniku zaśmiewały się z tego incydentu. - Ciekawe, jak Beatrice poradzi sobie z humorami tego „artysty”?

- Myślę, że poradzi sobie lepiej, niż sądzisz. Podejrzewam, że kryje się w niej więcej, niż możemy przypuszczać. Biednego Freddiego czeka nie lada niespodzianka.

- Tak, możliwe... - Ciotka skinęła głową. - No, jutro wielki dzień. Wkrótce już będzie po wszystkim.

Rosalyn uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Każdy dzień przybliżał powrót Damiana.

- Tak, jutro wesele. Szkoda, że Celia nie mogła przyjechać, ale bardzo się cieszę, że ty i Sarah zostałyście, ciociu Susan.

- Chciałam spędzić trochę czasu z tobą. Nie widzimy się zbyt często, ale zawsze tęsknię za tobą. Wolałabym, żebyś wyszła za pana Wrexhama tutaj, wśród przyjaciół i rodziny, kochanie, ale rozumiem twoje uczucia. Mam nadzieję, że nie zamierzasz opuścić nas na zawsze. Będiesz od czasu do czasu przyjeżdżać z wizytą?

- Będę pisać. - Serdecznie dotknęła ręki ciotki. - Nie jestem jednak pewna, czy przyjedziemy jeszcze kiedyś do Anglii, a przynajmniej nie przez najbliższych parę lat.

- Freddie ma jakichś gości - zawołała Sarah Jane, która wpadła do saloniku i z rozmachem opadła na sofę. - Wyglądają bardzo dziwnie, są tacy poważni i ponurzy, jakby stało się coś nieprzyjemnego.

- Mam nadzieję, że nie przywieźli złych wiadomości - szepnęła Rosalyn.

- Na pewno nie - uspokajała ją ciotka. - Bo co mogłoby się zdarzyć? Chyba że przyjechali aresztować monsieur Maurice'a za atak na podkuchenną.

- Oj, ciociu - podchwyciła Rosalyn ze śmiechem - jak możesz sobie dworować z ...? - Słowa zamarły jej na ustach, kiedy drzwi otworzyły się i wszedł brat. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, by wiedzieć, że stało się coś złego. Z mocno bijącym sercem wstała. - O co chodzi, Freddie? Co się dzieje?

- Sarah Jane - mruknął Freddie, z trudem panując nad emocjami. - Bądź tak dobra i poszukaj Beatrice. Wydaje mi się, że powinna być w ogrodzie różanym.

- Muszę? - marudziła dziewczynka. Nie ulegało wątpliwości, że Freddie odsyła ją, bo ma coś bardzo ważnego do powiedzenia, jakąś nowinę, której nie powinna słyszeć, ale na widok rzadkiej u niego surowej miny posłuchała bez dalszych protestów. - No dobrze, już dobrze... idę, jeśli chcesz.

Rosalyn zaczęła, aż za dziewczynką zamkną się drzwi.

- Mów. - Usiadła na sofie obok ciotki, bo nogi zaczęły pod nią dygotać. - Stało się coś okropnego, prawda? Masz złą nowinę, Freddie?

- Odwiedził mnie oficer policji, Rosalyn. - Zacisnął dłonie w pięści. - Okazuje się, że... że zostało popełnione morderstwo.

- Morderstwo! - krzyknęła pobladła pani Buckley. - Na liłość boską, Freddie! Kto został zamordowany i dlaczego ci ludzie przyszli tutaj? Co to ma z nami wspólnego?

- Zwłoki zostały znalezione wczoraj przez jakiegoś człowieka, który wyszedł z psem na spacer i wybrał rzadko uczęszczaną wiejską drogę prowadzącą ze wsi do granic naszych posiadłości - wyjaśnił Freddie z dziwnym błyskiem w oczach, który można było uznać za odrazę... lub strach. Nie, na pewno nie strach, pomyślała Rosalyn, odrzucając natychmiast ten idiotyczny pomysł. - Oddano kilka strzałów z bliskiej odległości.

Bez wątpienia było to morderstwo, nic innego nie wchodzi w rachubę. - Freddie urwał, wpatrując się w siostrę.

- Kto to był? - Poczwała nagły chłód. - Błagam, Freddie! Powiedz, kto został zamordowany?

- Bernard Harrington. Wszystko wskazuje na to, że nie żyje już od pewnego czasu... pewnie od dnia, w którym opuścił ten dom.

- Skąd wiesz?

- Podobno... - Freddie wyglądał, jakby miał mdłości, i unikał patrzenia na siostrę i ciotkę. - To jest wieś, Ros. Tu są lisy. Pozwólcie, że pominę szczegóły. Został zidentyfikowany na podstawie pewnych przedmiotów osobistych, w których rozpoznałem własność pana Harringtona.

- A więc po odejściu stąd został zastrzelony... - Błada jak śmierć Rosalyn patrzyła na brata. -I władze myślą, że to mogło się stać tego dnia...

- Ale kto mógł chcieć zrobić coś podobnego? - zawołała zdumiona Susan. - Wiem, że nie był zbyt sympatycznym człowiekiem, ale morderstwo... okropność! Nie mogę w to uwierzyć.

- Domyślają się, kto mógł to zrobić? - zapytała Rosalyn. - Znaleźli jakieś ślady, może świadków?

- O ile wiem, to nie - odparł Freddie, nadal unikając jej wzroku. - Najczęściej motywem zbrodni jest rabunek, ale on miał przy sobie portfel i zegarek. Dlatego trudno dociec, dlaczego został zaatakowany, i to tak blisko naszych posiadłości.

- A co ty o tym sądzisz? - Rosalyn podniosła dłoń do szyi, bo nagle pojęła, dlaczego brat tak dziwnie się zachowywał. Przecież nie mógł myśleć... ale z jego twarzy czytała, że tak właśnie myślał! - Nie, Freddie, mylisz się! Damian wyjechał do Francji tej samej nocy. Nie miałby na to czasu. Poza tym na

pewno nie zrobiłby tego w skrytobójczy sposób. Gdyby chciał go zabić, wyzwiałby go na pojedynek.

Rosalyn przypomniała sobie swój sen i poczuła nagły chłód. Nie, nie dopuści do siebie przerażenia. Damian nie był mordercą. Nic ich nie rozdzieli.

- Nie mówię, że to on. Policjantom powiedziałem, że nie mam pojęcia, kto mógłby chcieć zabić Harringtona, że to musiał być ktoś obcy. Cygan albo jakiś włóczęga, który wtedy przechodził.

- Ale tak pomyślałeś! Masz to wypisane na twarzy! - Rozgniewana Rosalyn zerwała się na równe nogi. - Jak mogłeś, Freddie? Jak mogłeś! Nie ma powodu... - Głos jej zamarł, gdy przypomniała sobie scenę w ogrodzie i moment, gdy Bernard Harrington ją zaatakował. Jeśli Damian to zobaczył, nie trzeba mówić, jak by zareagował! - Nie, nie! On nie mógł... Przecież nic mi się nie stało. Wiem, że Damian nie mógł zrobić czegoś tak okropnego.

- Co Harrington ci zrobił? - Oczy Freddiego zwęziły się.  
- Czy zaatakował ciebie albo Beatrice?

- Próbował szantażem zmusić mnie, bym za niego wyszła - powiedziała powoli Rosalyn. - Widział mnie z Damianem i nazwał mnie... dziwką. Uderzyłam go w twarz, a on wykręcił mi rękę. Przez chwilę bałam się, że chce spróbować... ale zdołałam mu się wyrwać i rzuciłam mu w twarz oskarżenia o zbrodnię. Powiedziałam, że nie będziesz dłużej tolerował jego obecności w tym domu, a on na to, że wcale nie chce tu zostać, że przyjechał tylko prosić siostrę o pieniądze, a ponieważ nic mu nie dała, wyjeżdża stąd z własnej woli. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, to nie poszedł potem w stronę domu, ale minął mnie i ruszył do sadu. Stamtąd mógł wejść na aleję.

- Czy potem jeszcze z nim rozmawiałaś?
- Nie, Freddie. Uznałam, że wyjechał... dlaczego pytasz?
- Jego rzeczy nadal znajdują się w pokoju, który zajmował. Pani Simmons mówiła o tym Marii, ale doszły do wniosku, że pewnie zamierzał wrócić na ślub, więc nikogo o tym nie zawiadomiły. Z moich ustaleń wynika, że nikogo poza tobą nie poinformował o zamiarze wyjazdu.
- Myślisz, że zginął wkrótce po ataku na mnie? Jesteś przekonany, że to Damian go zabił, prawda?
- Nieważne, w co ja wierzę - odparł Freddie, wciąż unikając jej wzroku. - To był nikczemny człowiek. Gdybym wiedział, co ma na sumieniu, nigdy nie zaprosiłbym go do domu. Nie chcę udawać, że mi go żal, boję się jedynie, że jego śmierć wywoła skandal, który rzuci cień na naszą rodzinę. Na litość boską! Przecież mam się jutro żenić! Gdyby rozeszła się wiadomość, że moja siostra spotyka się z człowiekiem, który zabił brata Harringtona, że zamierza z nim wyjechać, to jak sądzisz, co ludzie sobie pomyślą? Dojdą do wniosku, że Wrexham uciekł z kraju, bo zabił również drugiego brata. A przy okazji i nasze nazwisko zostanie unurzane w błocie. Szczególnie jeśli ty...
- Nie musisz się tego obawiać - przerwała Rosalyn. Nie zdawała sobie sprawy, jak wyraźnie malowały się na jej twarzy uczucia, ale Freddie zachnął się na widok wzgardy siostry - Damian przybędzie po mnie w najbliższym czasie a ja z nim wyjadę. Możesz mnie wydziedziczyć.
- Jesteś gotowa z nim wyjechać, choć wiesz, że może być mordercą? Przecież w tej sytuacji nie możesz go poślubić.
- Łzy napłynęły Rosalyn do oczu. Podniosła głowę i spojrzała bratu prosto w oczy.
- Nie wcale nie wiem, ale pojechałabym z nim, nawet gdy-

bym sądziła, że jest zdolny do morderstwa, a wcale tak nie uważam. Jestem pewna, że Damian nie mógł zabić człowieka w opisany przez ciebie sposób, Freddie. - Obrzuciła go dumnym spojrzeniem. - Wybaczcie, pójdę do swojego pokoju.

- Ros! - zawołał brat przez zaciśnięte gardło, kiedy wychodziła.. - Przepraszam... ale wszystko wskazuje na niego, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Zatrzymała się w progu i spojrzała na niego z taką wzgardą, że zbladł.

- Czyżby, Freddie? Wydaje mi się, że inni również mogli żywić nienawiść do Harringtona. Są bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki. Gdzie byłeś tego dnia? Powiedz mi, jeśli potrafisz.

Zdawała sobie sprawę, że postępuje nie fair, ale nie była w stanie się powstrzymać. Jak mógł wskazywać palcem na Damiana, choć doskonale wiedział, że jego siostra kochała tego człowieka? Gdyby choć trochę się z nią liczył, zachowałby milczenie, nawet gdyby podejrzewał, że Damian był zabójcą.

Freddie gapił się w osłupieniu, gdy zamykała za sobą drzwi. Czyżby sugerowała, że on...? A niech to licho! Nie zniesie jej obelg w swoim domu!

Nagle uświadomił sobie, że ciotka mówi coś do niego.

- Nie miałeś prawa rzucać takich oskarżeń, Freddie. Tak wiele zawdzięczasz Rosalyn, a nie traktujesz jej jak należy. To był zawsze jej dom, a ty wyrzucasz ją z niego, nie dbając o jej uczucia. Myślę, że powinieneś za nią pójść i przeprosić. Błagać o wybaczenie. Jeśli tego nie zrobisz, to obawiam się, że stworzysz pomiędzy wami przepaść, której już nigdy zdołacie zasypać.

Spiorunował ciotkę wzrokiem, czując rosnącą wściekłość.

- Mam ją przeproszać po tym, co przed chwilą powiedziała? - wrzasnął z twarzą pobladłą z furii. - Coś mi się zdaje, że

wszystko ci się pomyliło, ciociu. Niech w zaciszu swojego pokoju przemyśli swoje słowa, a potem to ona mnie przeprosi.

Wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Pani Buckley zmarszczyła brwi. Freddie wyciągnął pochopne wnioski, po pierwsze - mało prawdopodobne, a po drugie - wyjątkowo bolesne dla siostry.

Czy nie rozumiał, że Rosalyn zakochała się pierwszy raz w życiu? I to tak głęboko, że jeśli zostanie zmuszona do rezygnacji z człowieka, którego pokochała, nie otrząśnie się z tego uczucia do końca życia? Jak mógł oczekiwać, że siostra wyrzeknie się miłości w imię tego, co ludzie sobie pomyślą? Freddie naprawdę powinien staranniej przemyśleć swoje stwierdzenia, zanim je wygłosi... chyba że Rosalyn przypadkiem dotknęła prawdy i próbował w ten sposób zrzucić z siebie winę.

Czy byłby zdolny do takiej nikczemności? Bo oskarżenie Wrexhama o własny postępek byłoby wyjątkową nikczemnością.

Rosalyn zdradziła jej w zaufaniu, dlaczego Beatrice tak się denerwowała w obecności Harringtona. Całkiem możliwe, że Freddie, dowiedziawszy się, iż Harrington napastował kiedyś jego narzeczoną, wcześniej wrócił z przejażdżki, zobaczył awanturę pomiędzy nim a swoją siostrą... i wpadł w taką furię, że go zastrzelił.

Rosalyn niespokojnie krążyła po swoim pokoju.

- Damianie... mój kochany - wyszeptała. - Wiem, że nie popełniłeś tej zbrodni, wiem.

Ktoś jednak zastrzelił Harringtona. Ktoś obserwował jej kłótnię z Bernardem. Ktoś słyszał każde wypowiedziane przez nich słowo. A potem zabił Harringtona za coś, co zostało wówczas zrobione lub powiedziane.

Czy to mógł być Damian? Czy postanowił iść za nią przez sad... przecież zwlekał z odejściem, nie mógł się z nią rozstać, stał tam jeszcze, kiedy odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Powiedział, że zabiłby Harringtona, gdyby ten skrzywdził Rosalyn, ale przecież nic się jej nie stało, jeśli nie liczyć paru niewielkich siniaków.

Nie, nigdy w to nie uwierzy! Damian mógł najwyżej wyzwać tego człowieka na pojedynek, jak niegdyś Rodericka! Kto inny musiał pójść za Bernardem. Kto inny zastrzelił go i zostawił zwłoki na ziemi, by zostały znalezione przez przypadkowego przechodnia.

Ale kto? I dlaczego nie próbowano ukryć ciała? Gdyby je zakopano, może nigdy nie zostałyby odnalezione.

Przez chwilę łamała sobie głowę nad tym problemem, ale odsunęła go od siebie jako mało ważny. Była chora na myśl, że jej brat nie zawahał się oskarżyć Damiana. Jak mógł powiedzieć do niej coś takiego? Jak mógł oczekiwać, że zrezygnuje z jedynej szansy na szczęście?

A może naprawdę zrobił to w celu ukrycia swojej winy? Nie, Freddie nie mógłby... Potrząsnęła głową, zrobiło jej się słabo. Gdyby nawet został sprowokowany do zbrodni, to chyba nie próbowałby zwalić winy na kogoś innego... A może jednak?

Niezmordowanie krążyła po pokoju. Dręczyła ją ta myśl, nie potrafiła jednak wyrzucić jej z głowy. Freddie zawsze był egoistą i myślał wyłącznie o sobie, ale chyba nie byłby zdolny do takiej podłości?

Nagle stanęła jak wryta. O czym ona myśli?! Jakież to samolubne. Jej udręka z powodu tego, co się stało, musiała być przecież niczym w porównaniu z tym, co przeżywała pani Jenkins. Czy ktoś pomyślał o tym, by ją poinformować? Fred-



die przypuszczalnie nie, raczej byłby gotów wszystko przed nią ukryć, byle tylko nie odłożyła ślubu na później, do czego miała wszelkie prawo. Nie wolno jednak tego przed nią zataić. Powinna natychmiast zostać powiadomiona, i to w możliwie najdelikatniejszy sposób.

Rosalyn opłukała twarz zimną wodą, przygładziła włosy i przygotowała się duchowo do rozmowy z panią Jenkins. Już szła do drzwi, kiedy usłyszała pukanie.

- Proszę. - Spodziewała się Freddiego i przygotowała się na wzajemne oskarżenia, jednak ze zdumieniem zobaczyła w progu panią Jenkins. - O, właśnie zamierzałam do pani iść, madame.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam. Pani Buckley przekazała mi wiadomość o... - Głos się jej załamał, ale uniosła głowę i z determinacją spojrzała w pełne współczucia oczy Rosalyn. - Zostałam powiadomiona o nieszczęśliwym wypadku brata.

- Wypadku... - Rosalyn nie mogła wyjść ze zdumienia nad jej opanowaniem. Spodziewała się gniewu, oskarżeń, rozpacz, ale nie tego. - Tak mi przykro. Chciałam z panią porozmawiać. Ciocia powiedziała pani, w jaki sposób zginął?

- Zdaje się, że został zastrzelony przez kłusownika czy kogoś w tym rodzaju. - Na szyi pani Jenkins drgał jakiś nerw. - A może któryś z jego licznych wrogów przyjechał tu za nim z miasta. Mój brat miał wrogów, panno Eastleigh. Kilkakrotnie w różnych okresach wysuwano pod jego adresem pogróżki. Z przykrością stwierdzam, że ostatnio obracał się w nie najlepszym towarzystwie. Ale mógł to być kłusownik. Bernard na pewno zareagowałby, gdyby ktoś strzelał na terenach pani brata. Niegdyś bezlitośnie tępił kłusowników we własnych dobrach... zanim całkiem wpadł w szpony hazardu.

- Ja... - Rosalyn nie pomyślała o takim wyjaśnieniu, natychmiast jednak pojęła, jak bardzo by było dogodne dla wszystkich. - Ja... wydaje mi się, że może pani mieć rację, madame. To straszne nieszczęście. Rozumiem, że jest pani załamana i jeśli chce pani odłożyć ślub na później, udzielę pani wsparcia.

- Nie, absolutnie nie - oznajmiła pani Jenkins. - Nie chcę sprawiać przykrości Beatrice czy pani bratu. Jeszcze nie rozeszła się wieść, że Bernard... miał wypadek, więc ślub może się odbyć normalnie, jakby nic się nie stało. Potem zamieszczę krótką wzmiankę o śmierci brata w „Timesie”. Myślę, że to wystarczy.

- Jest pani bardzo wspaniałomyślna... i bardzo dzielna.

- Przysporzyłam już dość zmartwień temu domowi. Bernard także - odparła z godnością. - Mogę przynajmniej nie przeszkadzać w tym ślubie. - Zawahała się, po czym dodała: - Jeśli brat narzucał się pani ze swymi względami, to pragnę przeprosić. To ja mu zasugerowałam, że pani majątek mógłby rozwiązać jego kłopoty finansowe. Źle zrobiłam. Proszę o wybaczenie. Nie myślałam wówczas jasno.

- To... nieważne. - Rosalyn zmarszczyła czoło. Dziwne. Dlaczego pani Jenkins tak nagle się zmieniła? - Cieszę się, że przyszła pani do mnie, madame. I bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pani brata.

- Proszę, nie... - Uniosła dłoń. - Już od pewnego czasu byłam świadoma, że Bernard... Bardzo kochałam mojego brata Rodericka. Kiedy zginął, byłam załamana. Zgorzkniałam. Próbowałam pokochać Bernarda, ale nie byłam w stanie. A przynajmniej nie tak jak kochałam Rodericka. Przykro mi, oczywiście, że do tego doszło, ale proszę sobie nie wyobrażać, że jestem w rozpacz, panno Eastleigh. Zapewniam, że nie jestem.

- Rozumiem... - Z niewiadomych przyczyn Rosalyn poczuła nagły chłód. - Wobec tego nie mówmy o tym więcej, madame. Powiedziała pani mojemu bratu, że ślub ma się odbyć w przewidzianym terminie?

- Mogłaby pani zrobić to za mnie? Jeśli mnie pani wyrezy, pozostanę w swoim pokoju, ale jutro wezmę, oczywiście, udział w ceremonii.

- Źle się pani czuje? Dolegliwości wróciły?

- Nie, czuję się całkiem dobrze. Wasz doktor miał rację, panno Eastleigh. Tamte proszki musiały się zestarzeć, dlatego mi szkodziły. Teraz, kiedy mam nowe, szybko odzyskam zdrowie. Tak, jestem pewna, że nudności już nie wrócą.

Po jej wyjściu Rosalyn siedziała jeszcze kilka minut w bezruchu. Przyszła jej do głowy myśl tak potworna, że zrobiło jej się słabo... ale chyba nazbyt puściła wodze fantazji. Musiała się mylić. Pani Jenkins miała rację... te strzały padły przypadkiem i to wcale nie było morderstwo.

Powinna porozmawiać z Freddiem. Niepokoi się o ślub, a nie chciała, by zawracał głowę pani Jenkins. Ale najpierw musi trochę odpocząć i odzyskać panowanie nad sobą.

## Rozdział dziesiąty

Nie mogła doczekać się wieczoru. Niecierpliwie wyglądała powrotu Damiana. Siedziała jak na rozżarzonych węglach, marzyła, by z nim porozmawiać, powiedzieć, co się wydarzyło.

- Damianie, tak cię potrzebuję... - powtarzała w duchu. - Tak bardzo cię potrzebuję...

Może spotkają się w ogrodzie jeszcze tej nocy? Dojmująca tęsknota sprawiała, że była niespokojna i niecierpliwa, zupełnie niepodobna do siebie. Nawet kłótnia z bratem zbladła wobec pragnienia zobaczenia Damiana i znalezienia się w jego ramionach. Tak bardzo go kochała!

Zauważyła, że Beatrice dziwnie się jej przyglądała podczas obiadu. Najwyraźniej irytowało ją, że coś się przed nią ukrywa, ale Freddie nalegał, by nie informowano jej o śmierci brata ciotki oraz o kłótni narzeczonego z siostrą.

Rozmowa pomiędzy rodzeństwem została przeprowadzona w bibliotece i miała bardzo formalny przebieg. Freddie podziękował za przekazanie wiadomości, że ślub odbędzie się zgodnie z planem, ale nie przeprosił za swoje zachowanie, a Rosalyn nie zrobiła nic, by poprawić ich wzajemne stosunki. Była na niego zbyt wściekła. Gdyby nie szczera sympatia

do Beatrice, natychmiast opuściłaby ten dom, ale kiedy po tej niemiłej rozmowie wyszła z biblioteki i spotkała Beę, z uśmiechem odpowiedziała na jej powitanie.

Na szczęście dla Rosalyn, Freddie wyniósł się zaraz po obiedzie. Miał spędzić noc u przyjaciela, żeby w dniu ślubu spotkać przyszłą żonę dopiero w kościele. Po jego wyjściu Rosalyn pozostała w salonie i wdała się w przyjacielską pogawędkę z ciotką, Beatrice i Marią. Pani Jenkins pozostała w swoim pokoju, nie chciała nawet lampy przysłanej jej przez panią Simmons.

Postanowiły wcześniej pójść spać, żeby należycie wypocząć po gorączkowych przygotowaniach ostatnich tygodni, a Beatrice chciała, oczywiście, wyglądać świeżo na ślubie. Zanim się rozstały, objęła przyszłą bratową.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię pokochałam, Rosalyn? Cieszę się, że zostaniemy siostrami, i mam nadzieję, że będziemy się często spotykać.

Najwyraźniej Freddie nie wspomniał jej o małżeńskich planach siostry. Może liczył, że Rosalyn zmieni zdanie?

Uśmiechnęła się tylko i pocałowała Beę. Niech Freddie sam powie jej prawdę po ślubie, jeśli, oczywiście, zechce.

Kiedy została sama w swoim pokoju, wyjęła spinki, wyszczotkowała włosy i zostawiła je rozpuszczone. Zaczęła się pakować, żeby jakoś zabić czas. Postanowiła zabrać tylko kilka najnowszych sukien i najcenniejsze skarby - prezenty od rodziców, biżuterię matki i osobiste pamiątki.

Podeszła do szuflady, w której trzymała pistolety ojca. Jednego brakowało. Wpatrywała się w puste wgniecenie w szkatule. Przecież odłożyła na miejsce broń, którą odstraszyła niedoszłych porywaczy Jareda. W dodatku pudełko na amunicję było prawie puste, zniknęło więc sporo naboju.

Przeszył ją zimny dreszcz. Gdzie się podział pistolet? Ktoś go zabrał, może Freddie? A może ktoś inny? Czy z tego pistoletu zastrzelono Bernarda Harringtona?

Na tę myśl osłabła na moment. Nie mogła się już doczekać, by podzielić się wątpliwościami z jedyną osobą, której mogła się zwierzyć.

Jeśli Damian miał się dziś pojawić, to powinien już być. Wzięła świecznik i wyjrzała z pokoju, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Nie było powodu, dla którego nie mogłaby spotykać się z Damianem, ale nawet teraz nie chciała w żaden sposób zaszkodzić bratu.

Zeszła do salonu, otworzyła francuskie okno i wyszła z domu. W jasnym świetle księżyca ogród wyglądał romantycznie i tajemniczo. Czy Damian tam był? Czy już wrócił? Jej serce zabiło mocniej na myśl, że może go wkrótce zobaczy, ale choć go wołała i czekała prawie godzinę, nie przyszedł.

- Och, Damianie, gdzie jesteś? Potrzebuję cię. Muszę z tobą porozmawiać, objąć cię. Tak bardzo jesteś mi potrzebny...

Rozczarowana, wróciła do domu. Może Damian przyjdzie jutro?

Poranek w dniu ślubu był ciepły i słoneczny. Beatrice, zgodnie z przewidywaniami, wyglądała pięknie, kiedy z twarzą rozjaśnioną szczęściem szła środkiem nawy, by stanąć u boku Freddiego i złożyć przysięgę małżeńską.

Rosalyn spojrzała na nią i ukradkiem otarła łzę. Z uśmiechem skonstatowała, że ciotka robi to samo.

- Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa - szepnęła Susan. - Nie sądzisz, kochanie, że Sarah Jane wygląda niezwykle dorośle?

Kiwnęła głową. Głos odmówił jej nagle posłuszeństwa, bo

kiedy odwróciła się, by odprowadzić wzrokiem opuszczających kościół nowożeńców, zauważyła stojącego na samym końcu mężczyznę. Znalazł sobie miejsce za filarem, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy, ale Rosalyn poznała go od razu i serce zabiło jej jak szalone.

Damian wrócił! Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie pobiec do niego. Przy wtórze bicia dzwonów wyszła wraz z ciotką i pozostałymi gośćmi na słońce, a Damian usunął się w najodleglejszy kraniec przykościelnego dziedzińca, skąd śledził ją wzrokiem. Uśmiechnęła się i zrobiła taki ruch, jakby chciała do niego podejść, ale pokręciła głową i ruchem warg powiedział: „później”. Kiwnęła głową na znak zgody, choć serce jej się do niego wyrywało. Damian miał rację. Czekala tak długo, mogła wytrzymać jeszcze trochę.

Było jej jednak bardzo trudno z uprzejmym uśmiechem na twarzy słuchać rozmów i śmiać się z żartów gości brata, kiedy marzyła tylko o tym, by zostawić to wszystko i biec do ukochanego.

Wreszcie wrócili do domu i rozpoczęło się wesele. Stoły w jadalni były zastawione przepyszными zakąskami. Monsieur Maurice przeszedł samego siebie, myślała Rosalyn, chodząc pomiędzy gośćmi i prowadząc uprzejmą konwersację.

- Kiedy znów będziemy mieli przyjemność zobaczyć panią w Londynie, panno Eastleigh?

- Nie wiem, panie Carlton - odparła. - Chwilowo nie planuję powrotu do stolicy.

- Jaka szkoda. Miałem nadzieję spotkać tam panią podczas tego sezonu.

Rosalyn z uśmiechem pokręciła głową i przeszła do innych gości. Była pewna, że Damian będzie na nią czekał w ogrodzie.

Czy starczy jej odwagi, by wymknąć się do niego? A dlaczego nie? *Przecież* spełniła już swój obowiązek. Nikt nie będzie za nią tęsknił. Są inni, którzy mogą zająć się zabawianiem gości Freddiego.

Powoli przesuwiała się w stronę francuskiego okna i wreszcie wyszła do ogrodu. Nie dostrzegła nigdzie śladu Damiana. Oczywiście, przecież nie chciał ryzykować, że zostanie zauważony. Kiedy jednak przebiegła przez trawnik i znalazła się pod osłoną gęstych krzewów, wyszedł z cienia i wziął ją w ramiona. Serce jej zadrżało, gdy przytulił ją do siebie i popatrzył na nią głodnym wzrokiem.

- Przyszłaś. - Pocałował ją mocno. - Nie byłem pewien, czy zdołasz się wyrwać przed wieczorem, ale nie mogłem stąd odejść. Tęskniłem za tobą, najdroższa.

- A ja za tobą - szepnęła. - Mam już wszystko spakowane, mogę odejść z domu, jak tylko Freddie i Beatrice wyjadą... - Urwała, bo Damian utkwiał wzrok w jakimś punkcie za jej plecami. - Co...? - Odwróciła się i spostrzegła brata, który zmierzał ku nim z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Podejrzewałem, że cię przy nim znajdę - powiedział Freddie zimno. - Czy tak oszalałaś na jego punkcie, że kompletnie przestałaś się przejmować swoją reputacją, Ros? Skoro już wcale cię nie obchodzi, co ludzie pomyślą o tobie, to miej przynajmniej wzgląd na dobre imię mojej żony.

- Freddie! - Poczuli się tak, jakby ją spoliczkował. To było niesprawiedliwe! Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby mu ułatwić życie, a on śmiał jej zarzucać, że myśli tylko o sobie! - Nikt nas nie widział. Zresztą wkrótce wyjeżdżamy. Jesteś już żonaty, więc to bez znaczenia, czy ktoś nas zobaczy.

- Dla mnie ma znaczenie, że moja siostra obściskuje się z mordercą.



- Freddie! - krzyknęła przerażona. - Jak możesz tak mówić?

- O co ci chodzi, Eastleigh? - Oczy Damiana zwięzły się. - O tamten pojedynek? Do licha, chyba nie wierzysz, że to ja zamordowałem Bernarda Harringtona?

- Więc nie przeczysz, że to było morderstwo? - Freddie zmierzył go wzrokiem. - Byłem gotów zaakceptować twój związek z moją siostrą, w końcu pojedynek to nie zbrodnia, teraz jednak sprawy przybrały całkiem inny obrót.

- Daję ci słowo, że nie mam z tym nic wspólnego - oświadczył Damian dumnie, patrząc na niego zimnym wzrokiem. Był bardzo spokojny i opanowany. Spojrzał na Rosalyn. - Wierzysz mi?

- Tak, oczywiście - zapewniła natychmiast. - Jestem pewna, że nie zrobiłeś tego, Damianie.

- Idiotka! - warknął Freddie. - Masz tylko jego słowo, że nie zastrzelił Harringtona. Jak możesz za niego wyjść ze świadomością, że może być mordercą?

- Wyjdę za niego, niezależnie od tego, co zrobił. - Wyprostowała się z godnością. - Damian mnie kocha, natomiast ty nigdy mnie nie kochałeś, Freddie. Poza tym nie jesteś moim prawnym opiekunem. Mogę poślubić, kogo zechcę. - Podniosła oczy na mężczyznę swego życia. - Pójdę od razu po swoje rzeczy, Damianie. Zaczekaj na mnie, proszę. Wszystko już spakowałam. Za parę minut będę z powrotem.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Całkowicie pewna. Proszę, bądź tutaj, kiedy wrócę.

- Jeśli z nim odejdziesz, to koniec z nami - wycedził Freddie wargami pobielalymi z wściekłości. - Możesz nigdy nie wracać. Zabronię Beatrice odzywać się do ciebie.

Rosalyn też pobladała.

- Nie będę chciała tu wracać - oświadczyła z bolesną wyniosłością. - To już nie jest mój dom, a ty nie jesteś już moim bratem.

Odeszła i nie obejrzała się nawet, gdy Freddie ją zawołał. Jak śmiał?! Jak śmiał odzywać się w taki sposób do niej? Do Damiana? Nigdy, przenigdy mu nie wybaczy!

Kiedy zniknęła w głębi domu, Freddie zwrócił się z furją do Damiana:

- Wiesz, co zrobiłeś? Zniszczyłeś ją. Może liczysz, że zdołasz uciec od odpowiedzialności za morderstwo, Wrexham, ale ludzie będą gadać, będą przekonani, że zabiłeś Harringtona. Niektórzy w głębi duszy dojdą do wniosku, że wyświadczyłeś światu przysługę, ale i tak nie będą chcieli cię znać. Zostaniesz napiętnowany, a z tobą Rosalyn. Ściągnąłeś ją do swojego poziomu. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany?

Damian zacisnął pięści, by zachować panowanie nad sobą. Gdyby uderzył w gniewie brata Rosalyn, wykopałby między nimi przepaść nie do naprawienia, a to by ją zabolalo. Teraz była wściekła na Freddiego, ale może kiedyś za nim zatęskni, zatęskni za całą rodziną. Nie miał prawa zrobić nic, co uniemożliwiłoby jej w przyszłości powrót do domu.

- Gdybyś nie był jej bratem, wyzwałbym cię na pojedynek. Jeśli ją zranisz, oćwiczę cię szpicrutą. O mnie możesz wygadywać, co ci ślina na język przyniesie, ale nie waż się więcej jej krzywdzić.

- A niech cię szlag! - Freddie rzucił się na Damiana, ale nie trafił. Kiedy zaatakował ponownie, nadział się na twardą pięść i wylądował na ziemi. Zerwał się na równe nogi, wściekły i zawstydzony. - Ty diable... ja cię nauczę.

- Lepiej wracaj do panny młodej, dopóki jeszcze jesteś w stanie spełnić obowiązki małżeńskie w czasie nocy poślub-

nej - wycedził Damian. - Twoje szczęście, że nie potraktowałem cię tak, jak zasługujesz. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia wróci ci rozum i będziesz chciał przeprosić Rosalyn...

- Nigdy! - warknął rozwścieczony Freddie. - Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi.

Odszedł spieszenie przez trawnik, nie oglądając się za siebie.

Rosalyn rozejrzała się po swoim pokoju i wzięła dwa wcześniej spakowane sakwojaże. Miała perły, które dostała od ojca, i pierścionek po matce, na niczym więcej jej nie zależało. Zabrała tylko tyle ubrań, by wystarczyło na podróż do Francji. Tam mogła kupić wszystko, co będzie jej potrzebne, bo Freddie nie miał kontroli nad jej finansami, o co zadbał ojciec.

Już miała wychodzić, gdy w drzwiach stanęła ciotka. Pani Buckley spojrzała na jej białą twarz i torby w rękę, i w jednej chwili zrozumiała sytuację.

- Freddie jest w podłym nastroju - powiedziała. - Znowu się kłóciliście?

- Zabronił mi wyjść za Damiana, ciociu. Oświadczył, że skończył ze mną i że rodzinie też zakazuje kontaktów ze mną, ale nie dbam o to. Nic mnie nie powstrzyma. Muszę odejść z Damianem. Kocham go.

- To jasne, że go kochasz. - Susan objęła Rosalyn. - Masz moje błogosławieństwo, kochanie. A gdybyś kiedykolwiek potrzebowała domu, przyjmę cię zawsze z otwartymi ramionami.

-Dziękuję... Do pokoju wpadła pobladła Maria.

- Chyba nie zamierzałaś odejść bez pożegnania?

- Nie, chciałam poprosić ciocię, żeby przysłała cię do ogrodu. - Gdy ją objęła, Maria się rozplakała. - Wybacz, moja

droga. Nie mogę zostać do czasu twojego ślubu, ale napiszę do ciebie, gdy tylko dotrzemy na miejsce.

- Ale będziecie czasem przyjeżdżać w odwiedziny?

- Jeśli się uda. - Rosalyn przeniosła wzrok na ciotkę. - Przykro mi, ale muszę już iść. Damian czeka.

- Tak, oczywiście - powiedziała Susan. - Mogę pójść z tobą? Chciałabym poznać Damiana i powiedzieć, że ma moje błogosławieństwo.

-I moje - dodała Maria. - Nic mnie nie obchodzi, co Freddie pomyśli. Zachował się wobec ciebie paskudnie i zamierzam mu to powiedzieć.

- Dobrze, chodźcie ze mną. Damian się przekona, że nie cała moja rodzina jest mu przeciwna.

Szła przed przyjaciółkami pełna niepokoju. Czy Damian będzie na nią czekał? Chyba nie wyjedzie bez niej? Błagam, Boże, spraw, by nie wziął chamstwa Freddiego za bardzo do serca!

Zobaczyła go! Stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, a przy nim Sarah Jane, która zaśmiewała się z czegoś, co powiedział.

- Przekazałam panu Wrexhamowi wiadomość dla Jareda - powiedziała, kiedy podeszły. - Muszę już iść, Rosalyn. Beatrice będzie mnie szukać. - Pocałowała Rosalyn w policzek. - Nigdy nie zapomnę, jaka byłaś dla mnie dobra, i mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Na pewno. - Kiedy dziewczynka odbiegła, zwróciła się do Damiana: - Moja ciocia, pani Susan Buckley, chciała cię poznać, a Maria pragnie się z tobą pożegnać.

- Nie mogłam pozwolić, byście wyjechali bez moich serdecznych życzeń - odezwała się z przejęciem Maria.. Słaby rumieniec wykwitł na jej policzkach, gdy Damian pochylił się,

by ucałować jej dłoń. - Proszę dbać o Rosalyn. Wszyscy ją bardzo kochamy. Ale co ja mówię, na pewno pan będzie się o nią troszczył.

- Będziemy szczęśliwi, jeśli odwiedzi nas pani, kiedy już gdzieś osiadziemy - zapewnił Damian. - A może pewnego dnia i my będziemy mogli przyjechać z wizytą.

Po serdecznym, okraszonym łezką miłości błogosławieństwie ciotki Susan, Damian wziął sakwojaże Rosalyn i spojrział na nią pytająco.

- Gotowa?

- Tak. Gotowa.

- Musimy iść do Orford Hall na piechotę. Nie spodziewałem się, że wyjedziemy tak szybko.

- Ani ja. - Spojrzała na niego z nieco zbyt beztroskim uśmiechem. - Nie przejmuj się mną, Damianie. Mój brat zachował się paskudnie, nie pozwólmy jednak, by to nam zepsuło humor.

Czy tylko ze względu na niego robiła dobrą minę do złej gry? Damian nie był pewien. Znali się od niedawna, a Rosalyn zdecydowała się na bardzo poważny krok. Być może to, co się stało, było nieuniknione. Miłość zapłonęła w nich od pierwszej chwili i obudziła w nich pragnienie nie do ugaszenia. Czy jednak sama miłość wystarczy, by zrekompensować jej to wszystko, czego musiała się wyrzec?

- Chodź. - Mocno objął jej dłoń. W ich życiu nie powinno być miejsca na żal czy wątpliwości. - Musimy już iść. Mamy przed sobą długą drogę.

Dotarli do Dover już dobrze po zmroku. Rosalyn przespała część podróży z głową wspartą na ramieniu Damiana.

Początkowo rozmawiali o przyszłości i nowym życiu, któ-

re właśnie razem rozpoczynali. Damian opowiadał jej o domu, który wynajął na obrzeżach Paryża.

- Tylko na tydzień czy dwa. Myślę, że ci się spodoba, bo jest oddalony od zgiełku metropolii, ale położony na tyle blisko, że pozwala korzystać z przyjemności oferowanych przez wielkie miasto. Możemy pojechać na zakupy, kochanie, chciałbym ci kupić mnóstwo pięknych rzeczy.

- Dlaczego? Mam przecież fundusz powierniczy. Mogą przesyłać mi pieniądze w dowolne miejsce. Freddie nie sprawuje kontroli nad moimi pieniędzmi. Nie musisz mi niczego kupować, Damianie.

- Odmówisz mi tej przyjemności? - Uniósł brew. - Latami nie robiłem nic innego, tylko pomnażałem majątek. Teraz, kiedy wreszcie mam na kogo wydawać pieniądze, chciałabyś mi tego zabronić?

- Jesteś bardzo bogaty? - zdumiała się Rosalyn. Dotychczas nigdy się nad tym nie zastanawiała, przyjęła, że był po prostu zamożny, tak jak ona.

- Obawiam się, że tak - mruknął z łobuzerskim błyskiem w oku. - Dobrze wykorzystałem lata spędzone w Indiach. Masz coś przeciwko temu?

Uśmiechnęła się leciutko.

- Jeśli koniecznie chcesz trwonić na mnie pieniądze, to wyznam, że przepadam za pięknymi końmi.

- Konie? - Damian zaśmiał się. - W takim razie mamy z sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałem. Będiesz miała najlepsze z najlepszych, zarówno zaprzęg do powozu, jak i pod wierzch.

Znów się uśmiechnęła.

- Jak długo zostaniemy w Paryżu?

- Wystarczająco długo, żeby wziąć ślub. - Ujął jej dłoń. -

Jareda dobrze ukryłem na wsi, dołączymy o niego za tydzień lub dwa, ale pomyślałem, że moglibyśmy się pobrać w Paryżu. Co ty na to? Możemy naturalnie wziąć ślub jeszcze przed opuszczeniem Anglii, ale byłaby to krótka ceremonia, taka na łapu-capu. W Paryżu mam przyjaciół, więc możemy urządzać małe przyjęcie, a ty będziesz miała pretekst do kupna wspaniałej sukni.

- W takim razie zaczekamy, aż wszystko zorganizujesz. - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Nie wiedziałam, że masz przyjaciół w Paryżu, Damianie.

- Tylko w Anglii zostałem wyrzucony poza nawias społeczeństwa - odparł z błyskiem rozbawienia w oczach. - Edward i Charlotte Forresterowie byli w Brytyjskiej Kompanii w Indiach przez siedem lat. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i wielokrotnie zapraszali mnie do swego domu w Paryżu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam.

- A oni będą zachwyceni, że mogą poznać ciebie. Charlotte od lat namawia mnie na małżeństwo, ale dotychczas nie miałem ochoty jej posłuchać.

Zasnęła na chwilę, ukołysana łagodnym bujaniem dobrze resorowanego powozu i poczuciem, że jest bezpieczna pod opieką Damiana. Prawie nie czuła, że otoczył ją ramieniem. Obudziła się, gdy było już ciemno, a powóz wtaczał się na bardzo zatłoczony dziedziniec zajazdu. Słyszała pokrzykiwania stajennych, turkot kół na kocich łbach i syczenie latarni rozwieszonych jak kinkiety na ścianach. Wreszcie stangret otworzył drzwi ich powozu i opuścił schodki.

- Zamówiłem tu dwa pokoje na jutro - powiedział Damian, podając Rosalyn rękę, by pomóc jej wysiąść z powozu. - Miejmy nadzieję, że gospodarz ma wolne kwatery. Są jeszcze inne zajazdy, naturalnie, ale ten jest najlepszy.

- Coś na pewno znajdziemy.

Rosalyn z uśmiechem przyjęła jego ramię. Postanowiła nie kręcić nosem niezależnie od tego, jak będzie wyglądał pokój. Przecież rozpoczynała się wreszcie jej wielka przygoda z ukochanym mężczyzną u boku.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że w gospodzie panował ogromny ruch. Na dziedzińcu walały się torby i kufry, kilka powozów przyjechało niemal równocześnie. Kiedy weszli do środka, musieli poczekać na swoją kolej w przytulnym, wykładanym dębową boazerią salonie, na wygodnych kanapach. W końcu Damian dowiedział się, że na dzisiejszą noc mogą dostać tylko jeden pokój.

Ze zmarszczonym czołem wrócił do Rosalyn, która leniwie kontemplowała ogromny konterfekt jelenia.

- Przykro mi, ale mają tylko jeden pokój. Musimy poszukać gdzie indziej.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że wystarczy nam jeden pokój.

Na widok błysku w jej oczach zapłonął w nim ogień.

- Jesteś pewna?

- Całkiem pewna.

Nie zgłaszał więcej zastrzeżeń. Wynajął pokój - wedle zapewnień gospodarza jeden z najlepszych - po czym zaprowadził Rosalyn do zatłoczonej sali jadalnej. Jakimś cudem udało im się znaleźć wolny stolik przy oknie.

Po chwili ze smakiem pałaszowała duszonego łososa i szparagi w sosie śmietanowym, wypła też dwa kieliszki pysznego białego wina. Uderzyło jej trochę do głowy, co w połączeniu z lekkim podnieceniem wywołało w jej oczach brylantowe iskry.

Zauważyła, że Damian jadł bardzo niewiele i ledwie spró-



bował trunku. W jego ciemnych oczach dostrzegła dziwną rezerwę.

- Chcesz już iść na górę?

Rosalyn poczuła mrowienie na karku. Spojrzała w pytające oczy Damiana. Policzki jej płonęły, całe ciało pragnęło tajemnych doznań. Teraz, kiedy nadszedł ten moment, ogarnęło ją zdenerwowanie, jak chyba każdą pannę młodą przed nocą poślubną. Bo choć nie nosiła jeszcze na palcu obrączki, miała to być pierwsza noc ich małżeństwa, noc, w czasie której naprawdę staną się jednym ciałem.

Uśmiechnęła się i wstała.

- Tak, jestem gotowa. - Podała mu rękę.

Kiedy znaleźli się wreszcie sami w czystym, wygodnym pokoju, Rosalyn rozwiązała tasiemki czepka i odłożyła go wraz z aksamitną narzutką na ustawioną pod oknem niewielką kanapkę. Spojrzała na dziedziniec, cichy już i spokojny, po czym zaciągnęła zasłony. Kiedy odwróciła się, Damian obserwował ją z tak dziwnym wyrazem twarzy, że ogarnął ją lęk.

Co spowodowało ten rozdzierający smutek w jego spojrzeniu?

- Czy stało się coś złego?

- Nie... nic złego. - Podeszedł bliżej i dotknął jej policzka.

- Właśnie myślałem, jaka jesteś śliczna, i zastanawiałem się, co ci zrobiłem.

- O co ci chodzi? - Spojrzała na niego pociemniałymi z niepokoju oczami. - Damianie? Nie patrz tak na mnie... to mnie przeraża.

- Wybacz, nie chciałem cię niepokoić. Jesteś pewna, że tego chcesz? Możesz jeszcze zmienić zdanie.

- A może to ty się rozmyśliłeś?

- Nie, oczywiście, że nie!
- Dlaczego więc ja miałabym tak postąpić? Wątpisz w moją miłość? - Zmarszczyła czoło. - To przez mojego brata? - Wyraz twarzy Damiana wystarczył jej za całą odpowiedź. - Freddie nie miał prawa się wtrącać, nie miał prawa ci tego mówić - rzuciła z gniewem.
- Oskarżył mnie o morderstwo.
- Nakryła palcami jego usta.
- Ciii, kochany. Ja wiem, że nie zabiłeś Bernarda Harringtona. Nieważne, co wygaduje Freddie czy ktokolwiek inny. Ja wiem, że jesteś niewinny.
- Tak bardzo mi wierzysz?
- Nie mam wyboru. Kocham cię i będę cię kochała niezależnie od tego, co zrobisz. Nic innego się nie liczy.
- W takim razie nic nie może nas zranić. - Wziął ją w ramiona. - Moja cudowna dziewczyna... moje szczęście.
- Czuła, jak rośnie w niej pragnienie, w miarę jak całował jej usta, białą szyję i rowek w wycięciu sukni, odsłaniającym zarys piersi. Odwróciła się i uniosła włosy, żeby ułatwić mu dostęp do zapięcia sukni, która wkrótce opadła na podłogę. Po chwili dołączyła do niej koszula i Rosalyn stanęła przed Damianem w pełnej krasie kobiecego ciała, którego miękkie zarysy wzbudziły w nim gwałtowne pożądanie. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.
- Po chwili i on był nagi.
- Poddawała się ulegle pieścizotom jego języka i warg, które wkrótce sprawiły, że z drzeniem przyjęła jego miłość. Wzajemne pożądanie było tak silne, że poczuła wyłącznie rozkosz, prawie nie zwróciła uwagi na lekkie ukłucie bólu w chwili utraty dziewictwa. Miłość rozpałała się w niej złocistym płomieniem i porwała w odległe, nieznane strefy.

Kiedy już było po wszystkim, oparła mu głowę na piersi. Pokochała jego zapach i smak, lekkie łaskotanie włosów i gładkie, mocne zarysy ramion. Dłońmi wędrowała po jego ciele, starając się je poznać. Nie spodziewała się, że znajdzie się w tak ciepłych, intymnych objęciach miłości, nie oczekiwała takich doznań. Otwierały się przed nią nieznane rejony możliwości, uczuć, doświadczeń. Nigdy z nikim nie zaznała takiej bliskości, nie rozumiała, czym jest miłość ani jakich może dostarczać rozkoszy.

Damian dotknął jej policzków. Były wilgotne.

- Płaczesz?

- To łązy szczęścia. Nie spodziewałam się, że poczuję taką rozkosz, takie spełnienie.

- Jesteś wyjątkową kobietą. - Zaczął powoli całować jej usta. - Miałem szczęście, że ktoś nie porwał mi cię już dawno.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Po co słowa, gdy tak cudowne wrażenia przepływają przez jej ciało? Ponownie poddała się miłości. Mieli jeszcze przed sobą całe życie na rozmowy, na zapewnienia, że nigdy nie pragnęła innego mężczyzny, że zawsze wierzyła, iż czeka gdzieś na nią ten jedyny, przeznaczony jej przez los, który pewnego dnia popchnie ich ku sobie. Nie zamierzała, jak wiele innych kobiet, zadowolić się namiastką i wyjść za mąż bez miłości, dla świętego spokoju czy zapewnienia sobie dachu nad głową. Teraz wreszcie zrozumiała dlaczego.

## Rozdział jedenasty

- Nareszcie! Nie masz pojęcia, jak często marzyłam o tym dniu. - Charlotte Forrester wzięła Rosalyn w objęcia. - Moja droga! Jesteś piękna. Teraz rozumiem, dlaczego osiągnęłaś to, czego nie udało się dokonać żadnej z młodych dam, które nieustannie podsuwałam Damianowi, choć niektóre z nich były wyjątkowo ładne.

- Ja nie jestem ładna - zaprotestowała Rosalyn ze śmiechem. Przejrzała się w wiszącym na ścianie dużym, owalnym lustrze, podziwiając krój nowej sukni wieczorowej. Miała barwę morskiej wody, a wspaniałe jedwab cudownie podkreślał jej kształty. - Ale madame Yvonne dołożyła wszelkich starań, bym była elegancka.

- To prawdziwa artystka - przyznała Charlotte. - Ale powiedziała mi, że w życiu nie szła sukni na tak doskonałą figurę. - Wykrzywiła się do swego odbicia w lustrze.

Obdarzona pięknymi włosami i śliczną, różową cerą, Charlotte była, jak ją mąż nazywał w chwilach intymności, „słodką drobinką”. Sięgała mu zaledwie do ramienia i była nieco zbyt pulchna, przynajmniej we własnym prze-

konaniu, jednakże miała tak zaraźliwy uśmiech i tak żywe usposobienie, że była obiektem powszechnego podziwu i uchodziła za piękność.

- Ty jesteś ładna - zapewniła gorąco Rosalyn. - I bardzo dla mnie dobra. Bałam się, że uznasz mnie za bezwstydną, bo na pewno się domyśliłaś, że jesteśmy z Damianem kochankami... - Zarumieniła się.

- To nic strasznego. Zresztą za tydzień wychodzisz za męża. Najważniejsze, że jesteś szczęśliwa, kochanie. Po co kruszyć kopie o drobiazgi?

Chociaż znały się dopiero od kilku godzin, Rosalyn czuła, że to charakterystyczne dla Charlotte, by określać ich nietypowy związek mianem drobnostki. Wiedziała przecież, że dla większości kobiet z jej sfery byłoby to potwornie szokujące, ale skoro już kochali się w zajeździe, to nie widzieli powodu, by we własnym domu mieć osobne sypialnie. Zresztą Rosalyn nie chciała spać sama. Niby dlaczego, skoro mogła umościć się w ramionach Damiana?

Zaznała w nich więcej szczęścia, niż się spodziewała, i jeśli nawet wyczuwała czasami w Damianie jakiś smutek, akceptowała go, bo należał do człowieka, którego wielbiła. Nie była zbyt dociekliwa, wiedziała, że Damian sam jej o tym powie, kiedy przyjdzie na to czas. Wystarczało jej, że kochała i była kochana.

- No, moja droga, możemy iść? - Charlotte wzięła ją za rękę, żeby wyprowadzić z sypialni. - Panowie na pewno zaczynają się niecierpliwić. Muszę cię uprzedzić, że sztuka, na którą idziemy, jest nieco frywolna. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Wszyscy twierdzą, że jest okropnie zabawna.

- O, czytałam sztuki pana Sheridan. Lubię je.

- Ale nie widziałaś ich tak wystawionych. - Charlotte znacząco uniosła brwi. - Francuzi potrafią wszystkiemu dodać pikanterii.

Rosalyn roześmiała się. Damian zdążył już ją zaprowadzić do kilku lokali w Paryżu, w których panowała dekadenska atmosfera, a występujące w nich tancerki były tak śmiałe, że Rosalyn rumieniła się z zakłopotania. Kochała jednak te wieczory, podobnie jak kochała dni poświęcone zwiedzaniu Paryża, spacerowanie w wiosennym słońcu gwarnymi ulicami pełnymi kwiaciarek i artystów.

Życie wydawało jej się teraz znacznie bogatsze. Nie miała czasu oglądać się wstecz ani niczego żałować - zresztą, czego miałyby żałować? Może tylko kłótni z bratem, ale to przecież była jego wina i nie pozwoliła, by to wspomnienie zepsuło jej szczęście.

Pojechali do teatru powozem Forresterów. Damian nie miał jeszcze własnego, bo ciągle szukał odpowiednich koni. To miał być jego prezent ślubny dla Rosalyn.

Z foyer wielkiego, imponującego teatru, bogato zdobionego purpurą i złotem, wspaniałe, wyściełane dywanami schody prowadziły do prywatnych łóż. Wszędzie spacerowały wystrojone damy w towarzystwie eleganckich panów, witano się ze znajomymi, sączono dobrze schłodzonego szampana.

- Cieszę się, że wybrałaś dla mnie tę suknię! - szepnęła Rosalyn do Damiana. - W starej czułabym się w tym otoczeniu potwornie zaniedbana.

- Ty zawsze i we wszystkim wyglądasz ślicznie. Ale już czas poszukać naszej loży. Sztuka lada chwila się zacznie.

- Nie możemy się spóźnić na początek. Charlotte mówiła, że jest wyjątkowo frywolny. - Forresterowie wysforowali się

do przodu, byli już w połowie schodów. - Nie mogę się doczekać przedstawienia.

Damian uśmiechnął się. Czuła, że chciał coś powiedzieć o sztuce, ale nagle zeszywniał i kącik ust zaczął mu nerwowo drgać. Pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem i nagle zrobiło jej się zimno na widok Freddiego i Beatrice, którzy zmierzali w ich kierunku.

Było oczywiste, że Freddie ich zauważył. Wpatrywał się w nich z wściekłością, jakby obrażał go sam fakt, że śmieli pojawić się w teatrze. Rosalyn kompletnie zapomniała, że brat zamierzał przywieźć małżonkę na miesiąc miodowy do Paryża.

Jak powinni się zachować? Zerknęła niepewnie na Damiana. Był zły, ale również się wahał. W tym momencie zauważyła ich Beatrice. Dotknęła ramienia Freddiego i najwyraźniej próbowała namówić go, by podeszli do jego siostry. Rosalyn widziała, że brat powiedział żonie coś ostrego, wziął ją mocno pod rękę i pociągnął w inną stronę. Beatrice obejrzała się, przepraszając ich wzrokiem, a jej twarz wyrażała dojmującą przykrość.

Freddie celowo ją obraził! Policzki Rosalyn pokrył ciemny rumieniec, który zaraz ustąpił miejsca strasznej bladości, zrobiło jej się niedobrze. Jak jej rodzony brat mógł ją tak potraktować?

- Tak mi przykro. - Damian opiekuńczym gestem wziął ją pod rękę, a w jego oczach zapłonął gniew. - Jego zachowanie było wstrętne.

- To nieważne. - Dumnie uniosła głowę. - Myślałam, że Freddie ochłonął już z gniewu i pożałował nieprzemyślanych słów, niestety tak się nie stało.

- Mógł przynajmniej z daleka ci się ukłonić. - Damian był wściekły. - Zachował się wyjątkowo niegrzecznie.

- Zapomnijmy o nim. - Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Incydent zdenerwował ją, ale nie zamierzała go roztrząsać. - Charlotte będzie się niepokoić, gdzie się podziewamy. To nieważne, Damianie. Jeśli mój brat postanowił mnie nie znać, to jego sprawa.

W milczeniu wchodzili po schodach. Rosalyn udawała, że jej to nie obeszło, ale przecież czuła wielki ból. Damian omal nie udusił się z wściekłości, że została tak potraktowana. Miał ochotę dogonić Freddiego i zmusić go do przeprosin, nawet gdyby miał się z nim bić. Wiedział jednak, że wywołałby tylko okropną scenę, która jeszcze pogorszyłaby sytuację.

Nie słyszał ani słowa ze sztuki. Obserwował grę uczuć na twarzy Rosalyn. Udawała, że bawi ją przedstawienie, ale doskonale widział, że wieczór został bezpowrotnie zepsuty. Co on zrobił ukochanej kobiecie? Tyle dla niego poświęciła, a tak niewiele dostała w zamian.

W czasie pierwszych wspaniałych dni w Paryżu kupił jej tyle strojów, że nie miała ich kiedy włożyć. Dostała wspaniały pierścionek z brylantów i szmaragdów, pasujący do naszyjnika i kolczyków, jakimi przystroiła się tego wieczoru. Inne klejnoty spoczywały na razie w opakowaniach, Rosalyn miała je otrzymać w stosownym momencie. Zawsze z uśmiechem dziękowała mu za prezenty, choć ich nie potrzebowała. Jego cudowna, wyjątkowa kobieta nie musiała zakładać biżuterii dla podkreślenia urody. To on miał nieustającą potrzebę dawania, by zrekompensować jej wszystko, co straciła, kiedy postanowiła z nim wyjechać. Ale co mogło stanowić wystarczające zadośćuczynienie za przykrość, jakiej dziś doznała?

Rosalyn również zamyśliła się głęboko. Wiedziała, że



Damian był wściekły. Czują na sobie jego spojrzenia i starała się zapanować nad emocjami. Niech diabli porwą Freddiego! Jakie to do niego podobne, że zrobił, na co miał ochotę, nie licząc się z jej uczuciami. W przeszłości wielokrotni ranił ją swą bezwzględnością, ale już nigdy więcej! Po raz ostatni przejęła się tym, co Freddie powiedział lub uczynił.

Rosalyn siedziała w pięknej nocnej koszuli i szczotkowała włosy. Opadały jej na twarz jak lśniąca kurtyna, rozsypywały się po ramionach, a z tyłu sięgały aż do pasa. Usłyszała, że otwierają się drzwi, i zobaczyła wchodzącego do pokoju Damiana. Po powrocie z teatru został na dole i teraz wyczuła w jego oddechu zapach brandy. Zdawała sobie sprawę, że zawdzięczała to bratu, bo Damian rzadko sięgał po mocny alkohol, dziś jednak została zraniona jego dumą. Przede wszystkim jednak cierpiał ze względu na nią. Powinna sprawić, by zapomniał o tym nieprzyjemnym incydencie.

- Zastanawiam się, gdzie się podziewasz - szepnęła, kiedy przyciągnął ją do siebie i zaczął wodzić wargami po jej szyi.

- Obejmij mnie, najdroższy. Kochaj mnie. Pragnę cię, bardzo cię potrzebuję.

- Rosalyn... - Porwał ją w objęcia. - Moja cudowna dziewczyno.

- Kochaj się ze mną... Kochaj mnie, Damianie. Zawsze mnie kochaj. Nigdy mnie nie zostawiaj.

Zaniósł ją na łóżko, ułożył na chłodnych, słodko pachnących prześcieradłach i pokrywał pocałunkami wszystkie czułe, intymne miejsca jej drżącego ciała.

- Damianie... ach!... Damianie... mój kochany.

Krzyczała jego imię, wreszcie wbiła paznokcie w jego ramiona, czując, że leci gdzieś w przestrzeń, leci... leci tam, gdzie istnieje tylko niekończąca się rozkosz miłości, która trwa i trwa aż do utraty poczucia czasu i miejsca.

- Ty mała czarownico - szepnął, kiedy już leżeli wyczerpani, całkiem zaspokojeni. - Czuję się tak, jakbym położył się do łóżka z tygrysią.

- Podrapałam cię?

Próbowała się unieść, żeby spojrzeć na jego ramiona, ale roześmiał się i przewrócił ją znów na poduszkę.

- Spokojnie, czarownico. Droczyłem się z tobą tylko. Uwielbiam, kiedy mnie drapiesz. Uwielbiam to, że nie masz zahamowań, kiedy jesteśmy razem. Jesteś wyjątkowo namiętą kobietą.

Spojrzała mu w twarz, nagle nieco onieśmielona.

- Chcesz powiedzieć, że jestem rozpustna? Czy to zaleta u żony, Damianie?

- Wyjątkowa zaleta. - Uśmiechnął się trochę złośliwie. - Mając cię w łóżku, nigdy nie zapragnę wziąć sobie kochanki. Nie będę miał dość energii.

- Ja jestem twoją kochanką.

Uśmiech zniknął mu z twarzy. W jego oczach zapłonął gniew. Odsunął się od niej.

- Tylko dlatego, że nie udało mi się wcześniej zorganizować ceremonii. To był twój wybór, Rosalyn. Ja mogłem poczekać.

Zrozumiała, że mimowolnie dotknęła czułego punktu. Uniosła się na łokciu, jej włosy rozsypały się po jego twarzy i piersi. Spojrzała na niego. Co kryło się za tą nieprzeniknioną miną? Dlaczego tak się dręczył?

- Nie chciałam czekać - powiedziała miękko. - Nie złość

się, kochany. Nieważne, czy jestem żoną, czy kochanką. Ważne, że cię kocham, a ty kochasz mnie. Zapewniam cię, że nie czuję się wykorzystana. Przyszłam do ciebie z własnej i nieprzymuszonej woli, ponieważ cię kocham. I pragnę jedynie należeć do ciebie, całkowicie i na zawsze.

Przez chwilę patrzył na nią z niezmiennym, twardym wyrazem twarzy, potem jednak wplątał palce w jej włosy, przyciągnął do siebie jej twarz i zaczął całować z nienasyconym głodem.

- Zawsze będę cię kochał - szepnął, kiedy ułożyła się przy nim, umościła w gnieździe jego ramion i przyłgnęła do niego, jakby chciała się w niego wtopić. - Może pewnego dnia pożałujesz, że nie zastanowiłaś się dwa razy, zanim opuściłaś dla mnie rodzinę, ale...

- Nigdy! Nie bądź głupi, Damianie. Kocham cię... jesteś wszystkim, czego potrzebuję, czego kiedykolwiek będę potrzebować. Pragnę tylko ciebie. Jesteś moim życiem.

- Wiem. Wybacz. Byłem wściekły, ale nie na ciebie. Śpij, moja najdroższa. Jestem głupim dziwakiem, ale cię kocham.

Rosalyn coś mruknęła z ustami wtulonymi w jego ramię. Z uśmiechem stwierdził, że już prawie spała. Miała ten godny pozazdroszczenia dar, że mogła zwinąć się w kłębek jak kociak i zasnąć, kiedy tylko zrobiło się jej wygodnie. Świeży, czysty zapach jej włosów wypełniał mu nozdrza. Poczuł, że znów zaczyna w nim narastać pożądanie, ale żelaznym wysiłkiem woli je stłumił. Zawsze natychmiast reagowała na jego potrzeby, ale nie chciał jej budzić. Niech śpi. On sam był zbyt wściekły, by zasnąć - wściekły na człowieka, który ją zranił, i na siebie, że nie był w stanie temu zapobiec.

Gdy zaszłochała przez sen, jego gniew jeszcze wzrósł. Nigdy nie dała mu powodu do podejrzeń, że jest nieszczęśliwa,

ale on i tak nie mógł się pozbyć poczucia winy. Zabrał ją z domu, od rodziny. Na razie była zadowolona, ale co będzie dalej? Czy zacznie żałować tego, co straciła? Czy zacznie żałować, że go spotkała, że rzuciła wszystko dla miłości?

Znał ból wygnania. Choć w końcu zdobył w Indiach fortunę i przyjaciół, to nigdy nie zapomniał, jak bolało odtrącenie przez rodzinę. Przez niego także i Rosalyn stała się wyrzutkiem społeczeństwa, przynajmniej w oczach swego brata.

Do rozpaczki doprowadzało go oskarżenie o morderstwo. Już drugi raz zostało na niego rzucone takie podejrzenie i głęboko go raniło. Za pierwszym razem uwierzył w swoją winę i śmierć niewłaściwego człowieka całymi latami ciążyła mu na sumieniu jak kamień. Tym razem jednak był niewinny. Niestety nie mógł nic zrobić, by odeprzeć podejrzenie i oczyścić się z oskarżeń.

Wyrwał Rosalyn z domu, od rodziny, i w zamian mógł jej jedynie zaoferować splamione nazwisko.

- Na pewno możesz zostać sama? - zapytał Damian już chyba dziesiąty raz tego ranka. - Nienawidzę cię zostawiać, najdroższa, ale interesy wzywają. Muszę odbyć kilka rozmów, a to potrwa.

- Oczywiście, że mogę zostać. Nie musisz być przy mnie bez przerwy. Potrafię znaleźć sobie zajęcie. Napiszę do Marii i cioci Susan. Powinnam zrobić to już dawno, ale rzadko bywamy w domu.

- Przekaż Marii moje uściski - poprosił z lekkim skrzywieniem warg. - Napisz, że opuścimy Paryż zaraz po ślubie. Musimy szybko jechać do Jareda, żeby nie pomyślał, że go porzuciliśmy.

- Cudownie jest mi w Paryżu, ale z radością wrócę do wiejskiego życia.

Po jego wyjściu Rosalyn usiadła przy małym, intarsjowanym biurczku w małym saloniku. Na blacie leżały kosztowne drobiazgi, które wraz z Damianem kupowali w Paryżu. Właśnie wzięła do ręki ładne, złote pióro ozdobione emalią i miała zabrać się do pierwszego listu, kiedy rozległo się stukanie do frontowych drzwi.

Usłyszawszy głosy dobiegające z holu, Rosalyn zerwała się na równe nogi z mocno bijącym sercem. To na pewno Freddie! Dlaczego przyszedł? Weszła pokojówka, żeby go zaanonsować. Rosalyn stała sztywno wyprostowana, na jego widok pobladła. Najwyraźniej był znowu w złym humorze.

- To nie jest towarzyska wizyta - oświadczył po wyjściu pokojówki. - To kwestia interesów. W testamencie ojca istnieje zapis, że od chwili zawarcia związku małżeńskiego możesz dysponować swoim kapitałem... - Pobiegnął wzrokiem ku jej lewej ręce i pogardliwie wykrzywił usta. - Widzę, że jeszcze do tego nie doszło...

- Ślub jest zaplanowany na przyszły tydzień - oświadczyła Rosalyn, dumnie unosząc głowę. - Usiądziesz, Freddie? Beatrice nie przyjechała z tobą?

- Myślisz, że mógłbym przyprowadzić żonę do tego domu?

- Dość tego! - krzyknęła z płonącymi gniewem oczami. - Nie pozwolę, byś znowu obrażał mnie czy Damiana. Powiedz, co masz do powiedzenia, i wynoś się!

- Dobrze. Miałem nadzieję, że wrócił ci rozum, ale widzę, że nie. Zawsze byłaś uparta i samowolna. Obyś w przyszłości nie pożałowała swojej decyzji.

- Nie musisz się martwić o moją przyszłość. Nawet nie marzyłam o takim szczęściu.

- Zostawiam ci te papiery. Przejrzyj je i po podpisaniu odeślij moim prawnikom. Dzięki temu unikniemy kolejnych spotkań.

- Jak sobie życzysz.

Czuła lodowatą złość. Ależ z niego egoista! Co za gruboskórny drań!

- Zabroniłem Beatrice pisać do ciebie. Nie życzę sobie żadnych kontaktów mojej żony z żoną mordercy.

Miała ochotę dać mu w twarz.

- Wstyd mi za ciebie, Freddie - stwierdziła, patrząc na niego z pogardą. - Nie sądziłam, że możesz być tak okrutny i pozbawiony ludzkich uczuć. Zawsze byłeś egoistą, ale myślałam, że kochasz mnie jak brat. Teraz widzę, że tak nie było.

- To ty odcięłaś się od rodziny. Jesteś kowalem własnego losu.

- Naprawdę, Freddie? - Musiał odwrócić wzrok, nie wytrzymał jej spojrzenia. - Oskarżyłeś Damiana o morderstwo, choć, jak sądzę, sam przez chwilę o nim myślałeś. Zajrzyj we własne serce, braciszku, i sprawdź, czy znajdziesz w nim jeszcze resztki dawnych uczuć, bo jeśli nie, to ty sam będziesz z tego powodu najbardziej cierpieć.

- Powiedziałem już, co miałem do powiedzenia. - Wciąż unikał jej wzroku. - Pani Forrester wyjawiała mi, gdzie mieszkacie. Znam trochę jej męża. Obaj należymy do White Clubu. Gdybyś w przyszłości musiała się ze mną skontaktować, możesz to zrobić za pośrednictwem prawników. - Skinął jej głową i wyszedł z pokoju.

Rosalyn stała nadal, gdy zamknęły się już za nim drzwi.

Potem zebrała zostawione przez niego papiery i schowała je do pudełka z przyborami do korespondencji. Na razie nie czuła się na siłach, by do nich zajrzeć. Nie mogła też wziąć się do pisania listów do rodziny.

Postanowiła wyjść do ogrodu i pospacerować w słońcu.

- Są piękne, Damianie! Bardzo ci dziękuję. Wspanialszych nie potrafiłabym nawet wymarzyć.

Stała przy łbach pary cudownych koni do powozu, które kupił dla niej Damian. Oba były czarne z białymi strzałkami na nosach, podobne do siebie jak dwie krople wody, pełne życia i urody. Już na pierwszy rzut oka było widać, że zadał sobie wiele trudu i wydał majątek, by je zdobyć.

- Cieszę się, że ci się spodobały - powiedział z uśmiechem. Żaden z dotychczasowych prezentów nie obudził takiego blasku w jej oczach. - Kiedy już osiedlimy się na stałe, kupię ci więcej koni... Może chciałabyś mieć własną stadninę, na przykład wierzchowców czystej krwi albo nawet koni wyścigowych?

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z zachwytem. - Skąd wiedziałeś, że zawsze o tym marzyłam?

- Nie wiedziałem. - Musnął jej wargi pocałunkiem. - Miałem tylko nadzieję, że ten pomysł ci się spodoba.

Zrekompensuje utratę rodziny i przyjaciół.

- Niczego bardziej nie pragnę. - Przytuliła się do końskiego pyska. - Mój piękny!

- Nazywają się Jeżyna i Północ. Ale jeśli chcesz, możesz im nadać inne imiona.

- Nie, to by im tylko zamieszało w głowach. - Cofnęła się, kiedy stajenny odprowadzał konie, a potem wzięła Damiana pod rękę. - Gdzie je znalazłeś?

W drodze do domu Damian opowiadał jej o kontaktach, jakie nawiązał, i przyznał, że obejrzał tuzin par koni, zanim wreszcie podjął decyzję.

- Chciałem, żeby były idealne. A co ty robiłaś, moja droga?

- Przez większość dnia siedziałam w ogrodzie - odparła, unikając jego przenikliwego spojrzenia. Nie chciała psuć mu radości relacją z wizyty Freddiego. - I wreszcie napisałam zagląde listy.

Wyczuł, że nie była z nim całkiem szczerą, ale nie domyślił się, co próbowała przed nim ukryć. Może pisząc listy do rodziny, uświadomiła sobie wreszcie, co straciła?

- Załatwiłeś swoje sprawy? - zapytała, gdy Damian nie odzywał się przez chwilę.

- Tak. - Zmarszczył brwi. - W ambasadzie czekały na mnie przesyłki. Niestety, jeśli chodzi o Jareda, to informacje nie są dobre.

- Listy od jego ojca?

- Wygląda na to, że postanowił ustąpić wobec nacisków. Oficjalnie wyrzekł się Jareda i uznał za dziedzica swego drugiego syna.

- Ale z niego podlec! Jak ojciec mógł w taki sposób potraktować swego syna? Wyrzekł się go, skazał na wieczne wygnanie...

- Wydaje mi się, że Ahmed nie miał wyboru. A w kwestiach finansowych zachował się bez zarzutu. Poza klejnotami, które przywieźliśmy z sobą, złożył w paryskim banku ogromną sumę dla Jareda. Pewnego dnia ten chłopiec będzie bardzo bogatym mężczyzną.

- Czy pieniądze mogą zastąpić ojcowską miłość?

- Na pewno nie, ale ja mogę, choć w pewnym, niewiel-



kim stopniu. Kilka tygodni temu napisałem do Ahmeda z pytaniem, czy wyrazi zgodę, bym zastąpił Jaredowi ojca, a on przyznał mi prawo, bym dał mu swoje nazwisko. To go ochroni przed następnymi atakami, a taki był właśnie cel Ahmeda.

Rosalyn pocałowała Damiana w policzek.

- Jak to dobrze, że Jared ma ciebie. Może nie będzie zbyt cierpiał z powodu tego, co zrobił jego ojciec.

- Sam mu o tym powiem, ale to oznacza, że powinniśmy wyjechać na wieś zaraz po ślubie.

- Mogę jechać, kiedy tylko zechcesz.

Przypomniała sobie o przyniesionych przez Freddiego dokumentach, których jeszcze nie przeczytała. Brat oczekiwał, że w ciągu kilku dni prześle je do jego prawników, ale to nie miało znaczenia. Wystarczyły jej pieniądze z funduszu powierniczego. Papiery mogły poczekać, aż będzie gotowa się z nimi zapoznać.

- Wyglądasz ślicznie. - Charlotte pocałowała Rosalyn w policzek. - Jestem taka szczęśliwa, że Damian trafił na ciebie, moja droga. Bałam się, że wspomnienia go zniszczą... że nigdy o niej nie zapomni... - Natychmiast zorientowała się, jaką palnęła gafę. - Co ja wygaduję? I to w dniu twojego ślubu! Ach, ten mój niewyparzony język!

- O kim miał, twoim zdaniem, nie zapomnieć? - Rosalyn zmarszczyła czoło. Czy smutek, który widywała w oczach Damiana, wywoływały wspomnienia o kobiecie, którą kochał i utracił?

- O Helen... na pewno ci o niej mówił. Naprawdę nie wiesz, dlaczego się pojedynekował? Wybacz, byłam przekonana, że znasz tę historię.

- Wiedziałam o pojedynku... - Rosalyn sięgnęła po białe rękawiczki. - Myślałam, że Helen była siostrą jego przyjaciela.

- Tak, właśnie tak. Nie powinnam była o niej wspominać, szczególnie dzisiaj. Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że Damian wreszcie odciął się od przeszłości i znalazł szczęście.

Rosalyn uśmiechnęła się, starannie ukrywając wewnętrzny zamęt. Charlotte nie chciała zrobić jej przykrości ani wzbudzić wątpliwości. Nie mogła dopuścić, by informacja o miłości Damiana do dziewczyny, która przed laty odebrała sobie życie ze wstydu, zepsuła ten wyjątkowy dzień. To oczywiste, że nie wyzwałby Harringtona na pojedynek, gdyby Helen nic dla niego nie znaczyła, nie dotarło jednak do niej, że przez dwadzieścia lat przechowywał w sercu pamięć o utraconej miłości.

Czy to miało znaczenie? Powiedziała sobie, że nie. Damian każdego dnia dostarczał jej dowody swych uczuć. To śmieszne, żeby cierpieć z zazdrości o dawno zmarłą dziewczynę. Nie, była zbyt rozsądna, by wpadać w przygnębienie z takiego powodu.

- Zdenerwowałam cię swoją głupią gadaniną? - zaniepokoiła się Charlotte.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła Rosalyn z promiennym uśmiechem. - Od dawna wiedziałam o Helen. - Wciągnęła rękawiczki. - Chyba powinniśmy już iść, bo Damian gotów pomyśleć, że się rozmyśliłam.

Ceremonia była krótka, a uczestniczyło w niej kilku przyjaciół z Forresterami na czele. Na niebie zabłysło słońce, gdy Rosalyn wychodziła z niewielkiego kościołka wsparta na ra-

mieniu Damiana przy dźwięku dzwonów, obsypana płatkami róż, unoszonych w powietrzu przez lekką bryzę.

Wesele odbyło się w hotelu. Był to zwykły obiad w gronie przyjaciół, którzy wznosili toasty najprzedniejszym szampnem, a potem pomachali im na pożegnanie, gdy odjeżdżali wspaniałym powozem, który Damian ofiarował Rosalyn.

Kiedy ruszyli, pocałował pannę młodą w usta.

- Szczęśliwa?
- Tak. Bardzo.

## Rozdział dwunasty

- Jesteśmy, kochanie - oznajmił Damian, gdy powóz skręcił w długą aleję podjazdową.

Wyrzała przez okno.

- Jaki śliczny dom! - zawołała.

Stangret otworzył drzwiczki powozu, Damian wysiadł pierwszy i pomógł żonie.

- Widzę, że oczekiwano na nasz przyjazd.

Pojawił się przy nich Jared.

- Czekałem na was - oświadczył. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zabarwiły kamienne ściany domu na różowo. - Pięknie tu, prawda? Czujecie zapach kwiatów? To jaśmin, zawsze najmocniej pachnie w nocy. - Spojrzał na Rosalyn z lekkim onieśmieleniem. - Nie wiem, jak się do pani zwracać. Może lady Marlowe?

- W żadnym wypadku! - Pocałowała go w policzek. - Będziemy rodziną, Jaredzie, a najbliżsi mówią do mnie Rosalyn. Byłabym szczęśliwa, gdybyś i ty używał mojego imienia.

Wyraźnie uradowany Jared dwornie zaoferował jej ramię, jak na młodego dżentelmena przystało. Jak to w tym wieku

bywa, przez ostatnie tygodnie nie tylko znacznie podrosł, ale i jakby wydorósł.

Gwarząc wesoło, weszli do domu. Rosalyn z entuzjazmem opowiadała o Paryżu, podsycając ciekawość chłopca.

- Przywiozłam ci parę pamiątek, które, jak sędzę, wydadzą ci się zabawne. Jeżeli wrócimy jeszcze do Paryża przed opuszczeniem Francji, musisz pojechać z nami, Jaredzie. Na pewno ci się spodoba, choć wiem, że kochasz wiejską swobodę. - Rozejrzała się dookoła.

To było ogromne, stare domostwo, które niegdyś odgrywało niewątpliwie ważną rolę, teraz jednak z godnością chyliło się ku upadkowi. Damian zapewne wynajął tę posiadłość ze względu na cudowny teren, schodzący, jak jej powiedział, aż ku prywatnej plaży. Jared mógł włóczyć się tu do woli, choć zapewne jego bezpieczeństwu nic już nie zagraża, skoro przestał być sukcesorem tronu.

Rosalyn zastanawiała się, w jaki sposób chłopiec zareaguje na wiadomość, że ojciec wyparł się go, więc zdwoiła wysiłki, by go rozbawić.

Opowiedziała mu o planach założenia w Andaluzji hodowli koni, co przyjął z takim entuzjazmem, że w doskonałych humorach przeszli do salonu, gdzie przygotowano dla nich poczęstunek.

Kochali się tej nocy jeszcze namiętniej niż kiedykolwiek. Potem zaspokojona Rosalyn wtuliła się w ramiona męża. W intymnych momentach cały należał do niej, teraz jednak poczuła, że się od niej oddalił.

- Co się stało, Damianie? - szepnęła. - Coś cię niepokoi?

- Nic, najdroższa. - Pocałował ją. - Wszystko jest w idealnym porządku. Śpij.

Nic na to nie powiedziała. Zasnęła w jego ramionach, ale obudziła się, kiedy wstał z łóżka. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, ale gdy Damian cicho zamknął za sobą drzwi, usiadła i czekała na jego powrót. Coś go niepokoiło i musiała dowiedzieć się co.

Może mimo miłości do niej nie mógł zapomnieć Helen? Czy nadal go dręczył straszliwy los utraconej ukochanej?

Serce ścisnęło się jej z bólu. Czy duch Helen zawsze będzie stał między nimi?

Długo czekała na powrót Damiana, lecz wreszcie zapadła w sen. Kiedy obudziła się rano, za oknami wstał już jasny dzień.

Uznała, że skoro Damiana dręczą upiory przeszłości, to sam musi się z nimi uporać. Ona mogła okazywać mu tylko na każdym kroku, jak bardzo go kocha.

- No nie, jesteś za dobry dla mnie! - zawołała Rosalyn ze śmiechem, kiedy kula Damiana odsunęła na bok jej kulę. Grali w krokieta na trawniku na tyłach domu. Usiadła w wiklinowym fotelu i spojrzała na morze. - Już za gorąco na grę. Czy to Jared jest na plaży?

- Tak. Wpadł w przygnębienie, kiedy mu powiedziałem o decyzji ojca. Cóż, trudno się dziwić...

- Nie ma na głowie turbanu. Dlaczego go zdjął? Myślałam, że jego religia nakazuje go nosić.

- To pewnie taki symboliczny gest, może postanowił odciąć się od poprzedniego życia? - stwierdził z troską Damian. - Musi sam sobie poszukać nowej drogi. Jest rozdarty między dwoma światami, powinien coś z tym zrobić, odnaleźć swoją tożsamość, stworzyć sobie swój własny świat. To konieczne, bo już nigdy nie wróci do Indii.

- Pójdę do niego. To dla niego trudne chwile i musi wie-

dzieć, że go kochamy. Wtedy będzie mu łatwiej wszystko prze-  
myśleć i podjąć jakieś decyzje, bo zyska pewność, że nie jest  
zupełnie sam, że komuś na nim zależy. - Pochwyciła jego  
spojrzenie. - Nie martw się, Damianie, nie będę mu niczego  
narzucać, ani teraz, ani w przyszłości.

- Wydaje mi się, że uznał ciebie za kogoś, kto wprawdzie  
nie jest Anną, ale... On cię pokochał, Rosalyn.

- Chcę tylko, żeby był szczęśliwy. - Dotknęła jego policz-  
ka. - Tak szczęśliwy jak my.

- Jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. - Uśmiechnął się smutno. - Chcesz iść na  
to przyjęcie? Ci ludzie są przyjaciółmi Charlotty. Spotkaliśmy  
młodsze brata Devere a i jego żonę w Paryżu, jeśli pamiętasz.

- Tak, oczywiście. Polubiłam ich - stwierdziła Rosalyn. -  
Devere raz czy dwa wspomniał o hrabim. To bardzo uprzej-  
me z jego strony, że zaprosił nas do swego domu, kiedy do-  
wiedział się, iż mieszkamy w pobliżu. Myślę, że powinniśmy  
pójść, Damianie, chyba że nie masz ochoty?

- Wszystko mi jedno. - Wsunął jej za ucho niesforny kos-  
myk. - Zależy mi tylko na twoim szczęściu. Idź do Jareda, naj-  
droższa. Mam do napisania kilka listów w interesach.

Po chwili schodziła łagodnym, zalesionym stokiem ku pla-  
ży. Jared wrzucał do morza patyki, ale kiedy go zawołała, od-  
wrócił się, by ją powitać. Zauważyła, że skrócił fryzurę, przez  
co jeszcze bardziej upodobnił się do Europejczyka.

- Obciąłem włosy - oznajmił. - Nessa jest na mnie zła, Ra-  
dżib milczy, ale uważa, że to zdrada wobec niego i wszystkie  
go, w co wierzy, ale nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałem  
im, żeby wracali do Indii. Nie jestem już dzieckiem. Nie po-  
trzeba mnie niańczyć.

- Do twarzy ci w tej fryzurze - powiedziała szczerze Rosalyn. - Nie powinieneś jednak odwracać się od tych, którzy cię kochają. Szczególnie od ojca. Nie chciał cię wydziedziczyć, ale nie miał wyboru, zrobił to tylko dla twojego dobra.

- Odsunął mnie, bo faworyzuje syna nowej żony. - W oczach zalśniły mu łzy. Starał się zachowywać jak dorosły, i niedługo nim się stanie, ale teraz był jeszcze dzieckiem, które zostało skrzywdzone przez swoich najbliższych. - Popęłił zdradę wobec mnie i wobec pamięci mojej matki.

- Spróbuj mu wybaczyć, kochanie. Nie karm się goryczą. - Rozłożyła ramiona. - I wiedz, że nie zostałeś sam, bo my cię kochamy. Dla mnie i Damiana jesteś jak nasz syn. Wiem, że boli cię to, co się stało, ale...

Jared wpadł w jej ramiona i wybuchnął płaczem. Wypłakiwał żal, który tak długo w sobie tłumił. Rosalyn objęła go mocno i kołysała, a on szlochał i szlochał. Pocałowała go w czubek głowy i pogładziła niefachowo ostrzyżone włosy. Wreszcie się uspokoił.

- Teraz już będzie lepiej - zapewniła czule. - Z czasem zrozumiesz, że twój ojciec zrobił to, co uznał za najlepsze dla ciebie. Postaraj się nie zgorzknieć, mój drogi. Nienawiść do ojca nic ci nie da.

Podniósł dumnie głowę i spojrzał na Rosalyn.

- Jesteś mądra. Spróbuję zastosować się do twojej rady, choć to bardzo trudne.

- Wracajmy i napijmy się herbaty. - Wzięła go za rękę i zaczęli się wspinać do stojącego na wzgórzu domu. - Zostałam dziś z Damianem zaproszona na wielkie przyjęcie przez hrabiego Christophe'a Devere'a. Powiedz mi, czy mam włożyć zieloną suknię, czy purpurową?

- Ty zawsze wyglądasz pięknie - oświadczył Jared, otacza-



jąc ją w pasie ramieniem. - Sądzę jednak, że purpurowa suk-  
nia jest bardziej elegancka. Jeśli mają tam być ważne osobi-  
stości, to wybierz ją. A na dodatek brylanty, które dostałaś  
wczoraj od Damiana.

- Będę wyglądać bardzo imponująco, co? - Ze śmiechem  
przestąpiła próg domu. - Tak, myślę, że masz rację, Jaredzie.  
Ubiorę się w purpurową suknię...

Damian wszedł do sypialni, gdy Rosalyn przebierała się  
na przyjęcie. Z uśmiechem poprosiła, by zapiął jej suknię  
na plecach.

- Jared uznał, że powinnam wybrać tę - powiedziała. - Co  
o niej sądzisz?

- Tobie we wszystkim pięknie. Chyba o tym wiesz?

W jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nutka, która spra-  
wiła, że Rosalyn spojrzała na niego uważniej. Przypomniała  
sobie noc, kiedy zostawił ją samą w łóżku i już nie wrócił do  
rana.

- Czy stało się coś złego, Damianie?

- Dlaczego miałoby się coś stać? - Wyjął z jej rąk brylan-  
towy naszyjnik, który daremnie próbowała zapiąć, uporał się  
z zameczkiem i pocałował Rosalyn w odsłonięte ramię. - Dla-  
czego pytasz?

Spojrzała mu w twarz. Niewątpliwie działo się coś złego,  
ale nie chciał o tym mówić. Może lepiej na razie dać temu  
spokój? Czowała, że zamykał się przed nią, i bolała nad tym, ale  
postanowiła, że nie da tego po sobie poznać.

- Bez powodu, nieważne. Jesteś gotów do wyjścia?

Nie zdawała sobie sprawy, że w jej zachowaniu pojawiła się  
leciutka rezerwa. Damian natychmiast to zauważył, ale po-  
wstrzymał się od komentarzy.

- Tak, oczywiście.
- Ciekawa jestem, jaki będzie ten hrabia. Już go kiedyś spotkałeś?
- Nie. - Myślał o tym, jak cudownie wyglądała w tej purpurowej sukni. Zawsze była piękna, ale ostatnio dosłownie promieniała. Przyciągnie wszystkie spojrzenia, tak samo jak na balu w Londynie, kiedy ogarnęła go taka zazdrość. - Jednak wiele o nim słyszałem.
- Tak...?
- Bogaty, przystojny i czarujący, jak mówią, ale zdeklarowany kawaler, pomimo starań legionów pięknych dam.
- W takim razie spotkanie z tym męskim ideałem zapowiada się interesująco, nie sądzisz, kochanie?
- Zobaczymy. - Uśmiechnął się. - Pani powóz już czeka, milady.

Rosalyn była zdumiona bogactwem hrabiego. Cały pałac wypełniony był skarbami. Na ścianach wisiały obrazy starych mistrzów, meble dorównywały urodą tym, które podziwiali z Damianem w Wersalu i w Luwrze. Hrabia najwyraźniej był nie tylko krezusem, ale i koneserem sztuki.

Weszli po imponujących schodach, u szczytu których powitał ich gospodarz. Rosalyn wystarczyło jedno spojrzenie na Christophe'a Devere'a, by zrozumieć, że Damian nie przesadził w jego opisie. Miał kruczoczarne włosy i piękne, wyraziste błękitne oczy. Ubrał się ze szczególną starannością, żabot uszyty był z najwyższej klasy koronki i przypięty diamentem takiej wielkości, że jego blask aż raził.

Maniery miał nienaganne. Z galanterią ucałował dłoń Rosalyn, choć może przytrzymał ją o sekundę dłużej, niż należało. Jego spojrzenie zapewniło Rosalyn, że zarówno ona sama,

jak i jej dość odważnie wydekoltowana suknia znalazły uznanie w jego oczach.

- Jestem oczarowany, madame - powiedział cicho. - Rzadko zdarza się widzieć taką doskonałość... taką królewską postawę. - Uśmiechnął się nieco kpiąco. - Powiedziano mi, że jest pani Angielką, ale to chyba nieprawda?

- Ależ prawda, hrabio - odparła Rosalyn, zarazem rozbawiona, jak i czujna w obecności tego czarującego drapieżnika. Spotykała już takich mężczyzn i wiedziała, jak potrafili być niebezpieczni dla tych niemądrych kobiet, które uległy ich urokowi. - Mam jednak nadzieję, że nie wyglądam jak typowa angielska blada różyczka.

- Pani jest jak egzotyczny kwiat - odparł hrabia. - Milordzie, pragnę pogratulować panu żony. Jest przepiękna.

- W pełni podzielam pana zdanie - odparł Damian sucho. - Uważam się za wyjątkowego szczęściarza, że akurat mnie wybrała spośród tłumu oddanych wielbicieli.

Rosalyn spojrzała na niego ze zdumieniem. W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nutka. Chyba nie był zazdrosny? Przecież to niemożliwe, by podejrzewał, że mogła zainteresować się innym. A jednak w jego oczach dostrzegła niebezpieczny błysk.

Wmieszali się w tłum gości, spacerujących po ogromnej sali, zanim podano do stołu. Dla Rosalyn przeznaczono miejsce po prawej ręce gospodarza. Damiana usadowiono znacznie dalej, ale po tej samej stronie stołu, więc nie mogli się wzajemnie obserwować. Zauważyła, że po obu bokach jej męża znalazły się atrakcyjne kobiety, miała więc nadzieję, że będzie zadowolony. Ona zaś stała się obiektem wyjątkowej uwagi hrabiego.

- Proszę mi zdradzić, milady - poprosił w pewnej chwili,

przysuwając się bliżej, by móc szeptać jej wprost do ucha - czy lord Marlowe zawsze jest wobec pani taki zaborczy? Trudno mu się zresztą dziwić. Takiego skarbu należy pilnować.

Rosalyn wyczuła, że hrabia podkpiwał sobie z Damiana, więc zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

- Mąż nie myśli o mnie w ten sposób. Jesteśmy szczęśliwi w małżeństwie, sir.

- W takim razie jeszcze bardziej zasługuje na zazdrość - mruknął hrabia z lekkim rozbawieniem w swych hipnotyzujących oczach. - Szczęście małżeńskie jest o wiele trudniejsze do zdobycia niż bezcenne skarby do mojej kolekcji. Czy mogę zapytać, od jak dawna jesteście państwo małżeństwem?

- Od kilku tygodni.

- A... w takim razie wciąż działa urok nowości... Szkoda, że spotykamy się w tym momencie. Taka uroda jak pani nie powinna być trwoniona tylko dla jednego mężczyzny... chyba że ten mężczyzna potrafi docenić prawdziwe piękno, w co w tym wypadku mam prawo wątpić. - Jego spojrzenie było całkiem jednoznaczne.

- Skończmy ten temat, bardzo proszę - stwierdziła Rosalyn z cierpką nutką w głosie. Poczula się nieswojo. Spojrzała na Damiana, ale wydawał się całkowicie pochłonięty rozmową z siedzącą obok damą. - Nie przepadam za komplementami.

- Nie? Doprawdy, jest pani kobietą wyjątkową. - Na ustach hrabiego pojawił się drapieżny uśmiech. - A za czym pani przepada, madame? Jestem bardzo ciekaw.

Rosalyn nie odpowiedziała. Stało się jasne, że hrabia postanowił ją uwieść, może dlatego, że nie zdradzała ochoty do flirtu. To niewątpliwie była z jego strony tylko gra, zabawa, którą starał się zapełnić pustkę swego pozbawionego celu ży-

cia. Potrafił być czarujący, w istocie jednak był próżny i głupi. Wolałaby, żeby nie okazywał jej aż takiego zainteresowania. Niestety jej życzenie nie miało się spełnić.

Pod koniec posiłku, przy akompaniamencie okrzyków zachwytu i oklasków, wniesiono słodczyce. Były to cukrowe sceny z mitologii greckiej, postacie nimf, satyrów i mężczyzn, walczących z mitycznymi bestiami - prawdziwy triumf szefa kuchni, któremu nawet monsieur Maurice nie potrafiłby dorównać.

Potem siostra gospodarza, pani Moreau, zaprowadziła panie do oddzielnego salonu, a panowie pozostali, by we własnym gronie delektować się brandy lub porto. Pani Moreau zdecydowanie wyróżniała Rosalyn, widząc w niej faworytę brata.

- Christophe nigdy się nie ożenił - mówiła do Rosalyn. - Obawiam się, że jest rozpuszczony, madame. Kocha piękno i jeszcze nie udało mu się spotkać kobiety, która dorównałaby urodą jego pałacowi. Powiedziałam mu, że jest zbyt wymagający. Już najwyższy czas, by ożenił się i zapewnił rodzinie dziedzica.

- To naturalne, że życzy pani bratu, by wreszcie szczęśliwie się ustabilizował - odparła Rosalyn z obowiązku. Nie interesował jej ani hrabia, ani jego siostra. Zaczynała już odczuwać zmęczenie i marzyła, by wrócić do domu. - Pani brat, mając pałac pełen prawdziwych skarbów, zapewne również pragnie dziedzica, któremu mógłby to wszystko przekazać. Tyle tu pięknych i unikalnych przedmiotów.

- A co podoba się pani najbardziej?

- O, jest ich zbyt wiele, bym potrafiła wybrać jedną rzecz. Na przykład ta etażerka z kolekcją cacek ze złota i emalii jest bardzo interesująca.

- Ma pani dobre oko. Mój brat zgromadził dzieła sztuki

z Włoch, Rosji i Orientu. Tak, w tej etażerce jest kilka bardzo wartościowych przedmiotów.

Rosalyn uśmiechnęła się, ale nic więcej nie dodała. Nie interesowała jej wartość hrabiowskiej kolekcji, a poza tym właśnie zauważyła wchodzącego do pokoju Damiana. Gdy rzuciła mu błagalne spojrzenie, natychmiast znalazł się przy niej.

- Możemy wracać do domu? - szepnęła. - Jesteś gotów?

- Właśnie zaczynają ustawiać stoliki do gry. Chcesz wyjść tak wcześnie?

Bardzo chciała, zauważyła jednak, że Damian miał ochotę na odrobinę hazardu. Sama poczuła się w obowiązku dołączyć jako czwarta do partyjki wista organizowanej przez panią Moreau.

Rosalyn grała ze zmiennym szczęściem, co tak irytowało jej partnerkę, że zaczęła ją przeproszać.

- Obawiam się, że nie jestem najlepsza w kartach. Z ojcem grywaliśmy wieczorami w szachy.

Po kilku rozdaniach jej miejsce zajęła inna dama, a Rosalyn, widząc, że Damian świetnie się bawi, podeszła do okna. Patrzyła na rozgwieżdżone niebo, gdy nagle uświadomiła sobie, że ktoś stanął tuż za nią. Odwróciła głowę i zobaczyła hrabiego. Przeszedł ją dreszcz na widok wyrazu jego oczu.

- Pani nie lubi kart, madame?

- Nie bardzo. Uczyłam się gry w szachy od prawdziwego mistrza i zdecydowanie wolę walkę dwóch intelektów od władzy przypadku, bo tym przecież jest układ kart w każdym rozdaniu.

- Rozumiem... pani lubi brać los w swoje ręce. - Kiwnął głową, bardzo z siebie zadowolony. - Więc może ma pani ochotę zobaczyć jeden z moich największych skarbów? Mam olśniewający komplet figur szachowych w swoim prywatnym saloniku. Możemy tam pójść, jeśli pani sobie życzy.

Rosalyn zawahała się. Nie chciała go obrażać, z drugiej jednak strony nie zamierzała dać się wciągnąć w tak oczywistą pułapkę. Zerknęła na Damiana, który właśnie wygrał swoją partię. Odwrócił się i spojrzał na nią z nieodgadnioną miną.

- Proszę mi wybaczyć, sir - powiedziała do hrabiego. - Niestety muszę poprosić męża, by mnie zabrał do domu, rozboleła mnie głowa.

- Przykro mi to słyszeć. - Uniósł brwi. - Może któregoś dnia zaszczyciłaby mnie pani partyjką szachów?

Rosalyn uśmiechnęła się tylko i podeszła do Damiana.

- Chcesz jechać do domu? - zapytał.

- Tak. Trochę boli mnie głowa. Wytłumaczyłam się już przed hrabią.

- Powinnaś powiedzieć mi o tym wcześniej.

- Myślałam, że masz ochotę na karty.

- Zostałem zaproszony, więc nie mogłem odmówić, ale nie zależy mi na grze.

Przez całą drogę do domu nie odezwał się ani słowem. Wyczuwała, że jest wściekły, ale nie zamierzała go o nic pytać. Jeśli względy, jakie okazywał jej hrabia, wzbudziły jego zazdrość, to jego problem. Nie zrobiła nic, by zwrócić na siebie uwagę gospodarza, musiała jednak uprzejmie odpowiadać na jego grzeczność. Zresztą Damian był w złym humorze, zanim jeszcze wyjechali z domu.

Życzył Rosalyn dobrej nocy, ale nie pocałował jej ani nie poszedł za nią do sypialni. Zatrzymała się z wahaniem u szczytu schodów i obejrzała się na niego. Zadrżała na widok jego twarzy.

Co się z nim działo, na litość boską? Powiedział kiedyś, że być może Rosalyn pewnego dnia pożałuje, że za niego wyszła - czyżby sam zaczął żałować? Może przekonał się, że mimo

ślubu nie potrafi jednak zapomnieć o Helen? Może dlatego opuścił łóżko, kiedy spała, bo chciał, by zamiast niej leżała w nim Helen?

Tej nocy Rosalyn spała sama. Po raz pierwszy odkąd opuściła swój dom w Anglii, Damian nie przyszedł do niej. I nagle uświadomiła sobie, że od tamtej pory nie miała miesięcznej słabości.

Czyżby nosiła pod sercem dziecko Damiana?

Uznała, że to nader prawdopodobne. Nie była tylko pewna, czy cieszy się z tego powodu, czy też nie. Pewnie byłoby lepiej, gdyby mieli czas zżyć się z sobą, zanim pojawią się rozliczne kłopoty związane z rodzicielstwem.

Czy Damian będzie zadowolony? Nie miała pewności. Nie wątpiła w miłość męża, ale nie знаła jego pragnień i planów na przyszłość. Kochał ją, była o tym przekonana, ale coś nie dawało mu spokoju. A może ten nieustający niepokój stanowił cechę jego charakteru?

Postanowiła na razie nie zdradzać się z podejrzeniami w sprawie ciąży. Nie wiedziała, jak mąż przyjmie nowinę, zresztą nie była jeszcze pewna.

Dlaczego Damian nie przyszedł do niej tej nocy? Dlaczego był taki zły? To się zaczęło chyba w momencie, kiedy poszedł pisać listy, a ona zeszła porozmawiać z Jaredem. Przedtem, gdy grali w krokieta, byli szczęśliwi. Dlaczego w jego oczach znów pojawiła się ta dawna udręka?

Zanim Rosalyn wstała, Damian zdążył odbyć długą, szaleńczą jazdę. Siedział do późna, pił samotnie w gabinecie i przeklinał własną głupotę, która kazała mu zdradzić się ze swą zazdrością. Ból głowy Rosalyn był pewnie oznaką jej nie-



zadowolenia. Zawsze wysoko ceniła swą niezależność i źle znosiła próby ograniczenia swej wolności.

Zachował się jak zaborczy małżonek, podczas gdy powinien okazać rozbawienie wysiłkami Devere'a - wysiłkami, które spotkały się z należytą odprawą Rosalyn. Wiedział, że nie zachęcała hrabiego. Nie miał jej nic do zarzucenia... nic, co mogło usprawiedliwić podły nastrój, w jaki wpadł, gdy zauważył, jak stali razem przy oknie i dostrzegł drapieżny wyraz oczu Devere'a.

Hrabia pragnął Rosalyn tak, jak pragnął obsesyjnie gromadzonych dzieł sztuki. Pociągała go jej uroda - i jej niedostępność. Obudziła w nim żyłkę myśliwską. Damian od początku wyczuwał niebezpieczeństwo. Coś w nim krzyczało, żeby natychmiast ją stamtąd zabrać i zamknąć bezpiecznie w domu, ale rozsądniejsza część jego natury uspokajała, że Rosalyn to nie Helen. Ona nie pozwoli się uwieść ani zgwałcić, nie popełni samobójstwa, kiedy poczuje się nieszczęśliwa. Nie miał powodu do obaw. Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że znalazła się w niebezpieczeństwie, że mógł ją stracić.

- Przeklęty głupiec! - krzyknął. Czy już nigdy nie uwolni się od przeszłości? Od poczucia winy i dławiącego lęku, że nie zasługuje na szczęście...

To nie przez Damiana Helen odebrała sobie życie, ale nie potrafił sobie wybaczyć, że nie zapobiegł tragedii. I choć z czasem nauczył się żyć z tym poczuciem klęski, to jednak po zabójstwie Bernarda Harringtona wszystkie dawne cierpienia wróciły z nową siłą.

Wiedział, że otrzymał wyjątkowo cenny dar. Rosalyn nie tylko w pełni odpowiadała jego ideałowi kobiety, ale była jeszcze doskonalsza niż w jego marzeniach, więc żył w panicznym lęku, że ją straci. Co będzie, kiedy poczuje się znużona rolą

żony wyrzutka i zateškni do dawnego życia? A jeśli już żałowała pochopnej decyzji?

Poprzedniego dnia Damian zajrzał do pudełka z przyborami do pisania żony w poszukiwaniu wosku do pieczęci i natknął się przypadkiem na dokumenty dotyczące kapitału Rosalyn, którym zgodnie z ostatnią wolą ojca mogła dowolnie dysponować od chwili wstąpienia w związek małżeński. Nie zostały przez nią jeszcze podpisane, ale data stempla świadczyła, że widziała się z bratem w Paryżu. Dlaczego mu o tym nie wspomniała?

Uznał, że celowo zataiła przed nim spotkanie z Freddie. Dlaczego? Czy brat zgodził się z nią zobaczyć tylko pod warunkiem, że będzie sama? Ta myśl zaboląa go, poczuł w ustach smak goryczy. Rosalyn miała pełne prawo widywać się z Freddie, wolałby jednak, by mu o tym powiedziała.

No nie, to już naprawdę idiotyzm! Damian był wściekły na siebie, że przejmował się takimi głupstwami. Devere stanowił znacznie poważniejszy problem. Powinien ostrzec Rosalyn, choć przecież udowodniła, że potrafi sobie znakomicie z hrabią poradzić. Może więc lepiej nic nie mówić? Za kilka tygodni i tak wyjadą do Hiszpanii... choć męczyło go przekonanie, że do tego nie dojdzie.

## Rozdział trzynasty

Rosalyn znalazła na toalecie ślicznie zapakowaną paczuszkę. Kolejny prezent! Damian ciągle ją czymś obdarowywał i ostatnio odkryła, że lubi być rozpieszczana.

Z uśmiechem rozwiązała wstążeczkę i rozwinęła papier. Szukała bileciku, lecz go nie znalazła, a przecież Damian zawsze dołączał do prezentu parę dowcipnych, czułych słów.

Zdjęła wieczko i zobaczyła maleńkie cacko ze złota i kryształu, pewnie kwarcu. Na łożycze ze skróconego złotego drutu znajdował się bukiet kwiatów z różowego kamienia; środeczki kwiatów wykonano z rubinów, a listki z jadeitu. Był to elegancki drobiazg, w niczym nieprzypominający prezentów, jakie dotychczas dostawała od Damiana. Odłożyła go na toaletkę w momencie, gdy mąż wszedł do pokoju.

- Damianie! - Wyciągnęła do niego rękę. - Dziękuję ci za prezent. Jest cudowny...

- Prezent? - Spostrzegł urocze cacko i zmarszczył brwi. - Skąd to się wzięło?

- Nie zostawiłeś go dla mnie? - zdumiała się. - Kiedy się obudziłam, znalazłam to na toalecie. Myślałam, że to ty położyłeś.

- To nie jest prezent ode mnie. - Z trudem powstrzymał nerwowe drżenie warg. - Chyba się domyślasz, kto go przysłał, widziałas przecież wczoraj podobne drobiazgi.

- Myślisz, że przysłał to hrabia Devere? - Spojrzała na niego z irytacją. - Nie mogę przyjąć takiego prezentu. Jest zbyt drogi. Odeślę go natychmiast.

- Niewątpliwie powinnaś to zrobić... Chyba że chcesz go zachęcić?

- Damianie! - Wstała i cofnęła się o krok, oburzona jego sugestią. Chyba nie mówił poważnie? Jak mógł ją tak obrażać? Poczowała ból. Dlaczego Damian był wobec niej tak okrutny? - To, co powiedziałaś, było podłe. - Dumnie uniosła głowę. - Aż mi trudno uwierzyć, że usłyszałam z twoich ust takie słowa.

On również nie mógł uwierzyć. Te słowa podyktowała mu bezrozumna, ślepa na wszystko zazdrość. Zdawał sobie sprawę z ich okrucieństwa i bezsensu, i zaczął ich żałować już w chwili, gdy padły.

- Wybacz - powiedział sztywno. Chciał przeprosić z całego serca, powstrzymała go jednak duma... czy zazdrość. - Masz prawo być zła, Rosalyn. Nie powinienem był tego mówić. Wiem, że nie zastanawiałaś się, ale przecież zdajesz sobie sprawę, że hrabia chciałby zrobić z ciebie swoją kochankę?

- To nonsens! - Wpadła w straszny gniew. Czy Damian wyobrażał sobie, że skoro oddała mu się przed ślubem, to była również gotowa zostać metresą innego mężczyzny? Jak on mógł! - Wczorajszego wieczoru hrabia był jedynie uprzejmym gospodarzem, a ten prezent przysłał mi pod wpływem bezmyślnego impulsu szczodrego człowieka. - Wiedziała, że to nieprawda. Ten prezent miał ją wciągnąć w pułapkę, lecz bez trudu przejrzała tę grę.

- Więc zatrzymaj to - wycedził. - Widzę, że bardziej ci się podoba niż którykolwiek z moich darów.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Rosalyn patrzyła za nim z niedowierzaniem. Co się stało? Damian nigdy się tak do niej nie odnosił. Ta pierwsza prawdziwa kłótnia zraniła ją, sprawiła jej taki ból, jakby ją uderzył.

Czym sobie zasłużyła na taki brak zaufania? To nie jej wina, że hrabia pragnął ją uwieść. Nie zachęcała go, wręcz przeciwnie, zrobiła wszystko, by go przekonać, że nie była nim zainteresowana.

Zadzwoiła na pokojówkę, kazała zapakować pudełeczko i odesłać hrabiemu. Zapowiedziała również, by tak samo uczynić z wszelkimi następnymi prezentami.

Zaraz po wyjściu pokojówki zjawił się Damian. Stał w progu niepewnie, pełen skruchy.

- Przepraszam, Rosalyn - powiedział cicho. - Jestem zazdrosnym idiotą. Wpadłem we wściekłość, widząc, jak Devere wczoraj na ciebie patrzył, a kiedy zobaczyłem, że spodobał ci się jego prezent, straciłem panowanie nad sobą. Zachowałem się jak kretyn... wybaczysz mi?

- Oczywiście. Już odesłałam prezent. Chyba nie sądziłeś, że chcę go zatrzymać? - Gdy pokręcił głową, z ogromną ulgą rzuciła mu się w ramiona. - Kocham cię, Damianie. I tylko ciebie. Chyba wiesz o tym?

- Tak. W głębi serca nie zważyłem w ciebie. Wybacz, Rosalyn. Nic nie mogę poradzić na to, że jestem zazdrosny. Muszę zapanować nad tym demonem, ale proszę, uważaj. Nie wolno ufać Devere'owi. Gdyby coś ci się stało... to nie ręczę za siebie.

Spojrzała na jego twarz i przeraziła się. Wolała nawet nie myśleć, do czego mógłby się posunąć, gdyby hrabia ją uwiódł. Czy byłby gotów zabić?

Dawniej była święcie przekonana, że nie zastrzelił Bernarda Harringtona, teraz nie miała już tej pewności.

Wprawdzie ich pierwsza kłótnia szybko minęła, Rosalyn wyczuwała jednak rosnącą frustrację męża, co bardzo ją niepokoiło.

Pewnej nocy obudziła się ze snu, który już niegdyś śniła. Biegła we mgle. Damian był tuż przed nią, ale nie mogła do niego dotrzeć. Głośno krzyknęła jego imię i otworzyła oczy. Odwróciła się, żeby w jego ramionach szukać ukojenia, ale go nie było.

- Damianie - szepnęła w ciemności. - Nie zostawiaj mnie, kochany. Wróć do mnie. Jesteś mi potrzebny... tak bardzo potrzebny.

Bała się, że oddała się od siebie, że go straci. A tego nie potrafiłaby znieść.

- Pani Moreau - zaanonsowała pokojówka. - I hrabia Devere.

Rosalyn, która siedziała w bawialni przy herbacie, podniosła wzrok na nowo przybyłych. Od przyjęcia upłynęły trzy dni, w czasie których przez jej dom przepływał nieustający strumień gości, przeważnie dam, które chciały dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, która wzbudziła takie zainteresowanie hrabiego Devere'a.

- Pani Moreau, panie hrabio. - Wstała na powitanie gości. - Miło mi państwa widzieć w swoim domu.

Pani Moreau rozglądała się wokół w wyższością, wyraźnie dając do zrozumienia, że ten dom nie może się równać z pałacem jej brata.

- Milady. - Hrabia pochylił się nad dłonią Rosalyn, nie od-

rywając od niej zachwyconego spojrzenia. - Jest pani jeszcze piękniejsza.

Rosalyn żałowała, że Damiana nie było akurat tego popołudnia w domu. Niestety, pojechał z Jaredem do odległego majątku, by obejrzeć konia, o którego urodzie krążyły legendy.

- Jeśli okaże się naprawdę taki wspaniały, jak o nim mówią, to go kupię - zapowiedział Damian. - Zabierzemy go z sobą do Hiszpanii.

- Kiedy wyruszamy?

- Wkrótce. Czekam tylko, by paryscy prawnicy przygotowali dokumenty niezbędne do adopcji Jareda. - Uśmiechnął się i pocałował ją. - Agenci już szukają dla nas odpowiedniego miejsca, z dobrymi pastwiskami dla koni i mnóstwem wody.

Nie wyznała mu jeszcze, że może być przy nadziei, bo nadal nie miała całkowitej pewności. Gdyby jednak była w ciąży, sądziła, że zdążą się zadomowić w nowym miejscu, zanim zaczną odczuwać niedogodności związane ze swoim stanem.

Pożegnała Damiana z uśmiechem, choć poczuła się nagle bardzo osamotniona i bezbronna. Nie, to przecież śmieszne! Miała dom pełen służby i pół tuzina wizytujących do towarzystwa. Nie było powodu do niepokoju.

Kiedy jednak goście, odsiedziawszy zwyczajowe dwadzieścia minut, zaczęli się żegnać, jej niepokój przybrał na sile. Dlaczego hrabia patrzył na nią w taki sposób? Dlaczego zaczynała się czuć jak w pułapce?

W końcu pozostali już tylko hrabia i jego siostra. Wreszcie pani Moreau zaczęła żegnać się z Rosalyn, a potem spojrzała na brata i powiedziała:

- Nie, Christophe, nie wstawaj. Wiem, że chciałbyś porozmawiać z hrabiną w cztery oczy, więc zostawiam was samych. Doskonale znam drogę do domu, na pewno nie zabłądzą.

Rzuciła bratu tak znaczące spojrzenie, że Rosalyn ogarnął gniew. Stało się dla niej jasne, że pani Moreau wykonała swoje zadanie w intrydze, której celem było uwiedzenie jej. Pewnie odgrywali tę scenę nie po raz pierwszy.

Ale tym razem im się nie uda!

- Proszę wybaczyć, hrabio, ale muszę pana prosić o opuszczenie domu - powiedziała. - Rozboliła mnie głowa i powinnam się położyć.

- Znowu głowa? - Devere uniósł brwi z rozbawieniem. - Jestem zaniepokojony, milady. Czyżby pani zachorowała? Może zrobi mi pani grzeczność i skorzysta z pomocy mojego prywatnego lekarza?

W tym momencie pojawiły się pokojówki i zaczęły sprzątać zastawę, uwalniając Rosalyn od konieczności odpowiedzi. Wyszła na kamienny taras, zstąpiła na trawnik. Hrabia podążył za nią.

- Tak, to dobry pomysł, milady. Świeże powietrze pomaga na ból głowy. Na pewno lepiej działa niż leżenie w dusznym pokoju. Chyba że ma się towarzystwo, które może rozproszyć nudę...

Było to tak jednoznaczne, że Rosalyn odwróciła się do niego z płonącymi gniewem oczyma.

- Zmusza mnie pan, bym zaczęła mówić otwarcie. Nie chcę zostać z panem sam na sam. Pana atencje nie sprawiają mi przyjemności.

- Zwróciła mi pani prezent - powiedział, całkowicie ignorując jej wybuch. - Nie podobał się pani? Powiedziano mi, że



ceni pani takie drobiazgi, ale jeśli woli pani co innego, wystarczy poprosić. Niech mi pani zdradzi, czym mogę kupić pani uśmiech? Zarówno moja osoba, jak i mój majątek są do pani dyspozycji.

- Nie mam ochoty na nic, co mógłby mi pan ofiarować. - Zgromiła go spojrzeniem. Czy ten człowiek był tak grubo skórny, że nic nie rozumiał? - Proszę odejść i więcej mnie nie niepokoić.

Ruszyła przez trawnik. Było gorąco i wcale nie kłamała, że rozboleła ją głowa. Był to tępy, ciężki ból, który zdawał się przygniatać ją do ziemi.

Kiedy uświadomiła sobie, że księżę idzie za nią, odwróciła się z gniewem.

- Czy pan naprawdę nie pojmuje, co mówię?

Uśmiechnął się w niedowierzaniem, tak przywykły do zwycięstw, że nie potraktował poważnie odprawy.

- W gniewie jest pani porywająca. - Jego głos aż ochrypl z pożądania. - Taka kobieta jak pani pasuje do mojego domu. Jeśli odniosła pani wrażenie, że chodzi mi tylko o krótki romansik, to proszę o wybaczenie. Gdyby była pani wolna, poślubiłbym panią, natomiast jako moja kochanka otrzyma pani do dyspozycji prawdziwie królewskie dochody.

- Nie zamierzam zostać ani pańską żoną, ani kochanką. I nie interesuje mnie pański majątek, hrabio. - Nacisk na mózg stawał się nie do zniesienia.

- Ale będzie pani moja. - Z wyrazem zwierzęcej żądz porwał Rosalyn w ramiona. - Skosztuję miodu, którego mi wzbraniasz.... choćby na krótko...

Była zaszokowana, że ośmielił się napastować ją w biały dzień, w jej własnym ogrodzie. Okładała go pięściami, ale po-

chylił głowę i zawładnął jej ustami w pełnym nienawiści, zachłannym pocałunku, który napełnił ją obrzydzeniem. Z przerażenia doznała takiego przyływu sił, że zdołała odepchnąć go od siebie i wierzchem dłoni otarła usta, żeby pozbyć się jego smaku.

- Jak pan śmiał?! Jak pan śmiał tak mnie obrazić?!

- To dopiero początek. - Zwąziły mu się źrenice. Nie przywykł, by go odtrącano, by odmawiano mu rozkoszy i jej opór obudził w nim najgorsze skłonności. W dodatku dotarły do niego pogłoski na temat tej kobiety, które pozwoliły mu liczyć, że nie będzie niedostępna, więc rozczarowanie odmową okazało się jeszcze silniejsze. - Zapewniam, że zawsze w końcu dostaję to, czego pragnę. Była pani kochanką Marlowea, zanim się z panią ożenił, dlaczego więc nie miałaby go pani rzucić dla mnie? Mogę pani dać znacznie więcej...

- Nigdy! - krzyknęła. - Proszę zostawić mnie w spokoju.

- Przecież to mogłoby nam obojgu sprawić przyjemność... ale jeśli zechcę, mogę być bardzo niebezpiecznym wrogiem. Pragnę pani i zamierzam panią zdobyć, nawet gdybym musiał panią porwać i zabić pani męża.

Nie mówił tego poważnie! Rosalyn była zbyt wstrząśnięta, by myśleć logicznie.

- Nie... - szepnęła, a jego twarz zaczęła jej się rozmazywać przed oczami. Przycisnęła rękę do czoła, a ogród zawirował wokół niej. - Nie... nie wolno panu tak mówić... -I szepnęła ostatkiem sił: - Damianie, ratuj mnie, ratuj...

Zapadła w ciemność.

Kiedy w jakiś czas później odzyskała przytomność, leżała na kanapie w salonie. Nessa wycierała jej czoło ręcznikiem

zmoczonym w zimnej wodzie. Z tyłu stała pokojówka i wachlowała ją. Nigdzie nie dostrzegła śladu hrabiego.

- Co się stało? - zapytała z cichym jękiem. - Jak się tu znalazłam?

- Mem-sahib zemdląca - wyjaśniła Nessa. - Całowała pani tego człowieka i nagle upadła na ziemię. Radżib był w ogrodzie, zobaczył, co się stało, i przybiegł na pomoc. To on panią tutaj przyniósł.

- Muszę mu podziękować. - Przyłożyła rękę do czoła i próbowała usiąść. - Hrabia... - Pokój zaczął wirować, więc znów się położyła i zamknęła oczy. - Ja go nie całowałam. On... mi się narzucał. Groził, że... Mój mąż nie może się o tym dowiedzieć. Gdyby słyszał, co hrabia mi powiedział, to...

- To co bym zrobił?

Damian podszedł do niej. Jego twarz była bardzo surowa.

- Damianie... - Głos załamał jej się ze zdenerwowania. Czy znowu był na nią wściekły? - Nie wiedziałam, że już jesteś.

- Nie wiedziałaś, moja droga? - W jego zimnym głosie było tyle gniewu! - Może dobrze się stało, że wróciłem trochę wcześniej, niż planowałem, bo inaczej bym się nie zorientował się, co tu się działo.

- Damianie! - zawołała zrozpaczona Rosalyn - chyba nie sądzisz...

Uniosła się z wysiłkiem. Dlaczego patrzył na nią w taki sposób? Zimno jej się zrobiło na widok jego furii. Wyrzucił już z pokoju służącą, teraz dał głową znak Nessie, żeby też wyszła.

- Powiedziałem „precz"! Chcę zostać sam z żoną.

- Damianie, nie masz powodu na nią krzyczeć - zaprotestowała Rosalyn. - Pomagała mi, bo zemdląca.

- A dlaczego zemdliałaś, moja kochana? - zapytał Damian, kiedy Nessa opuściła pokój. - Czy z wrażenia, że możesz zostać kochanką księcia? Albo z rozczarowania, że nie zaczęłaś i nie zostaniesz jego żoną?

Na jego twarzy malowała się taka gorycz!

- Jak możesz?! - Rosalyn patrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez. Co się z nim stało? Wydawał jej się kimś obcym. Twardym, zimnym człowiekiem, którego dotąd nie знаła. - Hrabia Devere przyszedł wraz z siostrą. Musiałam ich przyjąć.

- Wracając do domu, minąłem powóz pani Moreau - oświadczył ze stalowym błyskiem w oku. - Kiedy tu dotarłem, powiedziano mi, że jesteś z hrabią, ale zanim zacząłem was szukać, przyszedł Radzib z informacją, że zemdliałaś. Przybiegłem natychmiast... w samą porę, by usłyszeć, jak błagasz Nessę, by pomogła ci ukryć twą nieostrożność.

- Nie, to nieprawda! Źle zrozumiałaś - zawołała. - To nie w porządku, Damianie. Oskarżasz mnie, choć nie wysłuchałeś nawet mojej historii. To nie było tak, jak myślisz. Musisz mi uwierzyć!

- Więc mów. Ciekaw jestem, co Devere ci powiedział.

Rosalyn wstała. Nadal źle się czuła, ale nie mogła dopuścić, by to okropne nieporozumienie trwało. Musiała wyznać wszystko.

- Nie chciałam, żebyś się dowiedział, bo bałam się, że zmusiłbyś go do pojedynku, a bałam się...

- Lękałaś się o jego życie? I słusznie!

- Nie bądź śmieszny! - Wściekłość pomogła jej stać prosto mimo zawrotów głowy. - Nie wierzę, że tak źle o mnie myślisz. Postradałeś zmysły?! Nie rozumiesz? Hrabia mnie obraził. Dowiedział się, że byłam twoją kochanką, więc uznał...

Obiecał mi królewskie wynagrodzenie, jeśli cię rzucę dla niego. Naturalnie odmówiłam, a wówczas wpadł we wściekłość, złapał mnie i pocałował. Wyrwałam mu się, a wtedy zaczął miotać obelgi... powiedział, że będzie mnie miał, choćby musiał mnie porwać, a ciebie zabić. Zrobiło mi się słabo. Wołałam cię na pomoc, a potem zemdlałam.

Furia zniknęła z jego twarzy, w jej miejsce pojawił się wstyd. Wpadł we wściekłość, kiedy usłyszał, jak prosiła, by Nessa zachowała ten incydent w tajemnicy. Teraz zrozumiał, że Rosalyn chciała go chronić przed pojedynkiem. A przecież powinien walczyć, taka obraza jego żony musiała skończyć się zbrojnym starciem. Zrozumiał też, to on wszystkiemu zawinił. Gdyby nie uczynił Rosalyn swą kochanką, nie otworzyłyby drogi dla podobnych obelg.

- Wybacz - kajał się. - Nie powinienem był mówić takich okropnych rzeczy. Najpokorniej proszę cię o wybaczenie, Rosalyn. To wszystko przeze mnie. Ty niczym nie zawiniłaś.

- Nie zawiniłam, a ty nie miałeś prawa wysuwać przeciwko mnie takich oskarżeń. - W głowie kręciło się jej tak bardzo, że nie widziała wyraźnie jego twarzy. - Jeżeli masz być tak zazdrosny, taki wściekły... za każdym razem, kiedy jakiś mężczyzna na mnie spojrzy, to tego nie zniosę.

- Rosalyn... - Mówiła tak dziwnie, z takim dystansem, jakby swoim zachowaniem sprawił, że zaczęła żałować, iż za niego wyszła. - Wybaczysz mi... proszę?

Chciał wyjaśniać, dlaczego był tak straszliwie zdenerwowany, ale Rosalyn znów straciła przytomność. Błyskawicznie złapał ją w ramiona. Ogarnęło go przerażenie. Łatwo było zrozumieć, że nikczemne zachowanie Devere'a doprowadziło ją do omdlenia, ale teraz sytuacja się zmieniła.

Niósł ją na rękach do sypialni, głośno wołając o pomoc. Wysłał nadbiegającego służącego do wsi po lekarza i kazał pokojówkom pościelić łóżko. Delikatnie położył Rosalyn. Jęknęła, drgnęły jej powieki. Odgarnął jej z czoła wilgotny kosmyk, klnąc się w duchu za wszczynanie awantur, kiedy była chora. Jakież z niego bezmyślny brutal! A wszystko dlatego, że bał się ją stracić.

- Rosalyn, najdroższa - szeptał, chłodząc jej czoło mokrym ręcznikiem. - Jestem podły, że tak cię zdenerwowałem, moja kochana. Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

Otworzyła oczy i złapała go za rękę.

- Nie wyzwiesz go, prawda? Proszę, Damianie! Nie wolno ci z nim walczyć. Właściwie nie doznałam żadnej krzywdy... a on odgrażał się, że cię zabije. Nie zniósłabym, gdyby...

A więc nie zdołał jeszcze zabić w niej miłości do siebie! Poczował wielką ulgę. Dopuścił, by jego lęki stanęły między nimi, ale nie było jeszcze za późno. Jeszcze go kochała.

- Nie zginę, kochana. Odpoczywaj. Posłałem po doktora, przybędzie lada chwila.

Wreszcie zaczynało jej się rozjaśniać w głowie. Uśmiechnęła się do męża i z miłością objęła jego palce.

- Wydaje mi się, że wiem, co mi dolega - powiedziała miękko. - Myślę... że noszę nasze dziecko, Damianie.

- Nasze dziecko? - Patrzył na nią najpierw z niedowierzaniem, a potem z coraz większym zachwytem. - Mówisz serio, Rosalyn?

- Tak, chyba jestem w ciąży. - Roześmiała pogodnie, widząc jego radość. A ona zastanawiała się, czy ucieszy się z nowiny! - Oczywiście przed konsultacją z lekarzem nie mogę być pewna, dlatego nic ci dotąd nie mówiłam. Myślę jednak, że to prawda.

- Nic dziwnego, że zemdlałaś - stwierdził z rozpaczą. - A ja byłem dla ciebie taki okrutny! Możesz mi wybaczyć?

- Tak... - Przytuliła policzek do jego ręki. - Ale nie rozumiem twojego gniewu, Damianie. Przecież nie mogłeś nawet przez chwilę podejrzewać, że zachęcałam hrabiego?

- Nie. - Na jego szyi drgał nerw. - Nie, Rosalyn. Wbrew temu, co wygadywałem na dole, nie wierzyłem w to.

- Więc dlaczego jesteś zazdrosny? Przecież musisz wiedzieć, że cię kocham.

- Tak. - Podszedł do okna i spojrzał na ogród. Jak miał jej to wyjaśnić, skoro tak do końca nie rozumiał samego siebie?

- To nie ma sensu... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

- Spróbuj, proszę.

- Czuję, że nie zasługuję na ciebie.

Gdy odwrócił się do niej, znów ujrzała w jego oczach to puste spojrzenie.

- Damianie...

- Że jeśli pozwolę sobie na chwilę szczęścia, to zaraz je stracę.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie miałbyś zasługiwać na szczęście? Powiedz mi, proszę, kochany.

Nie zdążył jednak niczego wyjaśnić, bo do pokoju wpadła pokojówka i oznajmiła, że doktor już przyjechał i zaraz się zjawi.

- Kiedy indziej, kochanie. - Pocałował ją w czoło. - Zaczekam na dole, aż doktor skończy badanie.

Kiwnęła głową, zdając sobie sprawę, że czas na zwierzenia minął. Uścisnął jej rękę i odwrócił się, kiedy lekarz wszedł do pokoju.

Był to przesadnie wyelegantowany, niewysoki jegomość w czarnym surducie i spodniach w prążki.

- No, no, co my tu mamy, madame? - Obrzucił ją pobłażliwym spojrzeniem. - Powiedziano mi, że pani zasłabła. Może zbyt długo przebywała pani na słońcu?

Damian uśmiechnął się i zostawił ją z lekarzem.

Czekał w salonie, żeby po badaniu zamienić słówko z doktorem.

- Czy ona jest chora, sir? - zapytał z niepokojem. - A może przemęczona?

- Pańska żona sądzi, że jest przy nadziei. - Lekarz uśmiechnął się krzepiąco. - Jeszcze za wcześnie na pewność, ale wydaje mi się, że jej diagnoza jest prawdziwa. W tym stanie kobietom zdarzają się omdlenia, niemniej musi pan na nią uważać. Powinna codziennie po południu odpoczywać przez godzinę.

Damian podziękował mu, poprosił, by wpadł na kontrolę za kilka dni, i wrócił do salonu. Usiadł przy eleganckim biurku z drewna różanego, które kupił dla żony w Paryżu. Rosalyn lubiła pisać przy nim listy, bo mogła przy tym patrzeć na ogród. Co miał robić? Rosalyn błagała, by nie wyzywał hrabiego na pojedynek, ale przecież nie mógł dopuścić, by Devere'owi taka obraza uszła płazem.

Ze zmarszczonym czołem zerknął na leżący na biurku stosik nieotwartych jeszcze listów do Rosalyn. Ze znaczków wynioskował, że dwa nadeszły z Anglii, a trzeci z Paryża. Ten ostatni pachniał perfumami Charlotte, ale od kogo były pozostałe? Przyjrzał się charakterowi pisma. Jeden wydał mu się znajomy, więc Damian domyślił się, że to od Marii. Drugi był mu obcy.

Zadzwoił, by wezwać służącą. Jego żona zawsze radośnie witała listy z domu. Na pewno z przyjemnością je przeczyta.



Podał pokojówce listy.

-I powiedz, proszę, mojej żonie, że musiałem wyjść. Mogę nie wrócić na kolację.

- Dobrze, sir.

Damian przeszedł do swojego gabinetu i wyjął z biurka lśniąca mahoniową szkatułkę. Wewnątrz znajdowała się para pistoletów. To Devere'owi przysługiwało prawo wyboru broni - pistoletów lub szpady, ale Damian wolał być przygotowany.

## Rozdział czternasty

Rosalyn bez entuzjazmu wzięła przesyłki od pokojówki i odłożyła na szafkę przy łóżku. Poznała pismo Marii, ale nie miała ochoty czytać listu od kuzynki. W głowie trochę się jej rozjaśniło. Wreszcie poczuła się lepiej i chciała porozmawiać z Damianem.

Pokojówka powiedziała, że mąż wyszedł. Prosił, by wypoczywała i zjadła kolację w łóżku, ale nie miała apetytu. Zresztą kiedy minęły zawroty głowy, nie miała też ochoty leżeć w łóżku.

Dokąd poszedł Damian? Czy postanowił wyzwać księcia na pojedynek? Tak, na pewno o to chodziło! Nie mogła usiedzieć w pokoju, postanowiła zejść na dół i tam poczekać na męża.

Przebiegła palcami po klawiszach niewielkiego szpinetu. Marzyła, by Damian wrócił do domu i wziął ją w ramiona. Odwróciła się, zaniepokojona jakimś dobiegającym z tyłu dźwiękiem. W progu stał Radzib i przyglądał jej się dziwnym wzrokiem.

- Tak, Radzibie? O co chodzi?

- Chciałem z panią porozmawiać, mem-sahib. - Wpatrywał się w nią z niesamowitą intensywnością. - Postanowiłem wrócić do Indii, Nessa jedzie ze mną. Jared wie o naszej decyzji. Wyrósł już z nas. Nie jesteśmy mu potrzebni.

- Przykro mi, że czujecie się odtrąceni - powiedziała, wyczuła bowiem w jego głosie gorycz. - Wiem, że kochacie Jareda.

- To nie pani wina. Nessa ma pretensje, że odebrała jej pani miłość Jareda, ale ja pani nie obwiniam. Przyszedłem, żeby to pani powiedzieć. I jeszcze jedno.

- Dziękuję, cieszę się, że nie rozstaniemy się w gniewie. Co jeszcze chciałbyś mi powiedzieć, Radżibie?

- Sahib pojechał pojedynkować się z człowiekiem, który tu dzisiaj był. Pomyślałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

- Pojedynek... - A więc słusznie się obawiała! - Skąd wiesz?

- Wziął z sobą pistolety. Zresztą to sprawa honoru. Człowiek, który tu dziś był, zaatakował panią. Sahib musi go zabić. To jego przeznaczenie.

- Nie! - krzyknęła Rosalyn. - Nie mów tak, proszę. Wcale nie musi walczyć z hrabią. Może zginąć!

- Sahib nie zginie. - Skłonił przed nią głowę. - Już więcej się nie zobaczymy, mem-sahib. Wyjeżdżamy z Nessą wcześniej rano. - Ruszył do wyjścia.

- Chciałabym ci podziękować, Radżibie, za to, co dziś dla mnie zrobiłeś.

- Pani uratowała mi życie. Spłaciłem tylko dług.

- Do widzenia - powiedziała miękko. - Życzę tobie i Nessie powodzenia.

Skłonił się, jego ciemne oczy pozostały nieodgadnione. Potem odwrócił się i zostawił ją samą.

Rosalyn zakręciło się w głowie. Była taka zmęczona! Usiadła na szeszlengu i ułożyła poduszki pod głową. Powinna myśleć o swoim dziecku i odpoczywać. Jeszcze chwilę pozostanie tutaj, a potem pójdzie do sypialni.

Obudził ją łoskot przewracanego krzesła. Usiadła wystraszona i zaczęła mrugać powiekami w półmroku. Usłyszała stłumione przekleństwo.

- To ty, Damianie? - Z ulgą rozpoznała jego głos.

- Rosalyn? A niech to! Muszę zapalić świecę. Myślałem, że już od dawna smacznie śpisz w łóżku. Dlaczego siedzisz po ciemku?

Gdy zapłonęła świeca, z przerażeniem zobaczyła, że jest ranny. Osunął się na kanapę z grymasem bólu, jego spodnie nasiąkały krwią.

- Damianie! - Podbiegła do niego. - Co ty zrobiłeś?! Pojedytkowałeś się z hrabią? Zabiłeś go? - Wyczuła w jego oddechu zapach brandy. - Piłeś!

- Tak... szklaneczkę czy dwie... - mruknął niewyraźnie. - To stepiło ból, kiedy lekarz wyjmował mi z nogi kulę Devere'a. Niech go lichy za taki marny strzał!

- Gdyby strzelał lepiej, mógłbyś już nie żyć!

Damian parsknął śmiechem. Wydawał się tak rozbawiony, że zaczęła podejrzewać, iż był kompletnie pijany.

- Ależ skąd! Chciał strzelić w ziemię, ale pistolet spalił na panewce i ręka mu podskoczyła. Postrzelił mnie przez przypadek.

- Skąd wiesz, że nie chciał cię trafić?

- Nawet gdyby chciał, nie miałyby to znaczenia, bo był tak pijany, że ledwie się trzymał na nogach. Do licha! Gdyby był trzeźwy, wcale nie doszłoby do pojedynku.

- Nie zmuszałeś go?

- To on nalegał. Próbowałem wyperswadować to temu idiotcie, ale uparł się jak osioł. Utrzymał, że musimy załatwić tę sprawę między sobą, i to natychmiast.

Rosalyn patrzyła na jego ranę. Została opatrzona, ale krew sączyła się przez bandaż.

- Powinieneś położyć się do łóżka. Rana się otworzyła.

- Musiałem jechać konno. Nie mogłem tam zostać na całą noc. Devere chciał mnie przenocować, ale w tych okolicznościach nie wydało mi się to właściwe.

Dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach. To był wreszcie ten Damian, w którym zakochała się do szaleństwa! Wrócił do niej. Cokolwiek wydarzyło się tej nocy, uwolniło go od cieni przeszłości.

- Nie, raczej nie - przyznała ze słabym uśmiechem. - Więc go nie zabiłeś?

- Gdybym zabijał każdego mężczyznę, który cię zapragnie, wkrótce na tej ziemi zostałyby same kobiety - stwierdził z figlarnym błyskiem w oku. - Po pierwsze, nigdy nie zamierzałem go zabić, chciałem go tylko ostrzec, że nie wolno mu bezkarnie obrażać mojej żony.

- Ale zabrałeś z sobą pistolety... Zamierzałeś wyzwać go na pojedynek.

- Przyznaję, chodziło mi to po głowie, zanim jednak tam dotarłem, uświadomiłem sobie, że to śmieszne. Nie mogę zabijać kogoś za to, że cię pragnie, ale musiałem to z nim załatwić. Zażądałem przeprosin. Dla ciebie, nie dla mnie. Chciałem go znokautować, ale był pijany, a potem zaczął upierać się przy pojedynku. Oczywiście wypaliłem w powietrze. On chciał zrobić to samo. Potem okropnie przeproszał i za to, że mnie zranił, i za to, że cię obraził.

Pozostaje jednak faktem, że ja ponoszę za to winę. To ja przywiozłem cię do Francji. Gdybym tego nie zrobił, nie doszłoby do tego.

- Przyjechałam tu, bo tego chciałam. Bo cię kocham.

- To nie oznacza, że wszystko jest w porządku. - Skrzywił się. - Ta cholerna noga boli jak diabli. Możesz mi nalać szklanczkę brandy?

- Oczywiście. - Szybko spełniła jego prośbę. - Pozwól mi spojrzeć na tę nogę, Damianie.

- Później. - Wypił spory łyk brandy. - Czy od wyjazdu z Anglii widziałaś swojego brata?

- Tak - odparła zaskoczona nagłą zmianą tematu. - Kiedy byliśmy w Paryżu, przywiózł mi jakieś papiery do przejrzania. Charlotte powiedziała mu, gdzie mieszkamy... A dlaczego pytasz?

- Nie powiedziałaś mi o jego wizycie.

- Nie sądziłam, że to ważne. - Westchnęła. - To nie była miła rozmowa, Damianie. Przyszedł wyłącznie w interesach i oświadczył, że nie ma potrzeby, byśmy się w przyszłości spotykali.

- Niech go licho! Jak śmie traktować cię tak podle? - pieklił się. - To rozstrzyga wszystko. Nie miałem racji, wyjeżdżając. Powinienem być zostać i wszystko wyjaśnić. Musimy wrócić, Rosalyn, i stawić czoło skandalowi. Tylko w ten sposób zdołamy się od tego uwolnić.

- Wrócić... do Anglii? Dlaczego? - Ten pomysł nią wstrząsnął. - Zrezygnować z naszych marzeń? A co z Jaredem? Jak możemy wrócić?

- Teraz, kiedy Jared nie jest już sukcesorem tronu, nic mu nie grozi, a jeśli nie wrócimy, pogłoski będą nas ścigać wszędzie. Nie rozumiesz, kochana? My... ja muszę stanąć twarzą

w twarz z wszystkimi, którzy nazywają mnie mordercą. I zmuszę Freddiego, by cię przeprosił.

- Nie obchodzi mnie, co Freddie mówi czy robi. - Zaniepokoiła się nie na żarty. Gdyby wrócili do Anglii, Damian mógł zostać oficjalnie oskarżony o morderstwo. - Nie widzę powodu, byśmy mieli tam wracać. Oboje wiemy, że nie zabiłeś Bernarda Harringtona, więc...

- Nigdy tak nie pomyślałaś? - Spojrzał na nią przenikliwie. - Nigdy, ani przez moment?

- Owszem, przemknęło mi to przez myśl. Zastanawiałam się, czy nie zrobiłeś tego dla mojego dobra, bo mi groził... ale przez cały czas wiedziałam, że najwyżej wyzwałbyś go na pojedynek. Przecież wiem, że nie jesteś zdolny do morderstwa, Damianie. Zresztą...

- Kochałaś mnie tak mocno, że gotowa byłaś pójść za mną niezależnie od tego, jaka byłaby prawda - dokończył miękko.

- Zawierzyłaś mi, złożyłaś swój los w moje ręce. I właśnie dlatego, przez wzgląd na twoje zaufanie, powinienem tam wrócić. Proszę, spróbuj to zrozumieć, kochanie. Jeśli zmuszę cię, byś dzieliła ze mną los wygnańca, to nigdy nie dojdę do ładu z własnym sumieniem. Już kiedyś zawiodłem kobietę i skończyło się to jej śmiercią. Umarła ze wstydu. Nie zniósłbym, gdyby cię spotkało to samo.

- Och, Damianie. - Uklękła przed nim i spojrzała mu w oczy. - Jak możesz myśleć, że ja... - Na jej rzesach zalśniły łzy. - Kocham cię. Pójdę za tobą wszędzie i nigdy tego nie pożałuję.

- Zapytałaś, dlaczego byłem taki niespokojny. Spróbuję ci to wyjaśnić, choć sam nie do końca rozumiem. To wszystko takie skomplikowane i odległe w czasie. Tamtego dnia zostawiłem Helen samą w ogrodzie. Prosiła, żebym odszedł, więc

odszedłem... ponieważ moje uczucia zostały tak głęboko zranione tym, co ją spotkało, że nie mogłem znieść patrzenia na nią. Właściwie nie myślałem o jej cierpieniu. Byłem tak wściekły, tak pełen odrazy, że nie zauważyłem, iż zastanawiała się nad odebraniem sobie życia. To moja wina, że popełniła samobójstwo, Rosalyn. Zawiodłem ją.

- Nie! - Zamknęła mu dłonią usta. Miała oczy pełne łez, czuła jego ból, z którym żył od tak dawna.

- Pojedynekowałem się, żeby ulżyć własnemu sumieniu, Rosalyn. Zginął niewinny człowiek.

- Niewinny?! Roderick wciągnął ją do powozu. Był współwinni zbrodni brata.

- Zasługiwał na śmierć? - Wyczytał w jej oczach odpowiedź. - Nie, nie zasługiwał. - Uśmiechnął się smutno. - Czy teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo się bałem, że cię stracę? Dlaczego nie zasługuję na szczęście, jakie mi dajesz?

- Rozumiem, że zostałeś straszliwie skrzywdzony przez ojca, który okrzyknął cię mordercą i wykluczył z rodziny - oświadczyła stanowczo. - Roderick sam na siebie ściągnął nieszczęście. Charlotte powiedziała mi, co się wydarzyło tamtego dnia, Damianie. Kiedy jego strzał chybił, byłeś gotów darować mu życie. Odchodziłeś, gdy strzelił ci w plecy. Zabiłeś go w obronie własnej. Jeśli ktoś ponosi za to odpowiedzialność, to on, a nie ty.

- Zabiłem w złości. Kodeks honorowy uwalnia mnie od zarzutu morderstwa, ale nie własne sumienie. Mogłem go ukarać za to, co zrobił, posłać mu kulkę w ramię, ale wykorzystywałem swój czas i starannie wycelowałem. Chciałem, by zginął za to, co uczynił temu dziecku. Bo ona była jeszcze dzieckiem, Rosalyn. Roderick zasłużył na karę, choć zrobiłbym wszystko, żeby zmienić to, co się stało. Bezsensow-



nie odebrałem człowiekowi życie. Dręczyło mnie to przez te wszystkie lata.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy! - Zrozumiała, jak do tego doszło. Ojciec okrzyknął go mordercą, więc on, samotny i odtrącony przez wszystkich, zaczął wierzyć w to, co nie było prawdą. Los potraktował go okrutnie, ale już dość wycierpiał.

- Wystarczająco długo płaciłeś za swój błąd, nie sądzisz? Damianie, mój najdroższy, mój kochany, czy nie czas, byś wreszcie sobie wybaczył? Byś zostawił przeszłość za sobą i skupił się na przyszłości? Na nas...

- Możliwe... ale żeby to zrobić, muszę wrócić. Muszę stanąć twarzą w twarz z wszelkimi oskarżeniami, jakie mogłyby zostać przeciwko mnie wysunięte. Proszę, postaraj się zrozumieć, Rosalyn.

- Tak, teraz rozumiem. - Jeśli nie posłucha głosu sumienia, nigdy nie uwolni się od poczucia winy. - Musisz wrócić, a ja pojedę z tobą. Ale teraz się połóż.

- Więc chodźmy do łóżka. Ta cholerna noga boli jak diabli!

Do pokoju weszła pokojówka. Taszczyła ogromny kosz egzotycznych kwiatów: wielkich lilii, róż, kamelii i innych, nieznanym Rosalyn gatunków.

- Przyniesiono to dla pani, madame. A w holu czeka ją goście.

- Dziękuję, Isabel. Postaw kwiaty i wprowadź gości.

Zauważyła dołączony do kwiatów bilecik. Zmarszczyła brwi na widok wiadomości przesłanej przez hrabiego wraz z bukietem, gdy wyczuła, że do pokoju weszły dwie osoby. Podniosła wzrok i zdumiała się na widok brata i Beatrice, którzy stali w drzwiach, nie wiedząc, jak zostaną przyjęci.

- Beatrice! - zawołała z radością, potem popatrzyła niepewnie na brata. - Freddie... nie rozumiem, dlaczego przyjechałeś?

- Nie dostałaś mojego listu? - zapytała zakłopotana Beatrice. - Wysłałam go parę dni temu. Zapowiadałam w nim naszą wizytę. Chyba nie masz nic przeciwko naszym odwiedzinom, Rosalyn? Wszystko wyjaśniłam ci w liście.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. To niespodzianka, ale cieszę się na twój widok, Beatrice. Bardzo się cieszę.

Bea podbiegła, by ją uściskać. W jej zachowaniu było tyle serdeczności, że Rosalyn się zdumiała.

- Tak strasznie martwiłam się twoją kłótnią z Freddie - wyznała bratowa, a łzy słynęły jej z oczu i stoczyły się po policzkach. - Zachował się okropnie, tak cię ignorując podczas spotkania w Paryżu. Zapewniam cię, że nie dawałam mu z tego powodu spokoju.

Zerknęła na brata. Był wyraźnie zawstydzony, nie mógł spojrzeć jej w oczy.

- Freddie?

- Co za pech, że nie dostałaś tego listu - wykrztusił. - Pewnie nadal wyobrażasz sobie, że zabiłem Harringtona?

- Nie. Przyznaję, przez chwilę myślałam, że mogłeś to zrobić, ale w głębi serca nie wierzyłam w to.

- Ale mnie oskarżyłaś! - krzyknął z uporem. - Mówię ci, Ros, byłem wściekły. Bea twierdzi, że powinienem cię przeprosić za... za moją szorstkość wobec ciebie, ale wydaje mi się, że i ty masz mnie za co przeproszać.

- Jeśli oskarżyłam cię o morderstwo, zrobiłam to w gniewie, bez zastanowienia. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Ale ty pierwszy oskarżyłeś o tę zbrodnię Damiana. To ty krzyczałeś,

że nie chcesz mieć nic wspólnego z żoną mordercy. To ty mi powiedziałaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

- Och, Rosalyn! - zawołała przejęta Beatrice. - Freddie nie miał prawa tak do ciebie mówić, tłumaczyłam mu to jeszcze zanim... - Spojrzała na męża. - Powiedz jej, Freddie. Powiedz siostrze, co się stało. Znamy już prawdę, Rosalyn. Wiemy, kto zabił Bernarda...

- Skąd możesz wiedzieć? - Przeszył ją zimny dreszcz. - Chyba że... sama ci o tym powiedziała?

- Ty wiesz! - zdumiała się Bea. - Skąd możesz wiedzieć, jeśli nie czytałaś mojego listu? Poznaliśmy prawdę dopiero po jej śmierci.

- Pani Jenkins nie żyje? Tak mi przykro... Przed moim wyjazdem poczuła się znacznie lepiej i myślałam, że wyzdrowieje.

- Ona... ona odebrała sobie życie. - Bea zaszlochała. - To było takie straszne. Na wieść o jej śmierci musieliśmy opuścić Paryż i wracać do domu... a potem odkryliśmy, co zrobiła...

Rosalyn objęła ją ramieniem i poprowadziła do kanapy, starając się ją uspokoić. Spojrzała na brata pytająco. Freddie chrząknął.

- Pani Jenkins wzięła coś... chyba laudanum... głupia baba. Gdyby nam wszystko wyznała, załatwilibyśmy sprawę po ciachu. Nie musiałby się tym zajmować wymiar sprawiedliwości. Ten człowiek zasłużył sobie na to, co go spotkało. Zostawiła list, w którym opisała całą historię.

Rosalyn kiwnęła głową.

- Tak, wyobrażam sobie, jak jej to ciążyło na sumieniu. Odkryła, że to Bernard zgwałcił Helen Renshaw, prawda? Roderick wciągnął ją do powozu, ale to Bernard ją zhańbił i po-

pchnął do samobójstwa. Damian o tym nie wiedział. Dopadł Rodericka i zabił go w pojedynku... ale to Bernard powinien był wówczas zginąć, a nie jego młodszy brat. Ta świadomość latami dręczyła Damiana. Jego ojciec w jakiś sposób odkrył prawdę, choć wydaje się, że nie była ona powszechnie znana.

- Wygląda na to, że znasz całą historię.

- Powinnam się domyślić od razu. Pani Jenkins słyszała, jak oskarżyłam Bernarda, że to on był prawdziwym sprawcą śmierci brata. Kiedy mnie zaatakował, stała w oknie i wszystko usłyszała. Czyż tak?

- Jest jeszcze coś. Bernard dosypywał jej czegoś do leków, truł ją. Miał nadzieję, że odziedziczy część jej pieniędzy i postanowił przyspieszyć jej śmierć.

- Truł ją?! A ona o tym wiedziała... Oczywiście! Zorientowała się, że majstrował coś przy jej lekach... a kiedy poznała prawdę o śmierci młodszego brata...

- Jedyne go człowieka, którego naprawdę kochała - dodała znacznie już spokojniejsza Beatrice. - Wzięła jeden z pistoletów twojego ojca, Rosalyn, i poszła za nim. Zabiła go z rozmysłem. To nie był wypadek. Chciała, żeby zginął. Napisała o tym całkiem jednoznacznie.

- Biedna kobieta! - zawołała Rosalyn.

- Oświadczyła w liście, że teraz, kiedy już wyszłam za mąż, nie ma po co żyć. Cały majątek zostawiła mnie, poza brylantową broszą, która zapisała tobie, i listem, w którym przyznaje się do zbrodni. Napisała, że zrobisz z nim to, co uznasz za stosowne. Przyjechaliśmy tu dzisiaj właśnie po to, żeby oddać ci ten list i broszę.

-I żeby przeprosić - dodał Freddie. - Do licha, Ros! Skoro przez cały czas wiedziałaś, kto zabił Bernarda Harringtona, to dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Nie miałam pewności. Zresztą...

- Rosalyn kochała mnie tak bardzo, że nie dbała o to, co ludzie sobie o niej pomyślą - dokończył Damian, który stanął w progu. - To tylko moje idiotyczne wyrzuty sumienia sprawiały, że wyobrażałem sobie, iż mogłaby się przejąć drobnym skandalem. Teraz wiem, że nie miałem racji. Moja żona została ulepiona z lepszej gliny niż my wszyscy, Freddie.

Kark Freddiego poczerwieniał jak rak. Chrząknął z zażenowaniem.

- Byłem cholernym idiotą - wykrztusił. - Wściekłem się, bo Rosalyn oskarżyła mnie o morderstwo, a ja naprawdę podejrzewałem o nie ciebie. Gdybym natknął się na Harringtona, kiedy Bea mi powiedziała, co chciał jej zrobić, mógłbym go uderzyć. Mógłbym go nawet zabić, ale gołymi rękami, nie z pistoletu. Mam awersję do broni palnej.

- Och, Freddie! - Beatrice podeszła do niego, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Mam nadzieję, że mu pan wybaczy, lordzie Marlowe, bo bardzo tęskniłam za Rosalyn. Nie zniosłabym, gdyby okazało się, że nie możemy być znowu przyjaciółkami.

- Więc okazałbym się brutalem, gdybym chował urazę, tak, Beatrice? - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Rosalyn, naturalnie, już wam obojgu wybaczyła, nie pozostaje mi więc nic innego, jak pójść za jej przykładem. - Kulejąc, podszedł do żony i ostrożnie usiadł obok niej na kanapie.

- Miałeś wypadek? - zapytał Freddie.

- Można tak powiedzieć. - Damian zerknął na żonę. Zauważył ogromny bukiet kwiatów. Jego wargi wygięły się w krzywym uśmiechu. - Od wielbiciela?

- Od byłego wielbiciela. Na przeprosiny.

- A... rozumiem. Tak sądziłem.

- Damian? - Z niepokojem zajrzała mu w oczy, ale wyraz udreki, który często w nich widywała, zniknął. Co więcej, był rozbawiony prezentem od księcia. Ogarnęła ją ulga: to był mężczyzna, którego pokochała i z którym chciała spędzić resztę życia. - Chyba je zatrzymam.

Rosalyn siedziała przy toalecie i rozczesywała włosy, kiedy wszedł Damian. Odłożyła szczotkę i wstała na powitanie.

- Jesteś zmęczona? - zapytał. - To był dla ciebie dzień pełen wrażeń, kochanie, a powinnaś odpoczywać.

- Czuję się doskonale. - Wyciągnęła do niego ramiona. - Wiem, że wczoraj zemdlałam, ale...

- Dwa razy. W twoim stanie powinnaś uważać, Rosalyn. Nie chciałbym, żebyś wystawiała na szwank zdrowie swoje czy naszego dziecka.

- Nie besztaj mnie. Wczoraj było bardzo gorąco, dziś zrobiło się znacznie chłodniej. Zresztą przez większość dnia siedziałam z Beatrice.

Damian pocałował ją, po czym przysiadł na skraju łóżka i patrzył, jak szczotkowała włosy. Była taka piękna, taka pogodna. Nadal nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. To prawdziwy cud, że ją poznał... i poślubił. Los się wreszcie do niego uśmiechnął. Nie wolno mu dopuścić, by wspomnienia zniszczyły ich szczęście. Czas pozwolić przeszłości odejść.

- Możemy wrócić do Anglii lub jechać do Hiszpanii, jak planowaliśmy poprzednio.

- Zastanowimy się nad tym jutro - szepnęła, przycisnęła usta do jego szyi, a potem drażniła językiem jego ucho, aż rozpałała się w nim namiętność. - Czy noga bardzo cię boli?

- Nie na tyle, bym nie mógł kochać się z własną żoną. Jesteś taka śliczna... jesteś wszystkim, czego pragnę...

Poddała się jego miłości, słodszej i czulszej niż kiedykolwiek. Ich ciała pasowały do siebie idealnie, poruszały się i w zgodnym rytmie, który powoli zaprowadził ich na sam szczyt.

Znacznie później Rosalyn leżała z głową wspartą na ramieniu męża i marzyła o przyszłości. Jeszcze nie była pewna, dokąd ich zawiedzie, ale nie miała wątpliwości, że będzie wspaniała.